

RADOSNYCH ŚWIĄT POMYŚLNEGO NOWEGO ROKU 1986!



Tygodnik PZPR • Legnica • Rok XIII
Nr 698/9 • 20-27 grudnia 1985 • 30 zł
PL ISSN 0137-4680 • Indeks 36272

Wielki quiz
historyczny

8

Sen
o automatach

10

Przegraniec

15

Układ

19

Czy po życiu
jest życie?

20-21

Dziękuję,
nie pałę

22

Piątka
w lotka

23

Gwiazdy
mówią

29



— Przydałby się jeszcze „Mały Polak”...

Rys. Robert Szecówka



Fot. Franciszek Grzywacz

Powstała „Księga zasłużonych dla wojewódzkiej organizacji partyjnej”

W 47 rocznicę zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego 15 bm. w legnickiej Akademii Rycerskiej odbyło się spotkanie stu zasłużonych weteranów ruchu robotniczego. Udział wzięli m. in. członkowie Egzekutywy KW PZPR z I sekretarzem KW Jerzym Wilkiem i przewodniczącą RW PRON Marią Hulajew. Uroczystość otworzył sekretarz KW Zbigniew Korpaczewski. Omówił znaczenie kongresu zjednoczeniowego, a także działania 26-tysięcznej organizacji PZPR w Legnicy.

Kulminacyjnym punktem spotkania było dokonanie wpisów do nowo powstałej „Księgi zasłużonych dla wojewódzkiej organizacji partyjnej”. Na pierwszych kartach znalazły się nazwiska dziesięciu towarzyszy: Stefana Antolskiego z Lubina, Józefa Blachy ze Złotoryi, Bro-

niawy Jankowskiej z Legnicy, Jana Jaśkowiaka z Jawora, Bolesława Kaniewskiego z Głogowa, Mariana Kwiatkowskiego z Legnicy, Mieczysława Nowaka z Wrocławia i Emila Urbańskiego z Legnicy, a także Tadeusza Cyborowskiego z Legnicy i Janusza Maciejewicza — ministra hutnictwa i przemysłu maszynowego. Osiem osób otrzymało listy gratulacyjne.

Jerzy Wilk złożył wyróżnionym serdeczne gratulacje. Podkreślił, iż „Księga zasłużonych dla wojewódzkiej organizacji partyjnej” będzie w Legnicy tradycyjnym elementem honorowego satysfakcjonowania i upamiętniania ludzi, którzy najbardziej przyczyniają się do rozwoju i umacniania szeregów PZPR.

(c)

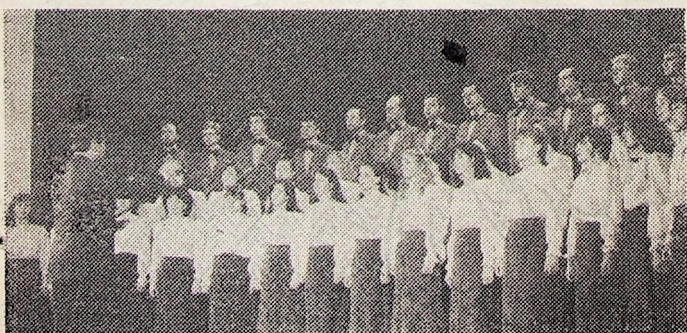
Wspólne obrady Sekretariatu KW PZPR i Kolegium Wojewody

16 bm. odbyło się wspólne posiedzenie Sekretariatu KW PZPR i Kolegium Wojewody z udziałem przewodniczącego WK SD i sekretarza WK ZSL poświęcone ocenie realizacji uchwały wspólnego posiedzenia wojewódzkich instancji PZPR, SD i ZSL z kwietnia 1983 roku w sprawie rozwoju produkcji rynkowej. Omawiano także stan zaawansowania w odtwarzaniu a także rozwijaniu państwowego przemysłu terenowego w województwie oraz oceniono rozwój produkcji materiałów budowlanych z miejscowych surowców.

Podstawą dyskusji były opracowania przygotowane przez międzypartyjny zespół oraz przez wydziały Urzędu Wojewódzkiego. Uznano, że w dotychczasowych działaniach na

rzecz rozwijania dodatkowej produkcji rynkowej w oparciu o lepsze wykorzystanie maszyn, surowców wtórnych i odpadów oraz energii — nie we wszystkich przedsiębiorstwach wykorzystano istniejące możliwości. Jednocześnie wyrażono podziękowania kierownikom i aktywowi tych zakładów, które w pełni wywiązały się ze swoich zobowiązań i podjęły atrakcyjną produkcję towarów na zaspokojenie rynku. Także krytycznie oceniono dotychczasowe starania władz wojewódzkich w zakresie odtwarzania jednostek przemysłu terenowego. Przyjęto wnioski zmierzające do szybszego rozwoju produkcji materiałów budowlanych w oparciu o miejscowe surowce.

(w.d.)



Fot. Franciszek Grzywacz

Udany koncert moskiewskich studentów

11 bm. na deskach Wojewódzkiego Domu Kultury wystąpił słynny Moskiewski Chór Młodzieży i Studentów. Zespół przebywał w Polsce tylko dwa dni na zaproszenie Chóru Akademickiego Politechniki Wrocławskiej. Występ legnicki zo-

stał zorganizowany staraniem ZW TPPR. Koncert pieśni chóralnej spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem przez legnicką publiczność, która przez dobre pół godziny nie dała zejść chórzystom ze sceny.

(c)

Złotoryja

Odzyskały dawny blask

Za kilka dni zostaną zadzielone wszystkie mieszkania w trzech zabytkowych kamienicach obok ZOK-u w Złotoryi. Przez pięć lat, kosztem 50 mln zł., remontowało je miejscowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Wywiązało się z niezwykle trudnego zadania nie gorzej, jak specjalistyczna firma.

Pochodzące z początku XVI wieku budynki zostaną poddane jeszcze jednej, wspólczesnej metodzie konserwacji. Chłonną wilgoć gotewkie fundamenty zostaną osuszone metodą elektroosmozy — czyli przy pomocy elektrod wpuszczonych w głąb muru. Po „zapłombowaniu” otworów po elektrodach — kamienice będą zabezpieczone przed wilgocią na kilkadziesiąt lat.

(Fil.)

Lubin

W ZG „Lubin” zginęło dwóch górników

12 bm. o godz. 18.15 w oddziale G-5 odłamek skalny grubości 1 metra i powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych spadł na samojedźny wóz zawałowy. Skala przyniosła dwóch górników, operatora i pomocnika, braci Jana i Ryszarda D., obaj ponieśli śmierć na miejscu. Przyczyną tragicznego wypadku bada specjalna komisja powołana przez ministra hutnictwa i przemysłu maszynowego.

(c)

Komunikacja WPK w święta

W dniach 24.12—26.12.85 i 31.12.85—1.01.86 r. komunikacja WPK funkcjonować będzie według następującego rozkładu:

◆ 24.12.85 — do godz. 18 — jak w dni wolne od pracy. Od godz. 18 częstotliwość w liniach miejskich co 60 minut, w liniach zamiejskich jak w dni wolne od pracy;

◆ 25.12.85 — średnia częstotliwość w liniach miejskich co 60 minut, w liniach zamiejskich jak w dni wolne od pracy;

◆ 26.12.1985 r. autobusy kursują jak w dni wolne od pracy;

◆ 31.12.1985 do godz. 18 autobusy kursują jak w dni robocze. Od godz. 18 na liniach miejskich częstotliwość kursowania co 60 minut, na liniach zamiejskich jak w dni robocze;

◆ 1.01.1986 r. autobusy kursują jak w dni wolne od pracy.

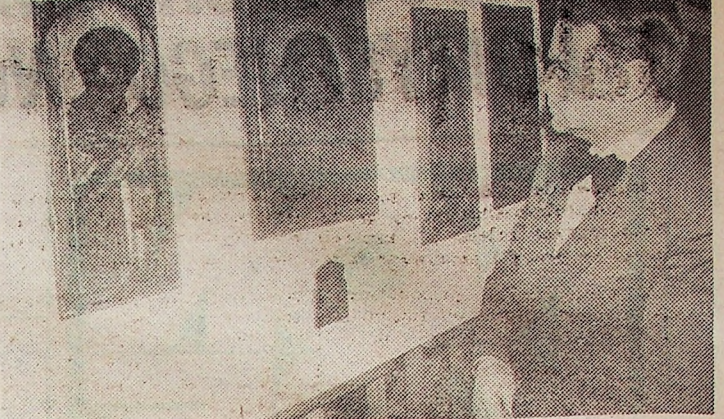
Z uwagi na ograniczenia czasu pracy kiosków „Ruchu” proszą się pasażerów o wcześniejsze kupienie biletów w dyżurujących kioskach lub w punktach kontrolnych WPK w Legnicy, Lubinie i Głogowie.

Gdzie kupić benzynę?

W okresie świąt i Nowego Roku w województwach: wrocławskim, wałbrzyskim, legnickim i jeleniogórskim, stacje benzynowe pracują według następującego planu:

Stacje całodobowo pracują przez całe święta i Nowy Rok bez przerwy.

Pozostałe stacje: 24 i 31 grudnia 1985 r. kończą pracę o godz. 18; 25 grudnia i 1 stycznia 1986 r. będą nieczynne; 26 grudnia 1985 r. pracują jak w każdą niedzielę.



Legnica

Fot. Franciszek Grzywacz

Ciekawa ekspozycja ikon

Wydawac by się mogło, że malarze współczesni nie są zainteresowani w tworzeniu czegoś tak archaicznego, jak ikony, a jednak. Od 11 do 18 bm. w legnickim Domu Przyjaźni czynna była wystawa ikon malowanych przez jaworską artystkę — Elżbietę Szejn. Na ekspozycję złożyło się około 30

obrazów. Prace te kupowane są na pniu przez odbiorców z RFN, Francji, Austrii i innych krajów europejskich. Bezpośrednio po zamknięciu wystawy prace trafiły za granicę. Szkoda tylko, że ikony eksponowano przez tak krótki okres.

(c)

Posel wśród żołnierzy

Staraniem ZW ZMW w Legnicy w jednej z jednostek Si OW. 18 bm. odbyło się spotkanie posła ziemi legnickiej Antoniego Samborskiego z żołnierzami. Zebrani pytali posła o strukturę organizacyjną Sejmu i działalność legislacyjną.

Obradowała Rada Red kcy na

19 bm. odbyło się posiedzenie Rady Redakcyjnej tygodnika „Konkrety”. Rada oceniła działalność publicystyczną tygodnika w roku 1985 ze szczególnym uwzględnieniem kampanii wyborczej do Sejmu PRL. Przyjęła także program pracy na rok 1986.

Legnica

O miesiąc szybciej

Spółdzielnia „Legspin” przez cały grudeń prowadzi produkcję ponadplanową. W ub. roku zakładano wzrost produkcji w „Legspinie” o 23 mln złotych. Okazało się, że planowe 540 mln złotych można było wypracować miesiąc wcześniej. Udało się to, nie dzięki podwyżkom cen, spółdzielczych wyrobów — lecz na skutek

wzrostu wydajności pracy. „Legspin” znany jest z dbałości o sprawy socjalne. Poprawa warunków pracy gwarantowana jest przez statut spółdzielni, ponieważ pracuje w niej 70 proc. osób niepełnosprawnych. Może inne, niewielkie firmy, które narzekają na reformę gospodarczą, brak rąk do pracy itp. — wysłać swych przedstawicieli na konsultacje do „Legspina”. Okazuje się bowiem, że można dokonać „niemożliwego” bez żadnych cudów...

(Fil.)



Wielki finał potyczek rodzinnych

7 bm. w Głogowie w Szkole Podstawowej nr 7 odbył się wielki finał potyczek rodzinnych. Drużyny składające się z rodziców i dziecka, czyli model 2+1, walczyły o miano najszybszej rodziny w mieście. W turnieju wystąpiło 8 drużyn, po dwie najlepsze z eliminacji, które wcześniej rozegrano w klubach osiedlowych. Konkurencje wymagały od uczestników zgrania i żelaznej kondycji. Drużyny startowały we wszelkich slalomach sportowych, rowerowych, kelnerskich — po wszelkie wyścigi z pełnymi i bez, w workach i na workach. Konkurencja wymagająca szybkiego myślenia była gimnastyka z wyrazem „gimnastyka”, z którego należało ułożyć jak najwięcej innych wyrazów. W rzucie wałkiem do ciasta w manekin udający meza — panie mogły się wykazać domiętnościami zdobywając w domowej zaprawie i osiągały całkiem dobre rezultaty. Kon-

kurencja dla panów był makiąż i fryzury żon.

Z pozostałych konkurencji wymienić należy rodzinne „p. e. p. i. k. t. a. n. c. e. r. o. z. k. l. a. d. a. n. i. e. n. i. e. l. o. ż. k. a. i. w. s. p. ó. l. n. e. s. k. a. n. i. e. p. r. z. s. k. a. n. k. a. n. k. e. Finalem turnieju był rzut jaskiem. Od potmetki imprezy prowadzenie w tej konkurencji objął Eugeniusz, Tadeusz i Rafał Talarzykowie nie pozwalając już do końca wydrzeć sobie palmy pierwszeństwa. Czterogodzinne zmagania drużyn obserwowała licznie zgromadzona publiczność, nagradzając zawodników gorącymi brawami za wspaniałą, prawdziwą sportową walkę. Na uczestników turnieju czekały cenne nagrody ufundowane przez głogowskie zakłady i Urząd Miejski. Między poszczególnymi blokami konkurencji, występowały różne sekcje z głogowskich klubów. Najbardziej podobny się publiczności pokazy judo, występy taneczne i kapeli podworkowej. W sumie impreza była dobrze zorganizowana, za co należa się organizatorom z S.M. „Nadodrza” gorące podziękowania. Głogowska SM od kilku lat jest organizatorem wielu ciekawych imprez kulturalnych. Naśladownictwo dozwolone. Za rok spotkamy się na następnym turnieju potyczek rodzinnych.

Tekst i fot.: JAN REBEL

Jak pracujemy?

Odpowiedzi na takie pytanie we wrześniu i październiku br. poszukiwali kontrolerzy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej w 23 wytypowanych zakładach i instytucjach naszego województwa. Zasadniczym celem tej kontroli było ustalenie stopnia przestrzegania szeroko rozumianej dyscypliny pracy i stosowanych kar za jej naruszenie.

O społecznej i gospodarczej wadze tego problemu najlepiej świadczy fakt, że w naszym regionie liczba nie przepracowanych z różnych powodów godzin pracy stanowi ok. 10 proc. ogólnego, nominalnego czasu pracy, czyli ok. 200 godzin na jednego zatrudnionego w ciągu roku. W kontrolowanych jednostkach wskaźnik ten był podobny. Spośród zakładów, w których nastąpił znaczny wzrost czasu nie przepracowanego rekordzista okazało się Przedsiębiorstwo Prefabrykacji Elementów Płytowych w Ścinawie — 17,2 proc. Jednocześnie w większości kontrolowanych zakładów zanotowano wzrost liczby tzw. godzin nadliczbowych.

Na ubiegłorocznym poziomie utrzymuje się także liczba pracowników zmieniających pracę. Najwyższą fluktuację odnotowano w legnickiej „Inżynierii” (współczynnik zwolnień — 47 proc. a przyjęć — 28 proc.) oraz w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Grębociach (odpowiednio: 45 i 47 proc.). Najbardziej związani są ze swymi zakładami pracownicy „Zakmatu” w Polkowicach i Odlewni Żeliwa w Gromadce. Przy okazji zbadano jak przestrzegane są przepisy mówiące o tym, że pracownik porzucający pracę bądź zwolniony dyscyplinarnie może być w nowym zakładzie zaszerogowany na najniższą stawkę dla danego stanowiska pracy. Niestosowanie się do tego wymogu stwierdzono w co szóstej umowie o pracę.

W kontrolowanych zakładach co jedenasty pracownik otrzymał w tym roku karę w postaci upomnienia, nagany bądź kary pieniężnej. Najwięcej kar udzielono w OSM w Grębociach (co czwarty zatrudniony). Wśród ukaranych znaczący udział stanowili ci, którzy przebywali na terenie zakładu w stanie nietrzeźwym bądź pili alkohol w miejscu pracy. Za te przewinienia dyscyplinarnie zwolniono w kontrolowanych

zakładach 32 osoby. Zdaniem kontrolerów IRCh, kierownictwa zakładów są na ogół zbyt wyrozumiałe wobec tego typu przypadków. W dwóch zakładach (Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nadodrza” w Głogowie oraz legnicka „Inżynieria”) ekipy kontrolne IRCh stwierdziły fakty przebywania na terenie zakładów nietrzeźwych pracowników.

W czasie kontroli stwierdzono liczne przypadki późniejszego rozpoczynania pracy. W wielu zakładach tzw. lista obecności jest fikcją. Prawidłowe podejście do formalnego, ale ważnego wymogu podpisywania listy przed rozpoczęciem pracy stwierdzono tylko w dwóch jednostkach. Natomiast w Spółdzielni Pracy „Legniczanka” 32 osoby nie podpisywały listy przez kolejnych dziesięć dni. Natrafiono także na ciekawostkę: w jaworskiej „Pollenie” zegar, według którego rozpoczynano pracę, był opóźniony o siedem minut. Nie wszędzie jest ewidencja spóźnień, a tym samym nie ma praktyki odpracowywania straconego czasu pracy. O rozmiarach tego problemu świadczy m.in. fakt, że w zakładach przemysłu skórzanego „Odra” w Złotoryi 130 pracowników spóźniało się do pracy przez kolejne trzy dni po 20 minut. Stwierdzono także liczne przypadki wcześniejszego wychodzenia z pracy.

W czasie przeprowadzenia kontroli ekipy IRCh spowodowały załatwienie 14 wniosków w trybie operatywnym. Kontrola IRCh wykazała, że we wszystkich 23 zakładach pracy i instytucjach występują istotne nieprawidłowości w zakresie porządku, ładu i dyscypliny pracy. Pozytywną ocenę otrzymały tylko dwa zakłady „Famaba” w Głogowie i „Zakmat” w Polkowicach. We wszystkich kontrolowanych jednostkach odbyły się narady z kierownictwem i aktywnym społeczno-politycznym na ich temat. Ekipy prezentowały wyniki

kontroli a następnie wspólnie zastanawiano się nad sposobami poprawy sytuacji. Wojewódzki Oddział Delegatury NIK ds. Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej w Legnicy, który był organizatorem przeprowadzonej kontroli, skierował do ośmiu zakładów pracy wystąpienia pokontrolne zawierające opis występujących nieprawidłowości oraz wnioski o ich wyeliminowanie w przyszłości.

Tak, czyli źle, wygląda sytuacja w wytypowanych zakładach pracy naszego województwa. Czy kontrolerzy IRCh dostrzegają wszystkie zaniedbania? Jak jest naprawdę? Jak jest w pozostałych? Te pytania muszą skłaniać do zastanowienia. Jeszcze raz się okazuje, że tak w ogóle to jest dobrze, tylko jeśli uważniej przyjrzymy się działalności konkretnego zakładu pracy — wychodzą na jaw rażąco przypadki, może nawet zjawiska, nieprzestrzegania prawa. Szczególnie niepokoi fakt, że omijają przepisy prawa bądź je lekceważą kierownictwa i służby pracownicze, a więc ci, którzy organizują pracę innych. Przy tej okazji warto i trzeba postawić inne pytanie: gdzie były organizacje partyjne, młodzieżowe, ich aktywność i członkowie? Czy nikt nie widział, że teraśtający do swojego symbolu zegar w jaworskiej „Pollenie” spóźniał się o siedem minut? Tylko siedem i aż siedem...

Wydać się, że mamy już poza sobą dyskusję o nadmiarze instytucji kontrolnych. Na przykładach przekonujemy się, że każda z nich ma sporo do zrobienia. Inspekcja Robotniczo-Chłopska, podejmując kolejne akcje kontrolne wybranych dziedzin naszego życia społecznego i gospodarczego, formułując konkretne wnioski i zalecenia pokontrolne, najlepiej uzasadnia rację swego istnienia. (W.P.)



Jaki będzie nasz świąteczny stół w tym roku? Zastawiony licznymi, tradycyjnymi daniami i przysmakami czy skromny, ot barszczyk, karp, śledź... To ważne, ale stokrotnie ważniejsze jest to, o czym i jak będziemy przy tym stole rozmawiali, czy nasze rozmowy będą inne niż na co dzień, czy będą serdeczne, życzliwe, czy potrafimy choć na czas Wigilii oderwać się od codziennych trosk i kłopotów. Za nami nerwowe przygotowania naszych żon, matek. To one ten stół przygotowały. My, mężczyźni mieliśmy obowiązek kupić drzewko, oprawić je, zabić karpia i... nie przeszkadzać. Niektórzy otrzymali zadanie kupienia jakichś gałek, goździków, olejów, majonezów... Biegając od sklepu do sklepu, nabieramy wówczas uznania dla naszych pań, które podobne zakupy robią codziennie. Jeśli więc nasz stół jest dziełem naszych żon i matek, niechże na nas, mężczyznach, spoczywa troska o świąteczną atmosferę przy świątecznym stole.

Wigilijny wieczór. Ostatnie przygotowania, choinka, lampki, bombki, łańcuchy. Potem czekanie, jak każe tradycja na pierwszą gwiazdkę, potem radość dzieci i dorosłych przy rozwijaniu prezentów, potem chwila wzruszenia przy dzieleniu się opłatkiem, życzenia zdrowia, szczęścia, sukcesów w pracy, szkole. I wigilijna kolacja. Dzieci, nawet te najmłodsze, także są z nami. Będą tak długo, aż sen weźmie górę nad emocjami z prezentów, które oczywiście przyniósł Mikołaj. Później rozmowy, rozmowy, wspominki, śpiewanie koled. I niech mi wolno będzie podpowiedzieć, aby spróbować na ten wieczór wyłączyć telewizor, radio. Po chwili zaskoczenia, że jest tak cicho, odkrywamy przyjemność ze spokojnej, cichej rozmowy, nawet urok milczenia, zadumy w ciszy, spokoju.

Tradycja każe, aby na wigilijnym stole stało jedno puście nakrycie. Dla tego, kto zabłądził, kto zapuka do naszego domu. W ten wieczór nie powinno być samotnych. Pomyślmy o tych, którzy są samotni, nie tylko spośród naszej bliższej i dalszej rodziny, może nawet znajomi, sąsiedzi. W ten wieczór samotność jest szczególnie bolesna. W ten wieczór, jedyny chyba w roku, mamy świadomość, że wszyscy Polacy zasiadają do stołu, składają sobie życzenia, aby było lepiej, mądrzej, spokojniej, aby zdrowie dopisywało i było mniej kłopotów osobistych i zawodowych. I my pragniemy dołączyć się do tych życzeń, aby te wszystkie życzenia się spełniły, aby serdeczność i życzliwość tego wieczoru była stale obecna w naszych domach.

Uniwersytet pomoże!

Województwo legnickie nie od dzisiaj boryka się z ogólnymi trudnościami w zapewnieniu wystarczającej ilości kadr nauczycielskich z wyższym wykształceniem.

Legnickie jest najmłodszym województwem w kraju. Średnia wieku jego mieszkańców wynosi 34 lata. Potrzebę w dziedzinie zapewnienia rzeszom młodych ludzi odpowiedniego wykształcenia dawno już zostały zauważone, lecz dopiero obecnie nastąpił finał wieloletnich starań. O to w sobotę 14 grudnia br. w siedzibie Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy uroczyste podpisano umowę między wojewodą legnickim Ryszardem Jelonkiem a rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr. hab. Janem Mozrymasem. Porozumienie dotyczy zasad działania, powołanego w bieżącym roku akademickim, Oddziału Zamiejscowego Instytutu Pedagogiki w Legnicy, który prowadzi już I rok zaocznych studiów pedagogicznych. Ustalono, że wrocławska uczelnia wydeleguje dla realizacji procesu dydaktycznego odpowiednią liczbę nauczycieli akademickich, zwiększając ją aż do osiągnięcia pełnych cykli kształcenia, co nastąpi w roku akademickim 1989/90. Każdy rok studiów liczyć będzie 30-40 słuchaczy zaocznych

studiów nauczania początkowego i 30 — studiów uzupełniających II stopnia. W umowie stwierdza się, że prace badawcze powołanego Oddziału Zamiejscowego będą uwzględniały w znacznym stopniu problematykę zagłębia miedziowego. Ze swej strony wojewoda legnicki zobowiązał się do zapewnienia (najdalej w ciągu roku) mieszkańcom tym nauczycielom akademickim, którzy zechcą związać się na stałe z Legnicą, dofinansowywania badań prowadzonych przez Instytut Pedagogiki w wysokości 1,5 miliona złotych rocznie, pomocy w wyposażeniu i rozwoju bazy dydaktycznej i socjalnej dla Oddziału Zamiejscowego. W myśl umowy, dla sprawowania pieczy nad realizacją tych planów powołana zostanie Społeczna Rada Osrodka, która stanowić będzie także element wiążący uniwersytet z władzami i społeczeństwem województwa legnickiego.

Umowę podpisali: w imieniu wojewody Ryszarda Jelonka wicewojewoda Tadeusz Podwiński oraz rektor Jan Mozrymas. Obecni byli przewodniczący WKKP Piotr Czaja, pracownicy nauki uniwersytetu oraz działacze oświatowi z woj. legnickiego. W wystąpieniach, jakie wygłoszono z tej okazji, przedstawiciele obu stron po-

twierdzili swą wolę rozwijania dalszej współpracy. Prof. Mozrymas stwierdził, iż wiele innych instytucji uniwersytetu pragnie wejść ze swym potencjałem badawczym i naukowym na teren województwa legnickiego i służyć wartościami humanistycznymi. Podkreślił dobru klimat dla takiej działalności, jaki wytworzyły legnickie władze polityczne i administracyjne. Do treści tych nawiązał Piotr Czaja, mówiąc, iż jak najszybciej należy stworzyć przeciwwagę dla rodzących się coraz szerzej tendencji technokratycznych, co związane jest z dynamicznym rozwojem przemysłu. Tą przeciwwagą powinien być rozwój dyscyplin humanistycznych. Podpisana w sobotę umowa jest pierwszym w tym dziele krokiem. Lapidarnie rzecz ujmując, treść obu wystąpień można zamknąć słowami: Tak jak technika nie może się rozwijać bez nauk podstawowych, tak człowiek bez nauk humanistycznych.

W czasie uroczystości podpisania umowy najbardziej zasłużonym we współpracy z województwem legnickim pracownikom naukowym uniwersytetu wręczono odznaczenia państwowe i regionalne. Prof. dr. Mirosław Chamecównę oraz dr. Stefanę Walasek wicewojewoda Podwiński udekorował Medalami 40-lecia PRL, zaś doc. dr. Bolesława Potyrała Medalem 40-lecia PRL oraz złotą odznaką „Zasłużony dla województwa legnickiego”.

(J)



STYCZEŃ

▲ 2.01. — Egzekutywa KW PZPR oceniła zaangażowanie członków KW, niektórych KM i KMG w pracę tych instancji. ▲ Pierwszy ostry mróz i śnieg sparaliżowały transport. W stacjach CPN nie było oleju napędowego — zimowego. Wystąpiły awarie systemów ciepłowniczych w miastach itd., itp., jak co roku... ▲ Zakończyły się wybory do samorządów mieszkańców miast i wsi. W Legnickim wybrano 34 komitety osiedlowe i 4 obwodowe w miastach oraz 442 rady sołeckie i 2 komitety osiedlowe na wsi. Sześć Prezydium Konwentu Soltysów wybrano Helenę Smardzewską z Piotrowic. ▲ Kazimierz Lizak został nowym przewodniczącym RW NOT w Legnicy. ▲ Komenda Chorągwi Legnickiej ZHP złożyła podziękowanie „Konkretom” za propagowanie działalności związku na łamach tygodnika. ▲ 10.01 — Z udziałem 163 delegatów obradowała IV Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza ZSMP. Przewodniczącym ZW wybrano ponownie Marka Zielińskiego. ▲ Wartkim strumieniem płynęły złotówki na konto NFOZ w 1984 roku; mieszkańcy Legnickiego przekazali w sumie blisko 90 mln zł, tj. o 15 mln więcej niż w 1983 roku. ▲ 14.01 — Prezydium WRN oceniło aktywność radnych i działalność komisji problemowych. ▲ 17.01 — III Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza Legnickiej Chorągwi ZHP. Kazimierz Pleśniak — ponownie komendantem chorągwi. ▲ 22.01 — WKO ocenił stan porządku i bezpieczeństwa publicznego w Legnickim. ▲ 23.01 — Egzekutywa KW omówiła sytuację społeczno-ekonomiczną w RSP i SKR w 1984 r. ▲ 23.01 — WK SD zapoznano się z przebiegiem przygotowań do III Wojewódzkiego Zjazdu Stronnictwa. ▲ Powołano Wojewódzką Radę do Spraw Organizacji, Funkcjonowania i Rozwoju Handlu pod przewodnictwem Kazimierza Burtnego — wicewojewody. ▲ 26.01 — Spotkanie przedstawicieli władz wojewódzkich z księgarzami z okazji ich dorocznego święta. ▲ W Jaworze przekazano do użytku nowy pawilon szpitalny. ▲ Przemysł województwa sprzedał w 1984 roku wyroby za 249,7 mln zł. ▲ 31.01 — Na sesji WRN przyjęto plan społeczno-gospodarczy i budżet na rok 1985.

LUTY

▲ 5.02 — Obradowała III Wojewódzki Zjazd Stronnictwa Demokratycznego, przewodniczącym wybrano ponownie dr. Janusza Chutkowskiego. ▲ 8.02 — Ukażala się jednodniówka „Życie Legnickie” z okazji 40-lecia wyzwolenia miasta. ▲ 8.02 — Wspólne plenum KW PZPR, WK ZSL, WK SD, RW PRON i WRN, które zainaugurowało obchody 40 rocznicy powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy. ▲ Przystąpiono do budowy drugiego nitki mostu na Kaczawie w Legnicy, który ma usprawnić ruch w mieście. ▲ Trwa dyskusja nad projektem ordynacji wyborczej do Sejmu PRL. ▲ 11.02 — Inauguracja Młodzieżowej Sztafety Dokonań z okazji 40-lecia powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy. ▲ 18.02 — Problemami Chocianowa zajmował się na wyjazdowym posiedzeniu Sekretariat KW PZPR. ▲ 21.02 — RW PRON opublikowała wyniki konsultacji założeń nowej ordynacji wyborczej. 21 i 22.02 — W KGHM w Lubinie resortowa narada na temat ochrony zdrowia załóg pracowniczych kopalni i hut zagłębia. ▲ 28.02 — III Wojewódzki Zjazd Delegatów Pracowniczych Ogródków Działkowych, na prezesa ZW POD wybrano ponownie Alojzego Waclawka.

MARZEC

▲ 3.03 — V Ogólnopolski Konkurs Piosenki Francuskiej w DKZM, zwyciężyła Tamara Świętochowska z Legnicy. ▲ 6.03 — Tapnięcie w „Rudnej” (oddz. G-14), wskutek odniesionych ran zmarł Stanisław Paraniak. ▲ Dzieci z grupy plastycznej przy legnickim MDK odniosły wiele sukcesów za granicą i w kraju. ▲ 6.03 — Kolejna wizyta rządowa w Legnickim. Grupa ministrów pod przewodnictwem wicepremiera Szalajdy zapoznana się z problemami wielu galezi gospodarki w województwie. ▲ 13.03 — Egzekutywa KW PZPR omówiła działania na rzecz eliminowania z życia partyjnego postaw niezgodnych ze statutem. ▲ 13.03 — Plenum KW rozpatrzyło materiały na Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczą PZPR, która zebrała się 23.03. ▲ 8.03 — Miejska Konferencja Sprawozdawcza PZPR w Legnicy. ▲ 15.03 — Prezydium WRN omówiło sposób realizacji wniosków zgłoszonych na spotkaniach radnych z wyborcami podczas konsultacji programu działania WRN. ▲ 25.03 — Wspólne obrady Sekretariatu KW i Kole-

gium Wojewody z udziałem przewodniczącego WRN poświęcone Legnicy. ▲ 26.03 — Sesja WRN; temat obrad: program rozwoju ochrony zdrowia i opieki społecznej w latach 1985—1990 i perspektywnie do roku 1995. ▲ 23.03 — Wojewódzka Konferencja Sprawozdawcza PZPR.

KWIECIEŃ

▲ 2.04 — Spotkanie rolników, pracowników rolnictwa i działaczy wiejskich z okazji 40-lecia Ziemi Odzyskanych. ▲ W II LO w Legnicy II przegląd twórczości patrona szkoły — Stanisława Wyspiańskiego. ▲ Zakończono śledztwo przeciwko Henrykowi Czyżewskiemu podejrzanemu o zgwałcenie i zabójstwo czterech kobiet. ▲ 10.04 — Egzekutywa KW omówiła sytuację w zatrudnieniu w Legnickim. ▲ 15.04 — Problemy środowiska naturalnego tematem obrad Sekretariatu KW, Kolegium Wojewody i Prezydium WRN. ▲ 14—15.04 — Koncerty zespołu folklorystycznego z zakładów metalurgicznych w Bierwianku (obwód zaporoski) entuzjastycznie przyjęte w Legnickim. ▲ 16—17.04 — Spotkanie chłopów-weteranów walki i powojennej odbudowy z

Polsko-Bułgarskiej; prezesem ZW TPPB wybrano ponownie Zygmunta Nowackiego. ▲ 20.06 — Sekretariat KW PZPR i Kolegium Wojewody omawiały problemy budownictwa w Legnicy. ▲ 22.06 — III Wojewódzki Zjazd TWP; prezesem został Adam Fuczek. ▲ 23.06 — Prezydium WRN zapoznano się ze składami wyłonionej przez RW PRON Okręgowej Komisji Wyborczej (przewodniczący Zbigniew Regulski) i Wojewódzkiego Konwentu Wyborczego (przewodnicząca Maria Hulajew).

LIPIEC

▲ 2.07 — Obradowała Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej, która określiła zadania dla terenowych i zakładowych KKP. ▲ 5—7.07 — III Grochowski Spotkanie Autorskie poświęcone tym razem zmarłemu tragicznie w 1979 roku Edwardowi Stachurze. ▲ 6.07 — W WOPR w Piotrowicach rozpoczął się XV już Międzynarodowy Plenar „Osetnica”. Udział brało 28 polityków z wielu krajów świata. ▲ 12.07 — Powstało Wojewódzkie Porozumienie Związków Zawodowych w Legnicy. Przewodniczącym został Antoni Przybyśzewski z ZKiMR w Jaworze. ▲ 12.07 — W KW PZPR dokonano podsumowa-

Fakty '85

Zebrał: Czesław Pańczuk

okazji 40 rocznicy zwycięstwa i 90-lecia ruchu ludowego. ▲ 23.04 — WKO oceniła sytuację społeczno-polityczną w Legnickim. ▲ 24.04 — Egzekutywa KW PZPR obraduje nad stanem zaopatrzenia mieszkańców ziemi legnickiej w warzywa i owoce. ▲ 26.04 — Narada aktywów społeczno-gospodarczego pracującego w rolnictwie. ▲ 30.04 — Uroczysta wojewódzka akademii 1-majowa.

MAJ

▲ 1.05 — W Legnickim w 1-majowych manifestacjach wzięło udział 110 tysięcy mieszkańców. ▲ 2.05 — Egzekutywa KW PZPR omówiła przebieg Święta Pracy w Legnickim. 3.05 — Uroczyste akademie z okazji Dnia Hutnika w Legnicy i Głogowie. ▲ 3.05 — Inauguracja wojewódzka Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy w „Elpo”. ▲ 6.05 — Delegacja władz okręgu starozagorskiego w Legnicy. ▲ 7.05 — Rozpoczęcie Legnickich Dni Techniki. ▲ 8—9.05 — Zlot 220 organizatorów życia politycznego i gospodarczego w latach 1945—1948. ▲ 10.05 — Podsumowanie kampanii ZHP „Byliśmy — Jesteśmy — Będziemy” z okazji 40-lecia powrotu ziem odzyskanych. ▲ 10—11.05 — W naszym województwie przebywała 14-osobowa grupa weteranów wojny z Kraju Rad. ▲ Ogłoszono wyniki tegorocznej edycji konkursu „Mistrz Gospodarności”, zwyciężyli Kunie, Chocianów i Jawor. ▲ 16.05 — Zmiana na stanowisku redaktora naczelnego „Konkretów”; funkcję obejmie Witold Podedworny, który dotychczas kierował „Sugestią”. ▲ 17.05 — Prezydium WRN obraduje nad informacją o przebiegu realizacji wniosków z kampanii wyborczej do rad narodowych. ▲ 22.05 — Egzekutywa KW zostaje zapoznana z wysoką oceną pracy wojewódzkiej instancji partyjnej dokonaną przez Biuro Polityczne KC PZPR. 21.05. ▲ 31.05 — Wykonanie planu i budżetu w roku 1984 — tematem obrad sesji WRN. ▲ 31.05 — Najstarsza legnicka podstawówka „jedyńka” obchodzi uroczystości 40 rocznicę powstania.

CZERWIEC

▲ 5.06 — Plenum KW PZPR omawia efektywność gospodarowania w przedsiębiorstwach. ▲ 1.06 — Festiwal Piosenki Francuskiej w DKZM. ▲ 10.06 — Egzekutywa KW oceniła działalność gminnej organizacji partyjnej w Kunicach. ▲ 14.06 — Narada ideologiczna, w której uczestniczyli naukowcy-teoretycy z Uniwersytetu Wrocławskiego i Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR; dyskutowano o społecznych aspektach reformy gospodarczej. ▲ 14.06 — Uroczyste spotkanie kombatantów ziemi legnickiej z okazji 40-lecia powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy. ▲ 18.06 — Obraduje I Wojewódzki Zjazd Towarzystwa Przyjaźni

nia przeglądu przedsiębiorstw budowlano-montażowych w województwie. ▲ 19.07 — Uroczysta akademii wojewódzka z okazji Święta Odrodzenia. ▲ 21.07 — Zlot urodzinowy Chorągwi Legnickiej ZHP w Zaborówcu. ▲ 21.07 — Grębo-cice otrzymały nowy gminny ośrodek zdrowia. ▲ 21.07 — W PGR Złotoryja oddano do użytku kompleks zakładowych obiektów kulturalnych (biblioteka, muszla koncertowa). ▲ 22.07 — W Lubinie otwarto nowy stadion o 35 tys. miejsc. ▲ Zagłębie Lubin awansowało do ekstraklasy piłkarskiej. ▲ 25.07 — Przygotowania do wyborów i procedura wyłaniania kandydatów na posłów były przedmiotem obrad Wojewódzkiego Konwentu Wyborczego. ▲ W pierwszym półroczu społeczeństwo województwa legnickiego wpłaciło na NFOZ 46 mln 290 tys. zł.

SIERPIEŃ

▲ 6.08 — Plenum KW PZPR oceniło stan wojewódzkiej organizacji partyjnej przeanalizowało skuteczność realizacji uchwał i wniosków oraz określiło główne kierunki pracy do X Zjazdu PZPR. ▲ 178 szkół, internatów i przedszkoli w Legnickim poddano remontowi. Koszt przedsięwzięcia — 340 mln zł. ▲ Rozpoczęły się obywatelskie zebrania konsultacyjne z kandydatami na posłów. ▲ 14.08 — Egzekutywa KW obradowała nad sytuacją w zakresie ładu i porządku publicznego i dyscypliny społecznej w województwie. ▲ 16.08 — I sekretarz KW PZPR Jerzy Wilk odwiedził zgrupowanie obozów harcerskich w Zielonogórskim. ▲ W Głogowie otwarto nowy salon „Sztuki Polskiej”. ▲ 16.08 — Podnosi się woda na Odrze, 18.08 ogłoszono alarm powodziowy. Na szczęście po kilku dniach woda zaczęła opadać. ▲ Ogłoszono wstępne dane na temat kontroli przydziału mieszkań przeprowadzonej przez IRCh w lipcu i sierpniu. ▲ Zakończono zrzepakowe żniwa. ▲ 1059 wypadków wydarzyło się w ciągu 7 miesięcy br. w zakładach KGHM. Rok temu było o 19 urazów więcej. ▲ 27.08 — W Legnicy przebywała delegacja Prokuratury Generalnej Węgier z Karolem Szjartó na czele. ▲ 28.08 — Egzekutywa KW PZPR oceniła funkcjonowanie instytucji i przedsiębiorstw handlowych. ▲ 19.8 mln ton rudy miedzi wydobyły w ciągu 8 miesięcy kopalnie KGHM, przekraczając zadania planowe o 5,5 proc. Huty dały 253,3 tys. ton miedzi elektrolitycznej. ▲ 31.08 — Uroczysty capstrzyk ku czci poległych na frontach II wojny światowej w przededniu 46 rocznicy napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę.

WRZESIEŃ

▲ 6.09 — Plenum KW PZPR określiło zadania w kampanii wyborczej do Sejmu oraz rolę i udział inteligencji w społeczno-gospodarczym rozwoju regio-

nu. ▲ 9.09 — Wojewódzki Konwent Wyborczy przedstawił dziesięciu kandydatów na posłów z okręgu wyborczego nr 37. Okręgowa Komisja Wyborcza zarejestrowała tę listę. ▲ 13.09 — Konferencja pt. „Kierownicza rola PZPR w umacnianiu demokracji socjalistycznej” zainaugurowano nowy rok kształcenia ideologicznego w partii. ▲ W Legnickim na zaproszenie ZW ZSMP przebywa delegacja komsomołu z obwodu zaporoskiego. ▲ Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZSMP reaktywował swą działalność, przewodniczącym został Felix Szuta. ▲ 17.09 — Wybuch domu w centrum Polkowic. Pięć osób rannych, na szczęście wszystkie ocalały. ▲ 18.09 — W 90 rocznicę powstania polskiego ruchu ludowego w Legnickim przebywał prezes NK ZSL Roman Malinowski. ▲ Rozpoczęło się sprawdzanie list wyborców. ▲ Zainaugurowano kolejną turę spotkań kandydatów na posłów z wyborcami. ▲ 20—22.09 — Obchody X-lecia powstania Chorągwi Legnickiej ZHP. Chorągiew odznaczono najwyższym odznaczeniem harcerskim — Krzyżem „Za zasługi dla ZHP”. ▲ 25.09 — Egzekutywa KW PZPR oceniła działalność gminnej organizacji partyjnej w Pęclawiu. ▲ 25.09 — członek BP, sekretarz KC PZPR Tadeusz Porębski udekorował GPB Orderem Sztandaru Pracy. ▲ 26.09 — Narada aktywów partyjnego z udziałem Tadeusza Porębskiego. ▲ 27.09 — Perspektywy rozwoju przemysłu rolno-spożywczego były głównym tematem obrad sesji WRN.

PAŹDZIERNIK

▲ 6.10 — Remisowy telewizyjny turniej miast Jawor — Wieluń. ▲ Uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego w Filii Politechniki Wrocławskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. ▲ Jawor otrzymał nowy szpital. ▲ 10.10 — Zakończył się ogólnopolski plener malarstwa „Głogów '85”. ▲ 13.10 — Wybory do Sejmu PRL. W Legnickim głosowało 78,61 proc. uprawnionych. Nasz region w Sejmie IX kadencji reprezentować będą: Krystyna Czubak, Genowefa Gren, Czesław Mularski, Antoni Samborski i Jerzy Wilk. ▲ 23.10 — Egzekutywa KW oceniła przebieg kampanii wyborczej do Sejmu. ▲ Zespół Pieśni i Tańca „Legnica” obchodził 10 rocznicę powstania. ▲ 30.10 — Gospodarka leśna i przemysł drzewny — tematem obrad Egzekutywy KW PZPR.

LISTOPAD

▲ 7.11 — Uroczystości związane z obchodami 68 rocznicy Wielkiego Października. ▲ 13.11 — Obradowała Egzekutywa KW PZPR. Oceniono sytuację polityczną i pracę partyjną na wsi. ▲ 15.11 — Ogólnopolska giełda materiałowo-maszynowa w Akademii Rycerskiej. Zawarto dziesiątki transakcji. ▲ 18.11 — Na wspólnym posiedzeniu Sekretariatu KW PZPR, Kolegium Wojewody i przewodniczącego WRN omawiano kierunki rozwoju budownictwa mieszkaniowego na wsi do roku 1990. ▲ 19.11 — Ukonstytuował się Wojewódzki Zespół Poselski pod przewodnictwem Jerzego Wilka, sekretarzem WZP została Krystyna Czubak. ▲ 18.11 — Mróz i śnieg — jak zwykle — zaszkodziły komunalnikom i drogowcom. ▲ 19.11 — WKO obradowała nad sytuacją społeczno-polityczną, ładem i porządkiem publicznym w Legnicy. ▲ 27.11 — Stan zaawansowania w realizacji uchwały XVIII Plenum KC był przedmiotem obrad Egzekutywy KW PZPR. ▲ 27.11 — Zakład Budowy Kopalni KGHM — jako pierwsze przedsiębiorstwo w województwie — wykonał plan roczny. ▲ Z dnia na dzień rośnie ilość wypadków na oblodzonych drogach.

GRUDZIEŃ

▲ 2.12 — Miedziana Barbórka '85: odsłonięcie pomnika Jana Wyżkowskiego — odkrywcy polskiej miedzi w Lubinie; wojewódzka akademii barbórkowa w DKZM; finał XII plebiscytu „Konkretów” na Najpopularniejszego Górnika Zagłębia Miedziowego '85, w tym roku tytuł ten przypadł Jerzemu Mazurowi — sztygarowi w ZRG KGHM. ▲ Wizyta zastępcy naczelnego redaktora „Zaporskiej Prawdy” Iwana F. Cyganoka. Omówiono zasady stałej współpracy między „Konkretami” i dziennikiem z Zaporozia. ▲ 11.12 — Egzekutywa KW PZPR i Prezydium WK ZSL omówiło realizację uchwały XI Plenum KC PZPR i NK ZSL oraz uchwał wojewódzkich instancji obu partii w zakresie rolnictwa i gospodarki żywnościowej.

„Fakty roku '85” zamknięto 16 grudnia 1985 roku.



OREST FERENC — naczelnik poczty w Krzeszynie Wielkim:

— Ten rok pod względem pomyslności był dla mnie i mojej rodziny średni. W życiu zawodowym nie zdarzyło się nic istotnego. Krzeszyn Wielki szybko rozwija się i pracy przybywa z roku na rok. Gdy 26 lat temu obejmowałem placówkę, w rejonie miałem 13 rencistów i emerytów, obecnie mam ich 320, abonentów telefonicznych było trzech, a teraz 25.

Byłem w tym roku w sanatorium, bo zdrowie już mi nie dopisuje. Wielu pocztowców choruje na korzonki, wiąże się to chyba z charakterem naszej pracy. Lekarz proponował mi nawet przejście na rentę. Ale dopóki mogę, chcę pracować. Założyłem sobie, że dociągnę do 60 lat, będą miał wtedy równo 40 lat pracy i pełną emeryturę.

W domu wiedzie się nie najgorzej, mam pięcioro udanych dzieci. Dwie córki już pracują, jedna na poczcie. Wspólnie całą rodziną uprawiamy pole, które córka kupiła w tym roku i jakoś sobie radzimy. Doczekaliśmy się też wreszcie dużego fiata z PKO. Ale radość z tego powodu zakłóca trochę jego cena.

Na rok przyszły nie specjalnego nie planuję. Mam nadzieję, że nie będzie gorzej niż dotąd. (cmka)



STANISŁAW JARO-SIEWICZ — górnik-operator w oddziale wydobywczym G-2 ZG „Rudna”:

— Fedrowało nam się dobrze, górnicze szczęście dopisywało. Plan wydobywania wykonaliśmy na początku listopada. Do końca roku będziemy pracować na konto tych oddziałów, które znalazły się pod kreską. Bo w górnictwie tak bywa, że raz na wozie — raz pod wozem. Wyniki w sporej części zależą od warunków geologicznych. Ale bardzo wiele zależy też od człowieka.

Myśląc o roku 1986 marzę sobie, aby wreszcie podstawowa zasada reformy — jaka praca taka płaca, zeszała na poziom pojedynczego robotnika. Aby był on bezpośrednio i głęboko zainteresowany w podnoszeniu wydajności i jakości pracy, aby miał motywację. Bo na razie dużo się o reformie mówi i pisze, ale jej rezultaty na dole, na poziomie robotnika nie widać, a przynajmniej ja ich nie widzę. U nas wszystko jest po staremu. Może upłynęło zbyt mało czasu, aby porządkowanie gospodarki sięgnęło tak głęboko? (dob)

Mój rok 1985/86



BRONISŁAW KĘDZIŃSKI — prezes legnickiego PSS „Społem”:

— To był ważny rok w moim życiu, także pod względem spojrzenia na otaczającą mnie rzeczywistość. Do września byłem szefem Wojewódzkiego Inspektoratu Państwowej Inspekcji Handlowej, a obecnie — prezesem legnickiego „Społem”. Tak więc z pozycji kontrolującego handel stałem się jego pracownikiem. Nie ukrywam, że zderzenie tych dwóch profesji pozwoliło mi teraz podjąć wysiłki na rzecz poprawy działalności handlu spożywczego w mieście. Przeprowadzamy obecnie reorganizację firmy. Reformowaniu podlegają wszystkie sfery działalności „Społem”, a więc sprzedaż detaliczna, produkcja i gastronomia. Będziemy surowiej egzekwować rytmiczność i wielkość dostaw towarów do naszych placówek, inspirować produkcję nowych asortymentów, konsekwentnie dbać o poprawę jakości towarów i usług, propagować rozwój form patronackich. Jest to program ambitny, ale realny. Jeśli jego urzeczywistnienie powiedzie się, wówczas już w nadchodzącym roku nasi klienci nie powinni mieć powodów do niezadowolenia. Tego gorąco życzę zarówno sobie, jak i im. Wszystko więc wskazuje, że rok 1986 będzie dla mnie również ważny jak mijający. Obv, a tak mam nadzieję, był rokiem przełomowym dla legnickiego handlu spożywczego. (j)



NINA STEPIEŃ — kierowniczka Domu Kultury „Impresja” w Polkowicach:

— Jeżeli chciałabym ocenić mijający rok z perspektywy zawodowej, to muszę powiedzieć, że obfitował w sukcesy. Ale nie jest to tylko moja zasługa, lecz również wszystkich moich współpracowników. Po pierwsze więc Klub Kultury „Impresja” awansował do pozycji domu kultury. Po drugie zwyciężyliśmy w dwóch poważnych konkursach. Po raz drugi w rywalizacji na najlepszą placówkę spółdzielczą w województwie legnickim i w konkursie organizowanym przez ZW ZSMP o Klubowy Laur (w kategorii placówek miejskich). Właśnie szkielet planu pracy na rok przyszły i oczywiście chciałabym żeby był również pomyslny.

A prywatnie? Można powiedzieć, że wszystko toczyło się zwyczajnie. Wprawdzie przywitałam nowy rok bardzo oryginalnie, bo w Soczi, ale potem jeden dzień podobny był do drugiego. Do końca 1985 r. pozostało jeszcze kilkanaście dni i nie brakuje mi optymizmu. (w)



ROMAN SZEWDO — rolnik indywidualny z Janowic, sołtys wsi:

— Ten rok był dobrym okresem dla rolników. W moim 15-hektarowym gospodarstwie osiągnąłem bardzo udane plony. Zboże — 60 kwintali z hektara, buraki — 460. Jak widać jest to znacznie więcej niż średnia wojewódzka. Nie chodzi jednak o średnią, ale o to, by z ziemi udało się wygospodarować jak najwięcej.

Latem zacząłem budować nowy dom. Jest u nas takie przysłowie, że jeśli chcesz kogoś ukarać, każ mu się budować. Rzeczywiście kłopotów z budową co niemiara. Przede wszystkim trudno kupić wszystkie materiały budowlane. Myślę jednak, że choć z kłopotami, ale wreszcie postawię sobie nowe mieszkanie.

Rolnicy parający się produkcją buraków coraz częściej podnoszą sprawę niskiej ceny skupu na tę uprawę. Dyskutowaliśmy ten problem również na forum Związku Producentów Roślin Okopowych. Niestety, postulaty nasze nie zostały jeszcze wysłuchane. Szkoda, bo jak dowiadujemy się w cukrowni, kontraktacja na buraki z roku na rok się zmniejsza. (N)



Płk BRONISŁAW WOJCIECHOWSKI — naczelnik Wydziału Ogólnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Legnicy:

— Miniony rok, jak zwykle trudny w naszej pracy obfitował w ważne procesy polityczne. Obowiązkiem milicji jest zawsze w takich przypadkach zabezpieczenie ładu i porządku publicznego. Dzięki podjętym działaniom profilaktycznym, kampania wyborcza do Sejmu i inne wydarzenia przebiegały spokojnie i bez zakłóceń. To dobrze, bo przecież wszyscy pragniemy żyć i pracować w spokoju.

Pożytywnym przekształceniem ulegają rozmiary przestępczości pospolitej w naszym województwie. Udało się zahamować, po raz pierwszy od wielu lat, wzrost przestępstw kryminalnych. Wprowadzone ostre sankcje oraz operatywna praca milicji doprowadziły do tego, że przestępstwo przestało się opłacać. Skrócił się okres od popełnienia czynu karalnego do wyroku.

Mam nadzieję, że w przyszłym roku uporamy się z plagą włamań i kradzieży, co stanowi ostatnio największą bolączkę mieszkańców naszych miast. Potrzebna jest jednak pomoc całego społeczeństwa. Nikt nie może pozostawać obojętny wobec ludzi, którzy nie chcą zgodnie żyć z innymi. (w)



MIECZYŚLAW ŁAPIŃSKI — główny inżynier ds. ochrony środowiska w zarządzie KGHM:

— Rok obecny zamyka pierwszą połowę lat osiemdziesiątych, która dla nas, ochroniarzy, była wyjątkowo pomyslna. W ciągu tych pięciu

lat w dziedzinie ochrony środowiska zrobiliśmy gigantyczny krok naprzód. Emisja wszystkich szkodliwych substancji została obniżona radykalnie. Spójrzmy choćby na pył metalonowy. Huta „Legnica” wyemitowała w roku 1980 7.869 ton pyłów, w tym roku wyemitowała około 600 ton, a więc trzynastokrotnie mniej! Emisja pyłów przez kompleks metalurgiczny „Głogów” I i II zmalała siedmiokrotnie z 11.600 ton do 1600 ton. To jest poważne osiągnięcie.

Rok bieżący przyniósł rozwiązanie problemu zużycia pomieszczeniowego z HM „Głogów” II. Do tej pory zużół z tej hut nie znalazł praktycznego zastosowania, jak np. zużół z HM „Legnica”, który był i jest wykorzystywany do produkcji kruszywa. Ale po dwóch latach prób udało się. Zużół będzie stosowany do budowy zapór stawu osadowego „Żelazny Most” i jest to już docelowe rozwiązanie.

Jeśli idzie o przyszły rok, to chciałbym, aby udało się uruchomić instalację do spalania gazów szkodliwych w hucie „Legnica”, dzięki czemu Legnica przestanie odczuwać dolegliwe sąsiedztwo huty. (dob)



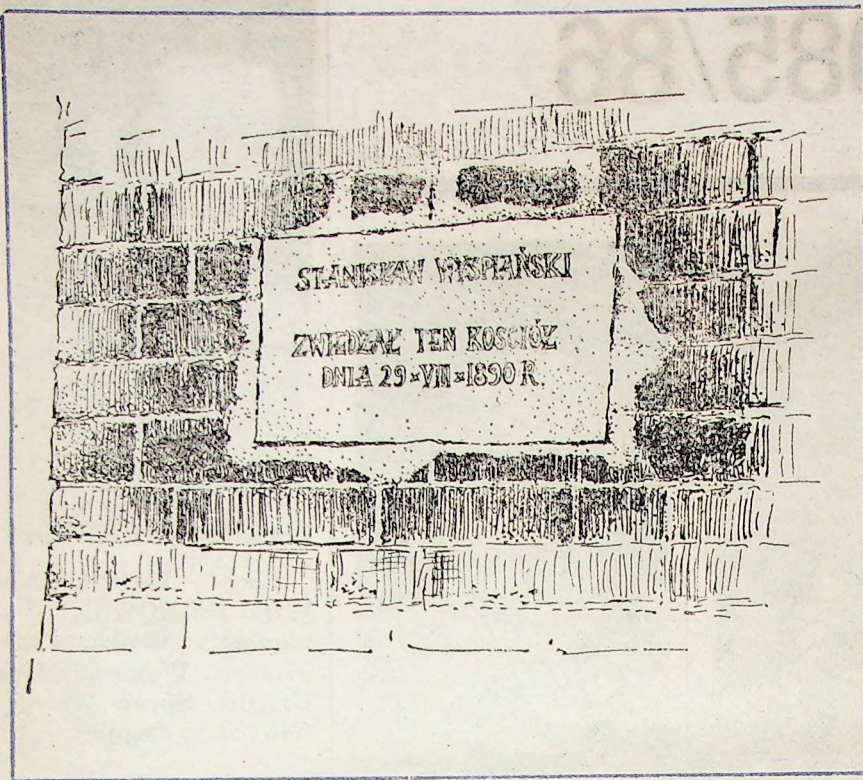
WIESŁAW WOŹNIAK — dyrektor Szpitala Wojewódzkiego w budowie:

— Nadzorowałem remont Szpitala Chirurgicznego w Legnicy. Obiekt został już przekazany społeczeństwu i uruchomiony. Jest nowoczesnie wyposażony, działają w nim

specjalistyczne oddziały i będzie służyć mieszkańcom całego województwa.

Od przyszłego roku czeka mnie mnóstwo pracy związanej z wyposażeniem Szpitala Wojewódzkiego. Przewidziana dokumentacja aparatura jest przestarzała i trzeba ją będzie zweryfikować. Ponadto część aparatury rentgenowskiej, bloku diagnostycznego i bloków operacyjnych była przewidziana do zakupienia w II ebszarze płatniczym i trzeba będzie szukać zamienników. W połowie przyszłego roku chcemy przy Szpitalu Wojewódzkim uruchomić pralnię, na co czeka cała legnicka służba zdrowia. A moje sprawy osobiste... Moja sytuacja jest ustabilizowana, mam mieszkanie, dzieci są zdrowe. Jeżeli przyszły rok będzie taki jak miniony, będę zadowolony. Większych planów osobistych nie mam, sądzę, że i przyszły rok upłynie pod znakiem pracy zawodowej, która mnie całkowicie pochłania. (AS.)

Zdjęcia: Janusz Budnicki, Franciszek Grzywacz, Andrzej Jaskuła.



Spiesząc do pracy lub po zakupy mijamy tablice, które upamiętniają ludzi i wydarzenia sprzed lat. Podczas świątecznego spaceru po mieście warto zatrzymać się i przeczytać wyryte w kamieniu napisy.

Takich miejsc jest wiele w Legnicy. Szkoda że dotąd tablicom nie poświęcono całościowego opracowania. Wiadomości na ich temat rozsiane są po różnych wydawnictwach. Tak więc publikacja ta — z konieczności skrócona — nie wyczerpuje tematu. Ma na celu zainteresowanie czytelników tymi pamiątkami przeszłości.

Na murze kościoła Najświętszej Maryi Panny znajduje się tablica upamiętniająca pobyt w Legnicy Stanisława Wyspiańskiego (1869—1907). Zatrzymał się tu 29 sierpnia 1890 roku, wracając z pierwszej podróży zagranicznej. Liczył wówczas 21 lat i był jeszcze studentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Do wyprawy zachęcił go kierownik prac restauracyjnych kościoła Mariackiego w Krakowie — Tadeusz Stryjeński. Właśnie do niego wysłał Wyspiański list, w którym opisuje swe przeżycia w Legnicy oraz rozmyślenia na temat historii grodu — co po latach znalazło odzwierciedlenie w rapsodzie o Henryku Pobożnym. Artysta interesował się wówczas gotykami i renesansem. Wiele uwagi poświęcił kościołowi NMP. Szczególnie spodobały mu się renesansowe figury nagrobne rycerzy śląskich — Jana z Rębienicy i Rotkirsza z Czerwonego Kościoła.

Wyspiański wiele czasu spędził także w kościele Św. Piotra i Pawła, który nazwał „składem różnych rupiec z XV, XVI aż do XVIII wieku”. Zainteresowały go jednak pomniki rycerzy i mieszczan, resztki XV-wiecznych ław z rzeźbami, ślady XVI-wiecznych fresków. Większość z tych ozdób nie przetrwała do naszych czasów. Zostały bowiem zniszczone podczas niefortunnej, neogotyckiej przebudowy w latach 1892—94.

Warto tu wspomnieć, że zachowały się rysunki Wyspiańskiego z Legnicy. Artysta uwiecznił na nich wspomniane nagrobki z kościoła NMP, piastowskiego orla oraz postać Wacława I i jego żony Anny (z linii legnicko-brzeskiej Piastów) z kościoła Św. Piotra i Pawła.

Obok kościoła NMP, na elewacji domu przy ulicy Biskupiej 7, znajduje się tablica pamiątkowa Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812—1887). Ten najchętniej dziś czytany klasyk zostawił 144 powieści — w tym 88 poświęconych dziejom naszego kraju. Nie mogło wśród nich zabraknąć tematyki legnickiej. Pasjonujące przygody bohaterów powieści „Syn Jazdona” ukazał Kraszewski na tle historii piastowskiego grodu. Tablica została umieszczona, być może tam właśnie, gdzie (jak pisze Długosz), spadł kamień, który w przeddzień bitwy z Tatarami mało nie roztrzaskał głowy wychodzącemu ze świątyni Henrykowi Pobożnemu...

Budynek Zespołu Szkół Ekonomicznych zdołał upamiętniającą jednego z najwybitniejszych polskich ekonomistów Fryderyka Skarbka (1792—1860). Był on zwolennikiem libera-

lizmu gospodarczego, autorem m.in. „Gospodarstwa narodowego”.

Ten znakomity uczyony bawił w Legnicy kilkakrotnie. W 1804 roku zatrzymał się tu jadąc na studia do Francji. W 1822 roku — już jako profesor Uni-

Historia na murze

Piotr Ceglowski

wersytetu Warszawskiego — przyjechał turystycznie, na kilkanaście dni. Interesowała go odbudowa, po pożarze, kościoła NMP. W pamiętniku zanotował następujące wydarzenia: „W Legnicy słyszeliśmy poloneza Kurpińskiego, granego na katarynie. Dla podobania się nam grano w jednym domu krakowiaci i polonezy Ogińskiego na klawikordzie”. Pomimo nasilonej germanizacji — polskie tradycje kulturalne były wówczas bardzo silne. Duża w tym rola słuchaczy Akademii Rycerskiej. Także niektórzy mieszczanie interesowali się Polską i mówili po polsku. Można tu przytoczyć przykład... muzykalnej córki piekarza, która grała polonezy Skarb-kowi.

Polskie poczucie narodowe budzili na tych ziemiach także żołnierze armii napoleońskiej. Zaświadcza o tym tablica wmurowana w ścianę kamieniczki „śledziówki”. Znajdują się na niej słowa: „Ułanom Legii Nadwiślańskiej na pamiątkę pobytu w Legnicy dnia 14 maja 1807 roku”. Także na budynku Zespołu Szkół Rolniczych znajduje się tablica upamiętniająca Polaka w służbie cesarza Francuzów generała Dezzyderego Chłapowskiego (1788—1879). Dowodził on, wstawionym szarżą pod Samosierrą, pułkiem szwoleżerów, który 27 stycznia 1813 roku stoczył na przedpolach Legnicy zwycięską walkę z jazdą pruską. Generał Chłapowski zanotował, że było to w miejscu, „gdzie wieś długa na południe od Legnicy się ciągnie, a jej środkiem strumyk płynie”. Jak pisał Andrzej Zieliński w artykule opublikowanym w XII tomie „Szkiców Legnickich”, bitwa odbyła się w okolicach ul. Jaworzyńskiej. Wspomnienie o noclegu w budynku dzisiejszego I Liceum Ogólnokształcącego zostawił inny oficer tego pułku Józef Załuski.

Na murze szkoły podstawowej przy ulicy Waszkiewiczów umieszczono tablicę Józefa Jeziorowskiego (1767—1856). Był to jeden z najwybitniejszych legniczan — znany w całej Europie — pedagog, bliski współpracownik Pestalozziego. Postać Jeziorowskiego była pomijana przez wszystkich niemieckich historyków, którzy nie mogli mu wybaczyć niekwestionowanej polskości.

Józef Jeziorowski urodził się w Olesie na Górnym Śląsku, w skromnej rodzinie rolniczej. Studiował teologię na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie zanotowano go jako Ślązaka — utrakwistę, czyli władającego biegle językiem polskim. Po ukończeniu seminarium w 1741 roku został wikarym w Sycowie, skąd cztery lata później przeniósł się do Warszawy. Wkrótce potem złożył godność duchowną. Było to w tamtych czasach aktem osobistej odwagi i bardzo utrudniło mu życie. Pomimo nieprzychylnego stosunku władz kościelnych szybko stał się Jeziorowski znany pedagogiem. Osiągnięcia zdecydowały o skierowaniu go na praktykę do Pestalozziego, który uznał młodego Polaka za jednego ze swych najzdolniejszych uczniów. Zaświadcza o tym list wysłany przez Pestalozziego do ministra Wossa, gdzie znalazły się słowa: „Znajomość z panem Jeziorowskim zaliczam do najszybszych zdarzeń w moim życiu. Takich ludzi właśnie potrzeba, aby uczynić początek zmian w nauczaniu i wychowaniu. Znalazłem w nim przyjaciela, któremu mogłem otworzyć całe me serce”.

Od 1804 roku Jeziorowski kierował założonym przez siebie Seminarium Nauczycielskim w Poznaniu. Pięć lat później przeniósł się do Legnicy, gdzie został radcą szkolnym. Zmarł w 1856 roku. Został pochowany na cmentarzu miejskim, ale grób jego nie zachował się.

W Zamku Piastowskim, w przejściu bramy, po prawej stronie znajduje się słabo widoczna, tablica Andrzeja Zamoyckiego (1716—1792). Był on najsłynniejszym wychowankiem legnickiej Akademii Rycerskiej. Zdobył tu wiedzę, umiał spożytkować dla dobra kraju. Jako kanclerz pracował nad reformą miejską. W 1766 roku wystąpił z projektem ograniczenia liberum veto. Należał do najbardziej aktywnych członków Komisji Edukacji Narodowej. Wydał m.in. „Zbiór praw sądowych”. W pamięci rodaków zapisał się też jako przeciwnik uzależnienia kraju od sąsiednich mocarstw.

Na zachodniej ścianie budynku PKO przy placu Zawadzkiego, umieszczono tablicę upamiętniającą historyka i lite-

rata Augusta Bielowskiego (1806—1876). Brał on udział w Powstaniu Listopadowym. Jako pracownik Zakładu Narodowego im. Ossolińskich — zajmował się dziejami Rzeczypospolitej. Popularyzował wiedzę historyczną także w poetyckiej formie. Bardzo znany był przed stu laty jego poemat o bitwie na Dobrym Polu, który spowodował wzrost zainteresowania wśród czytelników piastowskimi dziejami Dolnego Śląska.

Są też w Legnicy tablice upamiętniające wydarzenia sprzed lat czterdziestu. Jedną z nich odsłonięto w tym roku na kamienicy przy ul. Wojska Polskiego, gdzie mieścił się w 1945 roku Komitet Wojewódzkiej Polskiej Partii Robotniczej. Inną wmurowano w ścianę domu przy ul. Bielańskiej. Była tu pierwsza redakcja pierwszego na Dolnym Śląsku dziennika „Pionier”. Tablica znajduje się też na budynku po przeciwnej stronie ulicy. Miał tam swą siedzibę — do października 1945 roku — Urząd Wojewódzki.

Nie mają, niestety, swoich tablic wybitni legniczanie z dawnych wieków. Jerzego Libana (1464—1546) — teoretyka muzyki, hellenistę, przyrodnika — upamiętnia tylko główna nagroda, przyznawana na corocznych turniejach chórow „Legnica Cantat”.

Za cztery lata będziemy obchodzili 700-lecie śmierci Witelona (1225—1290), który jako jedyny słynny mieszkaniec Legnicy z okresu średniowiecza ma swoją tablicę przy ul. Św. Jana. Nie ma natomiast ulicy swego imienia. Witelon był, jak podaje „Mała Encyklopedia Powszechna” — pierwszym, znanym polskim matematykiem, filozofem i fizykiem. Jego dzieło „Perspectiva” uważnie studiował sam Kopernik. Warto wiedzieć, że Witelon dostąpił wielkiego zaszczytu — wyboru na biskupa salzburskiego, co zatwierdził papież. Uczony zrezygnował jednak z godności i wrócił do Legnicy, gdzie do końca życia był proboszczem i nauczycielem w szkole przy kościele Św. Piotra i Pawła. (Trzeba dodać, że daty urodzin i śmierci uczonemu podane na tablicy — 1230—1314 — są inne niż w encyklopedii).

Za i przeciw

▲ Dyrektorzy wielu domów kultury rezygnują z interesujących imprez, ponieważ nie chcą się narażać „omijając” przepisy utrudniające płacenie „półzawodowym” twórcom.

Nietawno im też wyliczyć, ile może zażądać (zgodnie z przepisami) zawodowiec.

Kłopotów tych unikną dyrektor lubińskiego klubu „Zuraw”, który powołał impresariata artystycznego.

Jest to placówka niezależna finansowo, choć merytorycznie związana z klubem. Opiekuje się ona świetnym, właśnie „półzawodowym” „Big-Bandem”, zaprasza na występy znanych satyryków i zespoły muzyczne.

Pomysł okazał się bardzo dobry. Może go więc „kupić” także inne placówki kulturalne?

▲ Wśród uczniów legnickich szkół średnich lotem błyskawicy rozniósł się wieść, że Marian Czerski, grający Konrada w „Dziadach”, nie chciał przyjąć kwiatów po spektaklu, od przedstawicieli hataśliwej, nastoletniej publiczności. Co więcej, zaproponował, żeby goździki przekazać nauczycielom, którzy obojętnie obserwowali wybryki swych podopiecznych... Po premierze „Lilli Wenedy”, grający stosunkowo niewielką rolę (Polelum) Czerski otrzymuje zawsze kwiaty od młodych miłośników teatru — nawet wtedy, gdy bukietów brakuje dla odtwórców pierwszoplanowych ról. Jak widać „nauka nie idzie w las”. Warto się jednak zastanowić — czy młodzieży nie można było owej „nauki” udzielić wcześniej, zanim zaprowadzono ją do teatru.

▲ W tym roku także nie będzie balu sylwestrowego w Złotoryjskim Ośrodku Kultury. Jak nas poinformował dyrektor ZOK Sławian (dawniej Sławomir) Trocki — uczestnictwo w balu mogłoby stanowić poważne zagrożenie dla wystroju wnętrza, bo już kiedyś ktoś pijany wylał kawę na ścianę. Wyjaśnienie to wydaje się niezbyt przekonujące. Nawet w najlepszym towarzystwie może się zdarzyć czarna (kawowa) owca. Słowem — wyłano dziecko z kąpielą. Warto dodać, że na balach spotykali się bardziej i mniej znaczni mieszkańcy grodu. Wtedy właśnie udawało się załatwić, ważne dla miasta, sprawy „nie do załatwienia”. Bale te należały do miejscowych tradycji, które należałoby chronić, a nie likwidować. Niech się pan zastanowi, panie Sławianie, co oprócz fraszek po panu zostanie.

▲ Dzwonią do nas i piszą czytelnicy obrażeni, że podajemy zły program telewizyjny. Kilku z nich udowadniało nam nawet, że telewizja ma pewne reguły zastępowania jednych filmów innymi. Trudno się z tym zgodzić, choć jednak czytelnicy mają rację mówiąc, że tajemne słowa „zastępowamy sobie prawo do zmian” niewiele znaczą i wyjaśniają. Nawet pozycje zapowiadane przez specjalny program „Antena” są w ostatniej chwili przesuwane na inny termin — i to bez przeprosin. Wydaje się to dziwne, ponieważ właśnie telewizja powinna uczyć solidności. Tak więc wyjaśniamy, że „Konkrety” nie ponoszą odpowiedzialności za owo nadużywanie „prawa do zmian w programie”. (S-ka)

Kominy mistrza Amrożego

Wanda Dybalska

Marian Amroży, mistrz kominiarstwa nie nosi już cylindra. Siedzi za biurkiem, z jednej strony telefon, z drugiej kalkulator i szefuje. Mierzy kominy, zagląda do cennika, rachuje godzinówki, kontroluje. Przez wiele lat pracował „na czarno”, machał szczotkami i drapał się po dachach. Teraz jest „białym”, kierownikiem Zakładu nr 7 w Lubinie.

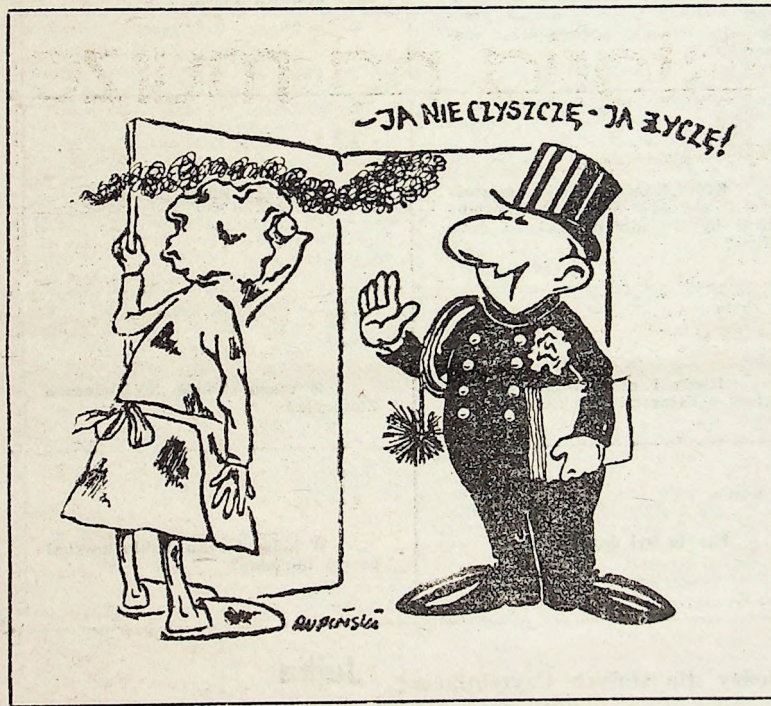
Spogląda smętnie mistrz Amroży na fotografię za szkłem. Stoi na dachu, w ręku trzyma kulę, a na głowie... ech, to były czasy. Po fajrancie wychodziło się w białych rękawiczkach, w szykownym mundurze i cylindrze i każdy salon stawał otworem. Mistrz Amroży zna te czasy tylko z opowiadań, bo kominiarze przekazują dzieje swojego rzemiosła z ust do ust, ale to nic, powzdychać można. Kiedy on zaczynał kominiarską edukację, a były to lata pięćdziesiąte, wszystkie cylindry powędrowały do lamusa. Ktoś powiedział, że cylinder to kapitalistyczny przeżytek i arystokratyczne zadęcie, więc najwyższa pora, żeby z nim skończyć. W socjalizmie ma być równo i sprawiedliwie, więc niech każdy przywdzieje kieplik i bez gadania. Ale kieplik to już nie ten fason, taka płaska degolówka bez daszka. Bo hierarchia dawniej była taka: kieplik nosił uczeń, czeladnik miał melonik, a mistrz paradował w cylindrze. I nie tylko „ku ozdobie”, również ze względów praktycznych. Cylinder jak kask chronił kominiarską głowę. Na strychach ciemno, widać nisko, wystarczył nieostrożny ruch i guz jak malowanie. A tak zahaczał najsierw cylinder ostrzegając, żeby przysiąść kark.

Kominiarskiego munduru mistrz Amroży nie zamieniłby na żaden inny. Spodnie obcisłe, zwięzające się ku dołowi. Bluza kołetem zwana też przylega do ciała i krojem przypomina koszulę, z przodu ma nakładkę (zimną ocieploną) i dwa rzędy błyszczących guzików. W talii pas z ozdobną klamrą i pekiem kominiarskich kluczy. Na głowie kieplik nieszczeny, a pod szyją montuch, czyli niewielka czarna chusteczka do przesłonięcia nosa i ust. Na lewym ramieniu graca dzisiaj blachą nazywaną, kawałek zgiętego żelaza, bez którego kominiarz ani rusz. Po gracy spuszcza linę, graca wybiera sadzę, rozkuwa cegły, rozetki itd. Bogdan Wadas z Legnicy, który akurat spობi się na mistrza, tak przyzwyczaił się do tego żdziebelka, że nawet jak uiberze świąteczny garnitur, to obmacuje ramię i szuka gracy. Bo cały swój warsztat kominiarz dźwiga na sobie i trzyma przy sobie. Oprócz gracy, również worek na sadzę, kule, przepychacz, komplet szczotek — szerszą, czyli sztrobrisz, mniejszą ciperling i na sztylu czyli sztylowkę, do omiotania wysokich kominów. A jak idzie do kotłowni, to przetrzuca przez ramię pospolitą szufelę, bo bez niej nie da się wygarnąć popiołu. Gdy zaś musi wyczyścić defilowski na przykład komin (wysokości 65 m), to oprócz sztylowki zabiera maskę, przepasuje się pasem bezpieczeństwa, a na głowę wciska kape. Wchodzi do środka, przypina się do klamerek i wędruje do góry, wymachując szczotką dookoła i zdzierając sadzę ze ścian. Co chwilę odpocznie i wyżej, wyżej aż do okrągłego skrawka nieba na samym szczycie.

Mistrz Amroży opowiada, że przed wojną jeszcze kominiarz żył sobie jak dziedzic. Mistrz brał za kominy, a cze-

ładnik za piec. A kominiarstwo to był fach nie lada i klan, do którego sztuka było się dostać. Tak jak dzisiaj do jubilerów. Teraz gdyby Amroży liczył tylko na wybieranie sadzy, to nie zarobiłby na przysłowiową sól. Tak marna jest zapłata za kominiarską pracę. W nowych osiedlach właściwie nie ma już co robić, domki stadami podłączają się do centralnej ciepłowni. Strata klienta, to puścić w kieszeń. Do takiej willi trzeba skoczyć parę razy w roku, a za jedno czyszczenie 5, 10 złotych, tyle co kot napłakał. Kominiarze oglądają się więc na zlecenia zakładów pracy i instytucji, na usługi droższe, ale i trudniejsze.

W zakładzie mistrza Amrożego pracuje czterech kominiarzy: dwóch czeladników, mistrz i szef. Obsługują prawie całe miasto i gminę Lubin. Budynki mieszkalne wielo- i jednorodzinne, zakłady przemysłowe, szkoły, szpitale, żłobki itd.



Kiedy przyjdzie zima, a zimy kominiarze nie lubią, to nawał pracy, jest taki, że dnia nie wystarczy, w każdą sobotę i niedzielę prawie na dachu. Jak w budynku jest piec, trzeba obejrzeć kominowy przewód osiem razy w roku, jak centralne ogrzewanie pięć razy, a w zakładach i wielu instytucjach na kotły musi człowiek zerknąć co drugi, trzeci dzień. A natłok taki z robotą z powodu opalu. Wiadomo, że w kotle centralnego ogrzewania trzeba palić koksem, a tu koks jak na lekarstwo. Ładują więc palaczki do pieca węgiel, albo kokso-węglowe mieszanki, a potem smola leje się po kominie i żadna szczotka jej nie poradzi. Ludzie psioną na kominiarza, szukają w nim winowajcę, klną, że nie ma cugu, że czad wydobywa się spod podłogi, ale słowo daje w tym wypadku kominiarz czysty jest jak perła. Sam narzeka, pisze tu i tam, ostrzegając że może być kiedyś nieszczęście, bo jak komin się zajmie, a popra gazy to popra połowy. Ale to tylko wołanie na puszczy.

Mistrz Amroży prowadzi do DFIL-u i pokazuje, co robi się z kotłem, gdy opał nie taki. Popiół trzeba wywozić taczkami, a co się kominiarz naszufluje, to się naszufluje. Piec ogromny, niczym pokój, a z lufki świecą dwie pary oczu. Kominiarze umorusani jak diabły krążą po wnętrzu pieca, jak po krecim labiryncie. Kocioł rozgrzany, tuż po popiołu i sadzy, piekielne ciemności rozjaśnione tylko latarką i w tym wirze kominiarz. To nie obrazek z książki, albo widokówka, na której kominiarce w cylindrze życzy szczęścia.

Co tu ukrywać, jeszcze dziesięć lat temu szło się do kominiarstwa dla pieniędzy. Zarobek przewyższał tu trzy, a nawet czterokrotnie średnią krajową. Teraz młodzi nie ganiają się tak do kominiarskiego rzemiosła, bo czasy jakby inne a i płace nie te same. Dzisiaj każdy chciałby pracować pod krawatem i czysto, a kominiarz, mówią, wiecznie umorusany jak koćmołuch i też ledwo wiąże koniec z końcem. Prawda, jak zawsze, tkwi pośrodku. Fakt, usmoli się człowiek w kominie jak diabeł, ale po szycie wskakuje pod prysznic i wraca do domu czysty niby anioł. Czy każdy tak pucuje się po robocie? A z pieniędzy też bywa różnie. Kokosów nie ma tak jak kiedyś, ale zarobić można przyzwicie. Tylko trzeba się nalatać, napracować, nawiązać sadzy i popiołu do upadłego. Zawód to trudny i niebezpieczny i mistrz Amroży nieraz tańczył na dachu ze śmiercią. Ludzie nie dbają o kominiarza — a to nie ma dra-

Wariacje na temat Q

Siedzę nad maszyną i pusta kartką. W głowie też pusto. Nie mam pomysłu, jak zacząć artykuł. Błądząc wzrokiem po klawiaturze nagle spostrzegam, że klawisz z literą q jest szary i zakurzony. Nie lśni jak inne od częstych kontaktów z moimi palcami. Faktycznie, używam go bardzo rzadko. Chyba wyłącznie wtedy, gdy piszę o rolnictwie, o kwintalach z hektara, czyli o q na ha. Natomiast zupełnie nie pamiętam, abym kiedykolwiek posługiwał się dużym Q.

Rok się kończy. Wypada więc nadrobić zaległości, zwiększyć efektywność mojej maszyny i w ogóle wzmóc, i po-uzupełnić sobie na dużym Q. Tylko na jaki temat? O czym? Nie mogę przypomnieć sobie żadnej sprawy, żadnego terminu zaczynającego się na te litery. Sięgam po encyklopedię. Jest Qui d'Orsay, Quasimodo, jest Quebec, Quizon itp. Nic z tego. Gdzie Rzym, gdzie Krym; gdzie Legnica — chciałoby się dopełnić. Ale dalej jest coś, aż dwa q: qui pro quo — jeden zamiast drugiego, pomyłka, nieporozumienie.

No tak, laciuna. Tylko laciuna. Język swego czasu światowy (gdy światem była tylko Europa) — dziś zamiera. W szatkarowej postaci używają go lekarze, prawnicy, uczeni, ale z języka potocznego zniknął zupełnie. Chociaż... mój znajomy, mieszkawiec Legnicy (notabene jedynego chyba miasta, które ma szacunek do laciuny, bo najlepszy, jedyny zresztą hotel nazywa się CUPRUM) miał przygodę, z której wybrnął bez szwanku dzięki... lacinie. Otóż, wracając z męskiej kolacji, pomylił pietra w swoim bloku. Otworzył cudze, standardowe drzwi swoim kluczem, w półmroku standardowej sypialni dostrzegł miłe kształty. Skonsumował je jak ślubne (z obopólną zresztą radością). Prawowity mąż, który wrócił nieco potem na widok obcego, śpiącego obok jego żony, zaryczał jak normalny zresztą rogiacz: — och, och, ty... (Przy okazji zagadka dla dorosłych: Jak się nazywa pani lekka obyczajów, bez znaku najwyższej jakości? Odpowiedź: nie będzie, bo ustawa o kontroli publikacji etc.). Cóż, laciuneczne qui pro quo. Tak też głośno, ku pro kuo, skomentował całe zdarzenie mój znajomy i w tym czasie, gdy prawowity nerwowo szukał słownika laciunsko-polskiego, czmychnął bez szwanku. Ile w tym prawdy, nie wiem. Faktem jest, że mój znajomy od tego czasu pilnie odnawia szkolną znajomość laciuny.

Zachęcony tą historią i ja sięgam do źródeł. Wprowadzić nie do słownika, lecz do sympatycznej książeczki „Laciuna na co dzień”. Rozdział z sentencjami na Q liczy kilkanaście stron. Czytam kolejno: Qualis avis, talis cantus — w wolnym przekładzie: jaki pan, taki kram, Qualis vir, talis oratio — jaka głowa, taka mowa. Dobrze, przyda się. Dalej: Q... nie, nie będę nadużywał cierpliwości kolegów drukarzy i korektorów, odstąpię od pierwotnego zamiaru, od mojego Q i będę przepisywał tylko polskie tłumaczenia: Każda sroka swój ogon chwali; Kogo bogowie chcą ukarać, temu najpierw rozum odbierają. Kto służy ołtarzowi, z ołtarza żyje. Każdy sobie rzepkę skrobie. Kto pod kim dotki kopie, sam w nie wpada. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Co wolno Jowiszowi, nie wolno wolowi. Im kto mądrzejszy, tym zwykłe skromniejszą...

Do końca rozdziału z moim Q daleko, ale starczy. I tak jestem zadowolony, że tak wiele powiedzonek używanych przez nas na co dzień ma tak sędziwy, ponad dwa tysiące lat liczący, rodowód. W tym momencie cisną się na papier mądre refleksje o śródziemnomorskich korzeniach naszej kultury, o ciągłości cywilizacyjnej itp. Ale można stać uśmuc inny wniosek: o podobieństwie, nawet tożsamości ludzkiego reagowania wobec tego co dobre, mądre i tego co głupie i złe. Chyba tak samo, jak przed wiekami, kochamy i nienawidzimy. Technika rozwija się żwawo, a człowiek ze swoimi racjami i emocjami pozostał taki sam. Coś w tym jest — jak mawia mój znajomy.

Widzę, że nie do końca się wywiązałem z planu nadrobienia zaległości w używaniu literki Q. Cóż, qui pro quo. Jeśli jednak dzięki temu powstał felieton godny uwagi, czytelnika przez pięć minut — też dobrze.

KUBA

Wielki QUIZ historyczny

* Redakcja „Konkretów” * Towarzystwo Przyjaciół Nauk * Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubuskiej * Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi * Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego zapraszają do udziału w WIELKIM QUIZIE HISTORYCZNYM, w którym można wygrać m. in.: 4-tomową Encyklopedię Powszechną PWN, robot kuchenny „Bartek”, nowości książkowe.

1. Kto i kiedy napisał następujący wiersz? „Wiedzeni ciekawością jesteśmy w Legnicy, Co w otwartej zdrowej leży okolicy; Co z dala widna kościołami swymi I zamkiem otoczonym mury obronnemi, Gdzie groby książąt z Piastów szacownej rodziny Co to byli wiernymi dla polskiej krainy”.	2. Kim był Joachim Pastorius?	3. Wymień książąt glogowskich, którzy następnie zostali królami polskimi.	4. Kiedy została założona Legnica?
5. Kim był Jan z Głogowa?	6. Który książę glogowski powiedział: „Wolę o żebraczym kiju umrzeć wolnym książęciem, jak przyjąć służalstwo u obcego sobie monarchy”.	7. Która księżniczka glogowska była królową Polski?	8. Podaj imię pierwszego samodzielnego księcia legnickiego
9. Który książę legnicki został uwięziony w żelaznej klatce?	10. Który książę legnicki uczestniczył w obradach soboru w Konstancji i był świadkiem spalenia Jana Husa?	11. Kim był Jerzy Liban?	12. Kto to był Kasper Elvan?
13. Jak się nazywał pierwszy polski uczonec?	14. Kiedy i gdzie miała miejsce bitwa z Tatarami pod Legnicą?	15. Z czego słynęła XVI-wieczna Złotoryja?	16. Który z książąt piastowskich mieszkał i działał w Lubinie?
17. Kim był i jakie znaczenie dla nauki polskiej ma Mikołaj Pruzio?	18. Kto to był Jan Jonston?	19. W którym roku Lubin uzyskał prawa miejskie?	20. Kto był ostatnim księciem legnickim? Podaj także datę jego śmierci.

Przygotowaliśmy sprawdzian wiedzy dla stałych Czytelników naszego tygodnika. Tylko bowiem w oparciu o publikacje historyczne drukowane na naszych łamach (cykle „Poczet książąt piastowskich”, „Poczet uczonych”, „Dzieje ziemi glogowskiej”) można rozwiązać nasz quiz. Oczywiście nie zawadzi zajrzeć także do innych materiałów źródłowych, choć najprościej sięgnąć do roczników „Konkretów”. Konkurs przygotował nasz współpracownik — dr Janusz Chutkowski. Aby wziąć udział w losowaniu atrakcyjnych nagród należy odpowiedzieć prawidłowo na co najmniej 15 z 20 zamieszczonych pytań.

Na odpowiedzi czekamy do 15 stycznia 1986 roku. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, skr. poczt. 145, 59-220 Legnica 2. Prosimy o dopisek na karcie pocztowej: „Wielki quiz historyczny”. Nazwiska szczęśliwych zdobywców nagród ogłosimy już pod koniec stycznia przyszłego roku. A zatem do dzieła!

Juika



Zoptymalizować, uporządkować i tak trzymać!

Z ANDRZEJEM ŻYMAŁ-SKIM — przewodniczącym Rady Pracowniczej Kombinatoru Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie, rozmawia Janusz Dobrzański.

● Jedną z opinii, jakie krążyły w przedsiębiorstwie na Wasz temat, głosi, że Rada Pracownicza nie rozwiązała żadnego ważnego problemu i prawdopodobnie już nie rozwiąże. Co Pan na to?

— Z pierwszą częścią tego zarzutu wypada mi się zgodzić. Rzeczywiście wzięliśmy na tapetę kilka poważnych tematów, z których — ogólnie mówiąc — żadnego jeszcze nie doprowadziliśmy do końca. Jest ich wiele, część z nich jest powszechnie znana. Pan tego nie sprecyzował, ale domyślam się, że dwie z tych spraw, za które się nas najostrejszy krytykuje, dotyczą przyszłości deficytowej kopalni „Konrad” i podjęcia decyzji w sprawie rozwoju kopalni „Sieroszowice”. Przy czym chodzi tu o przyspieszenie tempa budowy i nakreślenie jasnych i precyzyjnych perspektyw rozwoju.

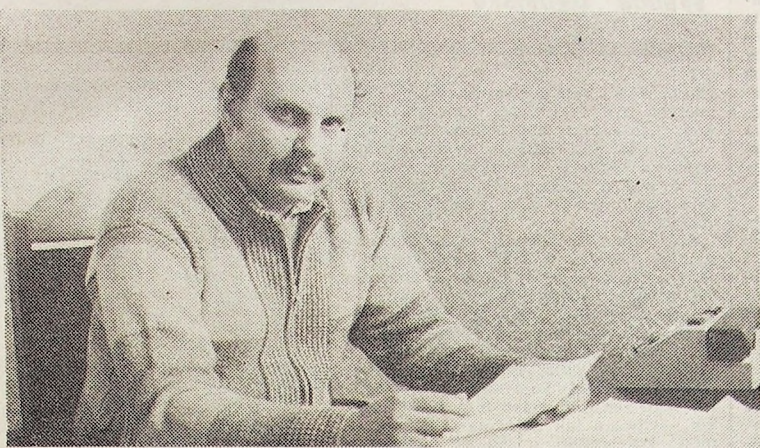
Powiedzmy sobie szczerze, są to bardzo poważne sprawy, których w dwa lata załatwić się nie da. Kwestia przyszłości „Konrada” stanęła oficjalnie na wakacjach w latach osiemdziesiątych, bo w roku 1981. Ówczesny dyrektor kombinatu, Janusz Maciejewicz, nakazał opracowanie wieloletniego programu przyszłości tej kopalni. I do roku 1984 praktycznie niewiele się działo. Dopiero my, na nowo, wywołaliśmy tę sprawę. Fakty są takie: kopalnia się kończy, bo wyczerpują się złoża. I trzeba podjąć decyzję — albo eksploatować resztki do końca, ponosząc coraz wyższe nakłady i powiększając deficyt, albo zamknąć możliwie najszybciej. Decyzja nie jest prosta, bo przecież chodzi o ludzi. Zamknąć kopalnię — to łatwo powiedzieć, lecz nie wszyscy zdają sobie sprawę, że i za takim rozwiązaniem kryją się pieniądze — pieniądze na inwestycje. Trzeba to rozważyć pod kątem opłacalności. Sądzę, że problem „Konrada” rozwiążemy definitywnie w ciągu roku, najdalej dwóch lat. Decyzja, jaka by była, będzie strategicznie ukierunkowana na zapewnienie pracy załóżce w maksymalnie długiej perspektywie. Mówiąc prościej nie ma mowy, aby załoga znalazła się na bruku.

Problem „Sieroszowice” jest bardziej złożony. Budujemy tę kopalnię. Jej obecne wydobycie nie gwarantuje rentowności. Żeby w ogóle o niej mówić, trzeba osiągnąć planowany poziom wydobycia, tj. 7,5 mln ton rocznie. Jest to kalkulacja oparta na dzisiejszych realiach, bo jak będzie w przyszłości, trudno powiedzieć. Ale do takiego poziomu wydobycia — daleko. Budowa jest bardzo opóźniona w stosunku do programu rozwoju kopalni, a realizacja programu rozwoju przemysłu miedziowego także się nam rozjechała. Jednym słowem, nałożyło się tu na siebie kilka elementów, których nie można rozpatrywać indywidualnie, ponieważ one ściśle się z sobą wiążą. I tak rzecz ujmując mamy do czynienia z jedną wielką sprawą, jaką jest miedź, jej rozwój i przyszłość.

Oczywiście zajęliśmy się i zajmujemy kilkoma innymi, ważnymi zagadnieniami. Mam na swoim koncie sporo bezspornych sukcesów. Ale to jest temat chyba na inną rozmowę. „Konrad” i „Sieroszowice” wyeksponowałem dlatego, że w strategii stanowią elementy bardzo ważne. Nie stać nas na utrzymywanie deficytowych zakładów. Przemysłowi surowcowemu, jakim jesteśmy, bardzo trudno jest sprostać wymogowi samofinansowania się. Jesteśmy obłożeni podatkami, jak wszystkie inne firmy. Ale inne firmy nie są tak kapitałochłonne. One wytrzymują obciążenia podatkowe, a nas podatki powoli wykańczają. Wszelkimi siłami dążymy do tego, aby nie znaleźć się pod kreską. Ale nie wszystko leży w naszej mocy.

● Powiedział Pan, że reforma jest bezwzględna. To się zgadza. Miernik produkcji netto doprowadził zakłady wydobywcze — między innymi Pana macierzysty zakład „Rudna” — na krawędź finansowej katastrofy i mówi się powszechnie o tym, że jest nieadekwatny do specyfiki zakładów wydobywczych...

— Tak, to raczej trudno zanegować. ● ... ale do czego zmierzam. Być może ten miernik trzeba zastąpić innym. Ale póki co należałoby podjąć bardzo rady-



Fot. Janusz Budnicki

kalne środki zmierzające do racjonalizacji gospodarowania w samym przedsiębiorstwie. Zagospodarowaliśmy wiele rezerw. Ale są sfery, których — takie można odnieść wrażenie — się nie dotyka. Choćby struktura organizacyjna i wszystkie co się z nią wiąże. Kombinatu ma bardzo rozbudowane zaplecze usługowo-techniczne. W takich zakładach jak „Zakmat”, „Lena” czy „Legmet” potencjał wytwórczy wykorzystuje się zaledwie w jednej trzeciej. Powołano Zakład Zaopatrzenia „Zakmat” — monopolistę zaopatrzeniowego, który za usługi pobiera słoną prowizję, często bywa trzecim z kolei pośrednikiem. O szczegółach można by mówić godzinami. W każdym razie faktem jest, że to wszystko rzutuje poważnie na kondycję finansową całego przedsiębiorstwa. A Rada Pracownicza nie.

— O każdym z tych problemów należałoby mówić osobno, rozstrząsać szczegóły, analizować. Do tak sformułowanego pytania — zarzutu nie chciałbym się stosunkować autorytatywnie i jednoznacznie ponieważ na ten temat nie wypowiedział się jeszcze Rada Pracownicza. Chcę powiedzieć, że wcale mnie pan nie zaskoczył. Doskonale znamy problem, bo podobne pytania, wątpliwości padają często. Dotyczą zresztą i innych zagadnień, jak na przykład fuzji Zakładu Budowy Kopalni i Zakładu Robót Górniczych, czy podobnego zabiegu w odniesieniu do Zakładu Remontowo-Montażowego i Zakładu Budownictwa Górniczo-Hutniczego. A nie są to wszystkie wątpliwości, propozycje, dylematy. Gdyby oprzeć się na opiniach zakładów metalurgicznych, to na przykład „Zakmat” należałoby natychmiast zlikwidować. Ale wątpliwość czy kopalnie poparyłyby taką decyzję. Z czego to wynika? Huty rzadko korzystają z usług „Zakmatu”, kopalnie — często, to jest prosta rozbieżność interesów.

● Kopalnie słono za to płacą.

— Zgadza się, lecz w dużej mierze uwalnia je to od wielu czynności, których ceny wcześniej nikt nie wycenił. Ja zresztą także. I nie potrafię w tej chwili powiedzieć czy prowizja, jaką bierze „Zakmat”, w ostatecznym rachunku ekonomicznym waży dużo czy mało. Albo inna sprawa — fuzja ZBK z ZRG. Są to firmy o bardzo zbliżonym profilu i można je połączyć. Ale trzeba sobie zadać pytanie: co to da? Bez szczegółowych analiz można powiedzieć, że przyniesie likwidację iluś tam etatów w administracji. I nic więcej. Czy natomiast wpłynie na szeroko pojętą racjonalizację w sferze organizacji, ekonomiki? Można przyjąć, że tak. Ale tu rodzi się następne pytanie: Jakże oszczędności to przyniesie? Trzeba więc wszystko bardzo precyzyjnie rozważyć, skalkulować, wycenić. Postanowiliśmy zrobić taką analizę i będzie ona podstawą do podjęcia konkretnych decyzji.

Być może, niektórzy mają do nas pretensje o opieszałość w podejmowaniu tych zagadnień, lub uważają, że z jakichś tam względów nie chcemy ich zauważać. Ale proszę mi wierzyć, że to pozo-ry. Znamy te problemy doskonale i zajmujemy się nimi, ale — trzeba to powiedzieć wyraźnie — traktujemy je jako cele drugorzędne. Zabiegi, o których mowa, stanowią w ogólnym rachunku mało znaczącą pozycję. Bo tu w grę wchodzi miliony, a nam potrzeba miliardów. Dziś stan mamy taki, że dynamika produkcji maleje, a koszty produkcji gwałtownie rosną. I naszym nadrzędnym za-

daniem jest znalezienie odpowiedzi na pytanie: Jak temu przeciwdziałać w gorszej reformy?

● Właśnie. Ale spójrzmy na problem z innej strony. W strukturze kosztów produktu finalnego, czyli miedzi elektrolitycznej, osiemdziesiąt procent stanowią koszty związane z wydobyciem i wstępnym przetwórstwem rudy. Zakłady wydobywczo-przetwórcze miernik produkcji netto doprowadził już w tym roku na krawędź katastrofy ekonomicznej. Można więc powiedzieć, że KGHM jako całość wkroczył na trakt wiodący do nierentowności. I tu musimy sobie postawić pytanie: Skąd wziąć pieniądze na realizację planów rozwoju przemysłu miedziowego, skoro, w niedalekiej przyszłości, może ich zabraknąć na bieżącą działalność i jakie te plany winny w ogóle być?

— Zadał pan dokładnie to samo pytanie, jakie my zadaliśmy sobie już dawno. Jest ono ściśle związane z programem przyszłej pięcioletki, który musi być przez nas przedstawiony na najbliższym zebraniu delegatów. Ja nie potrafię dać panu odpowiedzi, nie jestem na nią przygotowany i nie wiem czy w tej chwili ktoś byłby w stanie jej udzielić. Nie opracowaliśmy jeszcze strategii, nie mamy szczegółowych programów, to wszystko dopiero się rodzi.

● Wiem, że zakłada się produkcję miedzi na poziomie 440 tysięcy ton. Co Pan o tym sądzi?

— Sądzę, że jest to wielkość realna do osiągnięcia, ale nie w roku 1992, jak się zakłada. Opóźnienia w sferze rozwoju ja oceniam na dwa lata. I jest to głównie problem „Sieroszowice”, chociaż nie wyłącznie. Jest wiele innych barier i zagadnień, które trzeba rozwiązać, aby program ten zrealizować.

● Myślę, że gdyby nawet udało się doprowadzić „Sieroszowice” do docelowej zdolności produkcyjnej i wydobycie rudy w KGHM wzrosłoby o te 7,5 mln ton, to program „Miedź 440” wcale nie nabrałby realności. Wydobycie rudy po prostu nie byłoby gdzie przerobić na koncentrat.

— Oczywiście, jeżeli tylko „Sieroszowice” znacząco zwiększą wydobycie, to przestanie się ono bilansować z możliwościami przetwórczymi zakładów wzbogacania rudy. Zakład wzbogacania dla „Sieroszowice” powinniśmy byli zacząć budować już rok temu. Ale zatrzymały nas dwie bariery — finansowa i wykonawcza. Taki zakład to bardzo poważna inwestycja.

● W takim razie, ujmując całą rzecz w szerszym kontekście, powinniśmy odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: Czy „Miedź 440” w ogóle jest programem racjonalnym?

— Na to pytanie nie ja powinienem odpowiadać.

● Ale ma Pan zapewne własny pogląd?

— Ja sądzę, że jeśli ten program ma być taki, jaki jest, to niezbędne jest bardziej konsekwentne działanie na szczeblu centralnym. Nie możemy działać nadal na tej zasadzie, że wyłącznie kombinat się szarpie, żeby ten program dogonić. Inwestycje, jakie musieliśmy wziąć na swoje barki, są ogromne, bardzo kapitałochłonne. Mechanizmy reformy, jakie obecnie obowiązują, mają charakter anty-inwestycyjny. Dźwigając cały ten ciężar na swoich barkach działalibyśmy z jednej strony w interesie gospodarki narodowej, a z drugiej przeciwko sobie. Krót-

ko mówiąc, cały ten program, uwzględniając warunki jego realizacji, nie trzyma się kupy.

● Sytuacja jest rzeczywiście bardzo skomplikowana. Mnie się zdaje, że uwzględniając wszystkie jej elementy, najbardziej racjonalnym rozwiązaniem byłoby zarzucenie programu 440 na rzecz stabilizacji poziomu produkcji. Bo do obecnych 380 tysięcy ton można by dorzucić jeszcze 60, ale pytanie — jakim kosztem? Za stabilizacją przemawia także ograniczona zasobność złóż miedzi. Czy warto wyzbywać się narodowego bogactwa w zawrotnym tempie, co będzie za dwadzieścia lat? Ale zastosowanie tego wariantu oznaczałoby konflikt z zasadami reformy, z miernikiem produkcji netto. Kombinatu bardzo szybko straciłby możliwość samofinansowania i poszedł do budżetu po dotację.

— Ma Pan rację, ale na postawione pytanie ja nie odpowiem. A w każdym razie proszę ode mnie nie oczekiwać autorytatywnej odpowiedzi — to przeraża moje kompetencje. To w ogóle jest szerszy problem, dotyczący szeroko pojęwanego przemysłu wydobywczego czy może surowcowego. Na całym świecie w tej dziedzinie funkcjonuje interwencjonizm państwowy, bo rentowność tego przemysłu zależy w bardzo dużym stopniu od koniunktury. Jeśli jest dekonunktura — państwo daje dotację, aby nie dopuścić do upadku, kiedy zaczyna się ożywienie — wycofuje się z dotowania. Nasza sytuacja jest nieco inna, ale podobna. Jeśli w interesie gospodarki narodowej leży rozwój przemysłu miedziowego i zrealizowanie programu „440”, to rząd powinien zapewnić nam niezbędną deklarowaną wcześniej pomoc. Tymczasem przemysł węglowy na przykład, który — o czym powszechnie wiadomo — jest dotowany, ma odsetki obniżone do 3 procent i wiele innych preferencji. My, którzy mamy tak samo kapitałochłonne zakłady wydobywcze, nie doprosiliśmy się takiego przywileju. Tak wygląda rzeczywistość.

Ja się nawet nie dziwię, bo węgiel to krajowa potęga, ma własny resort i ogromną siłę przebicia. Ale decyzje podejmowane na szczeblu centralnym nie mogą się rozjechać jak nożyce — na jednym końcu węgiel, na drugim — miedź. Pewne rzeczy trzeba wyważyć. Jesteśmy dumni z tego, że miedź jest sama finansująca i będziemy czynić wszystko, aby utrzymać tę sytuację jak długo się da. Ale jak długo się da? Nie wiem. W tej chwili nie potrafię nawet powiedzieć co będzie w roku przyszłym. Bo oto jest już koniec roku, a my, jak zwykle, podstawowe mierniki i wskaźniki niezbędne do precyzyjnego planowania, otrzymaliśmy w ostatnim czasie.

● W poprzednim pytaniu wymieniliśmy kilka wariantów możliwych do rozpatrzenia w planowaniu przyszłości. Czy któryś z nich wybrałaby Rada Pracownicza?

— Na tak sformułowane pytanie muszę odmówić odpowiedzi. Nie mam prawa wypowiadania się w imieniu rady, nie znalazłem jej opinii w tej sprawie.

● Dobrze, stawiam Panu zatem to pytanie jako osobie publicznej i proszę o prywatny pogląd taki, jaki zaprezentuje Pan na zebraniu rady.

— Osobiście jestem wielkim zwolennikiem reformy i zasady pełnego samofinansowania. Pewne mechanizmy reformy trzeba jednak dopasować do realiów ekonomicznych i gospodarczych, uwzględniając szeroki kontekst. Ja wiem, że państwo musi wyduśić z przedsiębiorstwa zbytnio się wzbogaciły. Ale to wyciskanie musi mieć pewne granice — nie można przedsiębiorstwa zadusić, bo to nikomu się nie opłaci. Musi to być elastyczna polityka.

Ja wymienione przez Pana warianty połączyłbym w jedną spójną całość. Przede wszystkim powinno się ustalić — i to na szczeblu centralnym — ile my tej miedzi mamy produkować i za ile. Bo na razie w tej strategii nie się nam nie chce poskładać w jakąś klarowną całość. Osobiście byłbym za tym, żeby produkcję ustabilizować na jakimś racjonalnie uzasadnionym poziomie i uporządkować rozwiązania ekonomiczne. Nie wiem czy ma to być 440 tysięcy ton, czy 400 czy tylko 380 — nie czuję się kompetentny w ustalaniu wielkości. W każdym razie trzeba ustalić wielkość optymalną, ustabilizować i tak trzymać. W tej chwili bardziej racjonalnego rozwiązania nie widzę.

● Dziękuję za rozmowę.

Jeden pierścień waży piętnaście kilogramów. Maria Zientara podnosi go z ziemi, kładzie na wiertarkę, draży trzy otwory i odkłada na bok. W ciągu zmiany przerzuca przez ręce pięćset sztuk, ponad siedem ton. Jak się dobrze uwią, zarobi osiemnaście, dziewiętnaście tysięcy. Ale ostre krawędzie odlewów szatkują jej skórę na dłoniach aż do krwi. Wstyd pokazywać. Kiedy przyszła do odlewni po urlopie macierzyńskim, chciała szybko wciągnąć się do nowych obowiązków. Przeliczyła jednak swoje siły — zapalenie mięśni i kilka bezsennych nocy. Ręce szarpał ból. Mieszka w Gromadce, dlatego pracuje w odlewni. Dzieci małe, więc jak dojeżdżać, a tu dla kobiet tylko wytwórnia śrutu, nie ma wyboru. Oprócz Marii Zientary jest w odlewni sto dziewiętnaście kobiet, prawie wszystkie miejscowe.

Dyrektor Andrzej Królikowski woli rozmawiać o kłopotach ekonomicznych i inwestycyjnych swojego przedsiębiorstwa. Czy realistyczna nawet relacja z produkcyjnych hal nie przyniesie więcej szkody niż pożytku? Zakład potrzebuje ludzi, a tu odchodzą i młodzi, i starzy. Na renty, emerytury, do miedzi. Jeszcze siedem lat temu zatrudnienie w Odlewni Żeliwa w Gromadce sięgało 900 osób, dzisiaj wynosi 780 pracowników. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie powiesić kłódkę na jednym z wydziałów. Bo tak rozproszą się środki, że nie będzie możliwości technicznych, by utrzymać produkcję na wszystkich wydziałach. Firma znalazła się na krawędzi stanu krytycznego.

Historia odlewni zaczęła się trzydzieści pięć lat temu. Budynek są stare, mury wyszczerbione przez czas i użytkowników. Czy przed wojną też była tu odlewnia, dyrektor nie wie, ponieważ nikt nie pokusił się jeszcze, by poszperać w dokumentach i opisać dzieje tego miejsca (może w przyszłym roku, z okazji jubileuszu). W każdym razie w 1951 roku ruszył zakład w Gromadce, potem drugi wydział w Grodzanowicach, później trzeci w Modle, wreszcie czwarty w Ławoszowej w województwie jeleniogórskim, 46 kilometrów od dyrekcji. Przedsiębiorstwo rozbiło się więc na części i rozproszono po kilku miejscowościach. Zarządzać nim niełatwo, chociaż jeden wydział podobny jest bliźniaczko do drugiego — wszystkie jakby wyjęte z dziewiętnastowiecznych ilustracji.

Już od początku istnienia odlewnia postawiła na śrut i z czasem wypracowała sobie pozycję krajowego monopolisty w produkcji metalowej kaszy. Śrut to żeliwne ziarenka. Woda rozbiła strumień gorącego metalu i taka jest technologia jego produkcji. Służy do czyszczenia odlewów i przecinania kamienia budowlanego, więc Gromadka od lat ma stałych klientów. Odlewnia w pełni zaspokaja potrzeby krajowe, produkując 24 tysiące ton śrutu żarnistego i blisko 6 tysięcy ton śrutu z taśmy stalowej. Reszta rocznej produkcji, to znaczy około 17 tysięcy ton, to różnego rodzaju odlewy produkowane bezpośrednio na rynek i dla kooperantów. I z tą resztą są największe kłopoty. Czas zatrzymał się w odlewni, a postęp techniczny wkracza do niej opieszale. Gdy za miedzą komputery, obrabiarki sterowane numerycznie i wielka miedź, w Gromadce króluje manufaktura.

Po kolei to będzie tak. Najpierw kładą modele na desce, przypudrują trochę formierskim pudrem (czyli fachowo mówiąc — likopodium), żeby nie przywarły. Nasuwam jedną część skrzynki, która nie ma dna, zasypuję formierską

Sen o automatach

Wanda Dybalska

masą. W jej skład wchodzi piasek formierski, pył węglowy i bentonit. Ubijam, czyli zagęszczam, potem, ciach, wyrównuję listwą, kładę drugą deskę i odwracam. Teraz górna część skrzynki — znów puder, masa, ubijanie. Zdejmuję górę, wyjmuję modele, potem na plac, zalewanie...

Stanisław Pilichowski, formierz, pracuje w odlewni 34 lata. Mówi, że przy jego warsztacie w tym czasie zmieniło się niewiele. Ot, jest tylko wyciąg, więc nie musi wdychać tyle pyłu i kurzu, doprowadzili też rurkę z powietrzem, to oczyścił sobie wszystko jak trzeba. Przedtem nadymał płuca i pomagał sobie ostrym dmuchem. No i sam już nie babrze się z żeliwem, tylko formuje w piasku. — Reszta jak za króla Cwiczka — mówi Pilichowski, a zna się na odlewnictwie jak rzadko kto. Zaliczają go tu do najlepszych fachowców. Formuje pojedyncze sztuki, krótkie serie, po kilka lub kilkanaście sztuk rozmaitych drobiazgów. Raz żeliwne obrączki, za chwilę jakieś uszczelki — taką odlewniczą drobnicę, galanterię rzec można. Najbardziej boją Pilichowskiego zarobki, bo ciężkiej pracy się nie boi. Po tylu latach 6300, 6400 podstawowej, a ze wszystkim 15—16 tysięcy miesięcznie.

Produkcja roczna odlewni sięga 1.850 milionów zł. Przedsiębiorstwo wypracowuje średnio 130 milionów zysku. W tym roku z zyskiem będzie nieco gorzej, ponieważ zaplanowano generalne remonty kilku maszyn, ale w roku przyszłym planuje się 170 milionów. Po odliczeniu wszystkich podatków, w zakładzie zostaje 35 proc. Z tego trzeba pokryć fundusz rezerwowy, zasilić fundusz socjalny, wypłacić nagrody z zysku, prowadzić bieżące inwestycje itd. Inżynier Królikowski sytuację finansową firmy ocenia na trójkę, bo odlewnia może jeszcze funkcjonować i osiąga zyski. Ale czy jest to powód do samozadowolenia? Nie, ponieważ przyszłość rysuje się mgliście, a zakład tkwi już u szczytu swoich możliwości.

Z ludzi nie da się więcej wycisnąć. Pracują ciężko i w trudnych warunkach. O zwiększeniu produkcji trudno marzyć, ponieważ możliwości ludzkich mięśni są ograniczone. Ręczne formowanie i zalewanie formy z piasku to przeżytek, który nie nadaje za postępem i potrzebami. Jeżeli w najbliższych latach nie wkroczy do Gromadki najnowsza technika, losy odlewni staną pod znakiem zapytania. Trzeba wróżyć najczarniej, bo jeszcze dzisiaj zakład stoi na rozdrożu. Nie wie czy znajdzie sposób na wybrnięcie z impasu i uwolnienie się od manufaktury. Brakuje i klarownych projektów, i jasnych decyzji, i pieniędzy.

Po prostu chodzi o automatyczne linie formierskie. Inżynier Królikowski planuje ambitnie, ale i realnie. Nie czas już oglądać się na półśrodki i polowiczne rozwiązania, bo znów za dwadzieścia lat przyjdzie się ciągnąć w technologicznym ogonie. Takie linie, które ograniczają wysiłek fizyczny człowieka do koniecznego minimum, dzisiaj już nie są w od-



lewnictwie żadną rewelacją. Są automaty w Lublinie, w Sremie, w Skoczowie, w najnowszych odlewniach, budowanych w latach siedemdziesiątych. Tylko że Gromadka sama nie udźwignie inwestycyjnego ciężaru i musi, zdaniem dyrektora, znaleźć finansowe wsparcie. Krajowa linia kosztuje (łącznie z rozwiązaniem problemów zasilania elektrycznego, klimatyzacji, ogrzewania itd.) prawie 800 milionów. Skąd je wziąć? Przecież nie z zakładowego zysku.

W najgorszym przypadku zostanie śrut. Wiemy jak unowocześnić jego produkcję, mamy własne programy i znajdziemy również pieniądze. Rysują się nawet szanse na eksport. Zostanie też pewna ilość odlewów, głównie kokilowych. Reszta zaniknie, jeżeli nie zdobędziemy żadnej automatycznej linii — prognozuje dyrektor.

Postęp techniczny w Gromadce zatrzymał się na kokilach. Kokile to formy metalowe. Zwyklejnie, zamiast piasku — metal. Na przykład taką technologią produkuje się przeciwwagi dla wrocławskiego „Polaru”. Do każdej formy przytwierdzone są kółka. Krążą po elipsie metalowe pierścienie, a w środku, jak przy taśmie, pracują kobiety. — To piekło — mówi Pilichowski — diabelski krąg. Obok piec grzeje i topi żeliwo, powietrze gorące jak w tropiku. Wrzący strumień (1400 stopni Celsjusza) spływa do kadzi, potem dwóch przypina się do kuba i przepycha go w kierunku koła. Teraz trzeba zaczerpnąć żeliwo łyżką jak żupę i wlać odrobinę do każdej formy. Pierścienie przesuwają się dalej. Metal tężeje prawie natychmiast, pneumatyczny młotek wybija odlew, przesuw — i na następnym stanowisku kobiety rozkręcają formy. Znów ruch do przodu i chłodzenie zimnym prysznem, dalej tunel wentylacyjno-ozębniący i jeszcze raz czyszczenie, przedmuchiwanie powietrzem każdej szczeliny. Formy przesuwają się w kierunku kadzi — i znów od początku. Odlewy stygną przez dwie zmiany, potem trafiają na szlifierki, trzeba usunąć ostre krawędzie, występy, wymuskać powierzchnię, stąd na wiertarkę do Marii Zientary. I koniec.

Fabryka pralek automatycznych we Wrocławiu to jeden z najpoważniejszych kooperantów Gromadki, tutaj zaopatrują się również: chojnowski „Dolzamet”, przemkowska odlewnia i wiele innych zakładów. Ale właściwie przedsiębiorstwo prosperuje jakby na peryferiach wielkiej miedzi i wojewódzkiego przemysłu, a wieś nawet bardziej ciąży w kierunku Bolesławca, do którego tylko dwadzieścia parę kilometrów. Wprawdzie wpusty piwniczne, podłogowe ście-

kowe kratki, żeliwne klozetowe płuczki zawsze znajdują nabywców, ale na pewno w województwie bardziej przydałyby się kaloryfery, za które — jak mówi dyrektor — można dostać dzisiaj wszystko. Jeszcze niedawno rysowała się przed Gromadką kaloryferowa kariera.

Do dzisiaj projektem zainteresowana jest makroregionalna komisja planowania z Wrocławia i Legnica też. Wszystkie argumenty przemawiają „za”. Legnickie jest młode, rozwija się, ma perspektywy i coraz większe potrzeby w zakresie budownictwa wielorodzinnego i jednorodzinne. Na dodatek tradycyjne, żeberka są bezkonkurencyjne i wciąż poszukiwane. Ale Gromadki nie stać na kaloryfery i stać nie będzie w najbliższych latach, więc plan leży na półce niespełnionych marzeń.

Odlewnictwo jest tak samo kapitałochłonne jak górnictwo czy energetyka. Wymaga ciężkich i drogich maszyn. Potrzeba nam prawie dwóch miliardów, żeby przestawić jeden z wydziałów na produkcję grzejników. Bo wytwarzanie kaloryferów metodą chałupniczą nie ma sensu, po prostu się nie opłaca — tłumaczy dyrektor Królikowski.

Początkowo wydawało się, że grzejnikami zainteresowała się spółdzielczość mieszkaniowa, zwłaszcza, że zobowiązana jest uchwałą do systematycznej wymiany słabych i pękających kaloryferów płytowych. Wycofała się jednak przerażona kalkulacją. Potem pojawiła się nawet szansa zdobycia centralnych dotacji, ale znów nie znalazł się wykonawca. I tak przysły nadzieje na kaloryferowy sukces.

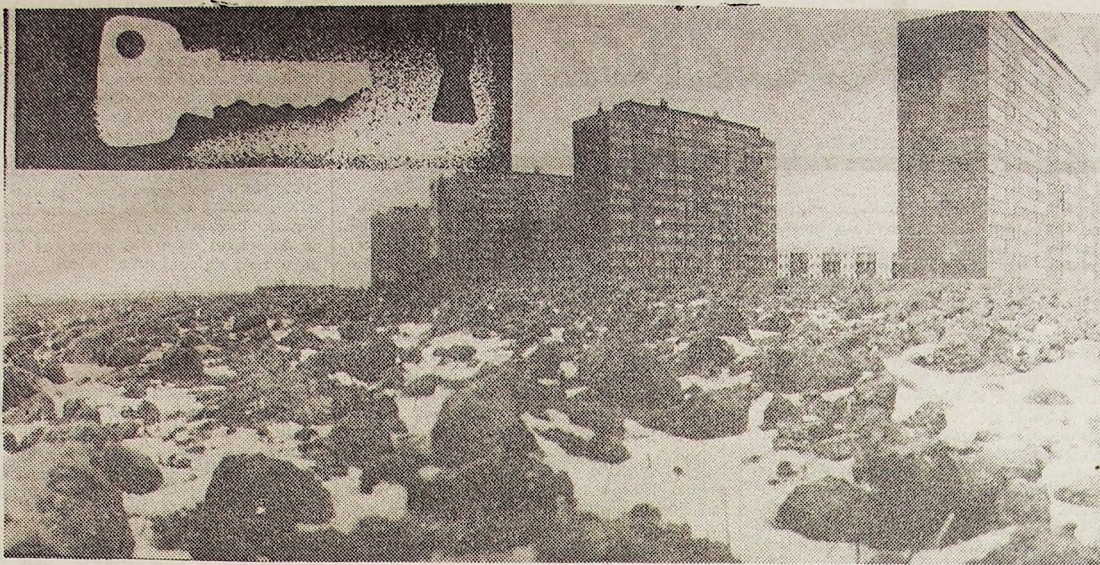
W Gromadce nie panuje jednak atmosfera rezygnacji. Nie ma mowy o tym, żeby przedsiębiorstwo ogłosiło upadłość. Na razie trzeba wyeliminować piaskowe formy i zastąpić je kokilami, potem rozwinąć produkcję śrutu i wciąż poszukiwać drogi wyjścia z technicznego zaścianka. Bo na przykład, jest jeszcze jedna szansa. Mimo archaicznej technologii Gromadka eksportuje niewielką ilość swoich wyrobów do Danii. Może tak kupić od Duńczyków automatyczną linię, zapłacić produkcją, a potem przejąć maszynę na własność. Wtedy w ciągu trzech godzin będzie się robić to co dzisiaj przez dziesięć dni. Najnowszy krzyk techniki.

W ten ostatni sen o automatach dyrektor Królikowski już tak nie wierzy. Teraz myśli o śrucie, bo pozycja monopolisty zobowiązuje i żeliwne ziarenka ratują Gromadkę.

Jułka



— PONIEWAŻ NIE DOSTAŁEM PALIWA, PROSZĘ ICH POWIADOMIĆ, ŻEBY PRZYJECHALI WŁASNYMI SAMOCHODAMI ODEBRAĆ PREZENTY



Klucze do nieba

Agnieszka Szydłowska

1 września br. dostali imienne skierowania do Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego.

RADOŚĆ ZROZUMIAŁA

Skierowanie do SM, z oznaczeniem bloku mieszkalnego, klatki schodowej i nawet numeru mieszkania, znaczyło przecież tyle, co przydział lokalu. Od 1983 roku między Lubimskim Przedsiębiorstwem Budowlanym a SM Zagłębia Miedziowego obowiązuje „porozumienie o współpracy”. Daje ono, najogólniej mówiąc, obojętne korzyści współpracującym stronom. LPB podjęło się wybudować w latach 1983–1985 560 mieszkań ponad z góry ustalony plan, a spółdzielnia mieszkaniowa zobowiązała się odwzajemnić pracownikom przedsiębiorstwa połowę uzyskanych ponadplanowo mieszkań. To stanowiło drugi punkt porozumienia. Natomiast w punkcie trzecim zapisano:

„Spółdzielnie mieszkaniowe przekazać dodatkowo w każdym roku na rzecz rozwoju potencjału budowlanego 3 proc. mieszkań od wielkości bazowej (tj. planowej — AS). W przypadku niewykonania wielkości bazowej 3 proc. od faktycznego wykonania.”

W lutym 1984 roku zaczęły obowiązywać w całym województwie nowe ustalenia odnośnie „rozwoju potencjału budowlanego”. Chodziło przecież o mieszkania dla niezbędnych specjalistów nie tylko w branży budowlanej, ale instalacyjnej, w zakresie budowy dróg, mostów i całej infrastruktury technicznej. Sprawę wziął w swoje ręce wojewoda podpisując stosowne porozumienie z Wojewódzkim Zarządem Spółdzielni Mieszkaniowych. Od tej pory spółdzielnie mieszkaniowe nie przekazują mieszkań bezpośrednio współpracującym z nimi firmom budowlanym, lecz czynią to za pośrednictwem wojewody. Lubimskie Przedsiębiorstwo Budowlane wiedziało doskonale, że punkt trzeci „porozumienia” z SM Zagłębia Miedziowego stracił swoją ważność i przedsiębiorstwo może liczyć wyłącznie na te mieszkania, które sobie wypracuje ponad przyjęty plan.

Prawdę mówiąc, to pracownikom LPB, którzy w początku września znaleźli się na liście szczęśliwców mających otrzymać mieszkanie, było raczej wszystko jedno, jak owe ustalenia i porozumienia wyglądają. Wiedzieli, że corocznie ich przedsiębiorstwo dostaje pewną pulę mieszkań dla pracowników i niecierpliwie czekali na swoją kolej. Już w sierpniu 12-osobowa zakładowa komisja socjalno-mieszkaniowa rozdzieliła skierowania pomiędzy ubiegających się o mieszkania. Aby było sprawiedliwie, komisja przyjęła punktowane kryteria. Brano pod uwagę przydatność pracownika w przedsiębiorstwie, zdyscyplinowanie i zaangażowanie, staż pracy, warunki rodzinne i mieszkaniowe. I tak powstała lista. Przewidywano, że LPB o-

trzyma w tym roku 36 mieszkań, z czego 6 przypadło podwykonawcom a 30 otrzymać mieli pracownicy LPB. Jak co roku, wydano wytypowanym komisji pracownikom imienne skierowania do Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego, podpisane przez Wandę Czerczuk, dyrektora ds. ekonomicznych, co było równoznaczne, przynajmniej dla o-wych szczęśliwców, z otrzymaniem przydziału i upragnionych kluczy do spółdzielczego mieszkania.

Niestety, „szczęśliwcy” mocno się zawiedli. Z początku szło jak z piątką: wszyscy wytypowani byli członkami spółdzielni mieszkaniowej od kilku lat, z zakładu pracy otrzymali pożyczki na uzupełnienie wkładu mieszkaniowego. Kłopoty zaczęły się miesiąc później, gdy zwrócili się do SM Zagłębia Miedziowego o wyrażenie zgody na wykończenie mieszkań we własnym zakresie. Spółdzielnia nie tylko że nie wyraziła zgody, ale nawet odmówiła przyjęcia podań! Ponieważ dotąd nie robiono w tym względzie żadnych wstrętów i utarła się już praktyka wykańczania mieszkań we własnym zakresie przez pracowników LPB, wśród oczekujących na mieszkania powstał pewien niepokój. Tak czy inaczej, postanowili po godzinach pracy popracować przy własnych mieszkaniach, na które przydział miał być tylko zwykłą formalnością. Co bardziej niecierpliwych pocieszał dyrektor Wolak: „Rób stary spokojnie, nie przejmuj się” — powiedział spotkaniem na budowie pracownikowi. Ludzie więc robili to i owo, zaczęli kupować meble, żony zabrały się do szycia firanek. I czekali na formalny przydział mieszkania.

DYREKTOR ROZKŁADA RĘCE

W listopadzie pantoflową pocztą dotarła do oczekujących na mieszkania hłobowa wieść: podobno dyrektor Wolak otrzymał ze spółdzielni mieszkaniowej pismo wstrzymujące przydział mieszkań wytypowanym pracownikom „Szczęśliwcy”, coraz bardziej zbulwersowani, czekali na jakiś pewniejszy sygnał z dyrekcji. Nie doczekali się, więc po tygodniu poszli do dyrektora.

— 26 listopada rano byliśmy u dyrektora spytać, jak to właściwie jest. Dowiedzieliśmy się, że takie pismo faktycznie przyszło i że dyrektor jest bezsilny.

Ruszyli do Komitetu Miejskiego PZPR, a potem do wojewody. Obiecano zbadać sprawę. Na następnym spotkaniu w gabinecie wojewody otrzymali zapewnienie, że dyrektor LPB został zobowiązany do spotkania z nimi i wyjaśnienia sprawy. I znów czekali. Ale obiecane spotkanie nie odbyło się. A że czas płynie są coraz bardziej rozgoryczeni i zniecierpliwieni. Po pierwsze — coś tam już przy tych niby swoich mieszkaniach zaczęli majstrować, włożyli w nie trochę grosza i pracy. Po drugie — kupili meble, które wcisnęli na przechowanie rodzinie i zna-

jomym. Po trzecie — mieszkają ciasno, w hotelach robotniczych, z małymi dziećmi w jednym pokoju bez wygod. No, a po czwarte — nie mają pojęcia, kto w tej całej sprawie namieszał i dlaczego dyrekcja nie chce im wyjaśnić tła tej mieszkaniowej kolomyjki.

Za to Wanda Czerczuk, zastępca dyrektora ds. ekonomicznych w LPB sądzi, że cały ten szum ze sprowadzaniem prasy włącznie jest zupełnie niepotrzebny.

— Nie dostali w tym roku, dostaną w następnym — stwierdza. — Im najbardziej chodzi o to, że chcą właśnie te mieszkania, bo już zaczęli je wykańczać.

No cóż — zaczęli je wykańczać z błogosławieństwem dyrekcji, a pani dyrektor, zapytana wprost, kto w tej całej sprawie zawinił, wskazuje na SM Zagłębia Miedziowego. Pada mocne sformułowanie pod adresem spółdzielni, poparte wyjaśnieniem:

— Uważam, że jeśli spółdzielnia przysłała do dyrekcji pismo, że daje nam tyle a tyle mieszkań, to powinna tego dotrzymać. I nie należało ludziom mieszkań zabierać. Nawet, jeśli w tym roku wybudujemy tych mieszkań mniej, to mogliby nam przydzielić mniej w roku następnym. Sprawa nie jest jeszcze przesądzona, dyrektor Wolak prowadzi rozmowy ze spółdzielnią. — Tak czy inaczej, ludzie mieszkania otrzymają. Wkrótce oddamy dwa budynki patronackie.

Niestety, z powodu nieobecności dyrektora Wolaka nie udostępniono mi pism, jakie LPB otrzymało z SM Zagłębia Miedziowego. Nie widzieli ich zresztą także i ci, których sprawa bezpośrednio dotyczy. Po ich lekturze okazałoby się, że dyrekcji Lubimskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego bardzo trudno będzie

ZACHOWAĆ TWARZ.

Dyrektor Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego stawia sprawę jasno i zdecydowanie: mieszkań dla LPB nie da. I wcale nie ze złej woli. Po prostu, jak w każdej umowie, obowiązują pewne reguły gry. LPB nie wywiązało się ze swoich zobowiązań, więc nie może się do nich także SM, w której jest także długa kolejka czekających na mieszkania.

Miedzy LPB a SM obowiązuje od ubiegłego roku jedno jedyne ustalenie: przedsiębiorstwo ma otrzymać połowę mieszkań wybudowanych ponad plan. Obie strony dobrze o tym wiedzą. W roku ubiegłym plan przekroczone o 92 mieszkania i połowę otrzymało LPB bez żadnych szyszan ze strony spółdzielni. W tym roku LPB nie tylko że nie wybuduje żadnych mieszkań ponad ustalony plan, to jeszcze istnieją uzasadnione wątpliwości, że nie wykona planu. Premia w postaci mieszkań po prostu się przedsiębiorstwu nie należy.

— Nie ja przekazywałem informacje tym ludziom — mówi dyrektor SM. — Firma powinna powiedzieć wprost: będą wyniki, będą mieszkania. Po półroczu już przecież wiadomo było, że plan jest zagrożony. Należało zrobić rachunek sumienia i wziąć się do pracy, a nie — dać ludziom skierowania i udawać, że wszystko jest w porządku.

— Czy w tej sytuacji nie moglibyście dać przedsiębiorstwu tych mieszkań zaliczkowo na poczet roku przyszłego?

— Nie, bo porozumienie nasze wygasa w tym roku. W przyszłym roku będą nam budować za pieniądze.

Co pozostało jeszcze do wyjaśnienia? Pisma, które spółdzielnia kierowała do LPB stawały od początku sprawę mieszkań bez żadnych niedomówień. Oświadczono, że do dyspozycji LPB rezerwuje się mieszkania, ale uzależniając przydział i liczbę od stopnia przekroczenia planu. 22 pracowników LPB (bo siedmiu zdążyło otrzymać przydziały i tym SM mieszkań nie odbierze) — zostało oszukanych. Gdyby nie owe niesłuszne skierowania, czekaliby na mieszkania bez szemrania jeszcze kwartał czy pół roku. Teraz gubią się w domysłach i nie mogą zrozumieć, dlaczego dyrekcja unika spotkania z nimi. I rzeczywiście, trudno będzie wytłumaczyć się z postępowania w myśl zasady: daję, bo nie moje. Trzeba też będzie zapewnić mieszkania 22 oszukany pracownikom. Bo SM Zagłębia Miedziowego nabrać się nie dała.

Jujka



— NIE TRZEBA, JESTEŚMY STYPENDYSTAMI MINISTERSTWA KULTURY.

Kierunek: młódzież

Ze STANISŁAWEM GOŁĄBEM — dyrektorem Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy rozmawia Zygmunt Luszcz.

● Dobiega końca sportowy rok 1985. Pora więc dokonać podsumowania o osiągnięciach naszego województwa w ostatnich dwunastu miesiącach. Kibiców najbardziej interesuje wysoki wynik i dlatego też o nim chciałbym rozmawiać. Jak najogólniej mógłby Pan ocenić rezultaty naszych wyczynów?

— Na wstępie pragnę stwierdzić, że zanotowaliśmy widoczny postęp w stosunku do roku poprzedniego. Najważniejszym wydarzeniem był awans piłkarzy Zagłębia Lubin do ekstraklasy. Ustabilizowała się też pozycja Chrobrego Głogów w piłkarskiej II lidze, a Legnica doczekała się wreszcie dobrej III ligi. Na uwagę zasługuje także postawa piłkarzy ręcznych Zagłębia Lubin i Chrobrego Głogów, piłkarzy z Lubina i ich kolegów z Miedzi Legnica. Tradycyjnie już — do tego zdążyli się wszyscy przyzwyczaić — wysoki poziom zaprezentowali akrobaci z Jawora, Złotoryi i Chojnowa. Podkreślić też należy duże osiągnięcia sekcji jeździeckiej z Jarosławki. Bardzo cieszy postawa naszej młodzieży w kolejnej Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży, zwłaszcza w kategorii juniorów, którzy poczynili widoczne postępy.

● Przejdźmy jednak do szczegółów...

— Czy chcę, czy też nie chcę muszę zacząć od najpopularniejszej dyscypliny — piłki nożnej. Doskonale pamiętamy wydarzenia sprzed ponad dwóch lat, kiedy to lubiński Zagłębie ostro rywalizowało z Górnikiem Wałbrzych o awans do I ligi. Wówczas lepszy okazał się Górnik. Nie załamało to piłkarzy, szkoleniowców i działaczy z Lubina. Nie zrezygnowali z głównego celu, i wreszcie go osiągnęli. Po jesiennej rundzie 1984/85 mieli pięciopunktową stratę do lidera, a mimo to wiosną odrobili zalety i uzyskali upragniony awans. Doskonale pamiętamy wielką radość nie tylko w Lubinie, ale i w całym regionie. Awans (zdobyty rok wcześniej niż planowano) zdopinguwał budowniczych pięknego stadionu Górniczego Ośrodka Sportu. Zmobilizowali się i obiekt przekazano do użytku 22 lipca. Wszyscy liczyli na dobrą postawę zagłębiaków. Początki sezonu były obiecujące. W inauguracyjnym pojedynku Zagłębie pokonało rutynowany GKS Katowice. Potem jednak nastąpiły ciężkie chwile. Drużyna zaczęła grać słabo, zabrakło jej bojowości i wiary we własne siły. Nic więc dziwnego, że trzeba było godzić się z seryjnymi porażkami. Zespół „zaaklimatyzował” się na ostatnim miejscu w tabeli i wszyscy zdążyli się przyzwyczaić do lubińskiej czerwonej latarni. Brak wyników wprowadził duże zamieszanie w lubińskim klubie. Fakty są zresztą wszystkim doskonale znane. Doszło do pożegnania się z trenerem Eugeniuszem Różańskim. Czy uczyniono to słusznie, czy też nie? O sprawie decydował zarząd klubu i nikt tego nie mógł zmienić. Rozpętała się — zbędna moim zdaniem — wielka kampania prasowa. Do akcji wkroczyły czołowe pisma sportowe kraju, które wieszały psy na działaczach z Lubina. Wytworzyła się bardzo nieprzyjemna atmosfera, która musiała odbić się rykoszetem na postawie ligowego zespołu. Przestał on po prostu wierzyć we własne siły. Stąd też kolejne rozgoryczenia, a nawet pomówienia i plotki. Wielu było — i jest do dzisiaj — takich, którzy z góry skazali lubińskich piłkarzy na degradację z ekstraklasy. Pierwszą rundę zakończyli fufoliści na ostatnim miejscu w tabeli i to z widoczną stratą do zespołów strefy spadkowej. Pierwszy z trzech rozgrywanym awansem spotkań rundy wiosennej zdawał się potwierdzać taką opinię. Zagłębie przegrało z GKS w Katowicach aż 1:3. Potem nastąpiła niespodziewana zmiana. Zagłębiacy wygrali u siebie z Bałtykiem Gdynia i ku ogólnemu zaskoczeniu ze Stalą Mielec — i to na wyjeździe. Zmniejszyli więc dystans dzie-

lący ich od zespołów również zagrożonych spadkiem. Zobaczymy, czy ta zapoczątkowana dobra passa będzie kontynuowana w rozpoczynających się już 2 marca przyszłego roku dalszych spotkaniach rewanżowych. Jeżeli chodzi o mnie, to jestem umiarkowanym optymistą.

Na Zagłębiu nie kończy się nasza piłka nożna. Przed rokiem wszyscy drżeli o losy beniaminka II Ligi — Chrobrego Głogów. Zdołał się jednak utrzymać, i do kolejnej edycji rozgrywek przystąpił już pewniejszy siebie, z góry zakładając uplasowanie się w środkowych rejonach tabeli. W pierwszej rundzie glogowianie wykonali swoje zadania i już teraz można być spokojnym o ich ligowy byt. Do III ligi awansowała wreszcie (szkoda, że nie zdołała się w niej utrzymać Stal Chocianów) legnicka Miedź. Grała wprawdzie w kratkę, ale zdołała się uplasować w „czubie” tabeli. Kibiców i to nie tylko legnickich bardzo zaskoczyła postawa Konfeksu, który przez długi czas przewodził w lidze legnicko-jeleniogórskiej i ostatecznie na półmetku uplasował się na drugiej pozycji. Przed tym młodym i ambitnym zespołem stanęła wielka szansa — możliwość awansu do III ligi.

● Jeżeli idzie o popularność, to na drugim miejscu trzeba postawić bokserów. Jak Pan ocenia ich występy?

— W tej dyscyplinie stajemy się coraz silniejszym i liczącym się w kraju regionem. Zagłębie Lubin awansowało przed rokiem do ekstraklasy. Podopieczni Mieczysława Massiera spisują się zupełnie dobrze i potrafią nawiązać wyrównaną walkę nawet z najsilniejszymi rywalami. Pomyślano też w Lubinie o zapleczu — i stąd też udane występy rezerw w walce o II ligę i zwrócenie widocznej uwagi na szkolenie młodzieży. Do II ligi awansowała Miedź Legnica. Przez cały czas rozgrywek ostro rywalizowała z Gwardią Zieloną Górą, a w końcówce lepsi okazali się podopieczni Zenona Kaczora. Od lat już z doskonałej pracy z młodzieżą słynie Głogów. Trener Jerzy Adamski wychowuje wielu utalentowanych zawodników, którzy później zasilały barwy innych klubów, zwłaszcza Zagłębia Lubin. W boksie nie tylko cieszyły rezultaty drużynowe, ale także indywidualne. Pragnę tylko przypomnieć, że lubinianin Janusz Zarekiewicz został brązowym medalistą Europy i wice-mistrzem kraju w wadze superciężkiej.

● Od wielu lat eksportową dyscypliną sportową zagłębia miedziowego była i nadal jest akrobatyka...

— Przed laty chlubił się słynną złotoryjską czwórka, która sięgała po tytuły mistrzów świata i zdobywców Pucharu Świata. Era jej już minęła i w pewnym momencie zabrakło następców. Zdobywali wprawdzie najwyższe trofea (zwłaszcza w gronie młodzieży) w kraju, ale brakło znaczących sukcesów międzynarodowych. Okres ten, na szczęście, nie trwał zbyt długo. Trener Piotr Biegaj szybko wychował zawodników, o

których już teraz bardzo głośno w kraju i poza jego granicami. Mam na myśli dwójkę jaworską: Piotr Biegaj — Paweł Matula. Szturmem zdobyła ona sobie miejsce w czołówce krajowej i to wśród seniorów, mimo że jeszcze nie osiągnęła tego wieku. W bieżącym roku jaworzanie zdobywali mistrzostwo kraju, odnosili liczne sukcesy międzynarodowe, ale za najważniejszy z nich uważa należy trzecie miejsce w mistrzostwach Europy. Na Pawle i Piotrze nie kończy się nasza akrobatyka. Sukcesy akrobatów Jawora, Złotoryi i ostatnio Chojnowa są powszechnie znane i nie chcę ich wliczać. Warto jednak podkreślić, że w tej właśnie dyscyplinie od dawna pamięta się o zasadzie drożności w sporcie wyczynowym, która już zaowocowała i owocować będzie w następnych latach.

● Był Pan prezesem Wojewódzkiej Federacji Sportu, jest Pan prezesem Okręgowego Związku Piłki Ręcznej. Jako byłego zawodnika sport ten szczególnie Pana interesuje. Jak więc ocenia Pan osiągnięcia zagłębiowskiej piłki ręcznej?

— Handball jest szczególnie popularny wśród młodzieży, a w klubach sportowych uprawia się go w Lubinie, Głogowie, Legnicy, Złotoryi, Chojnowie i Chocianowie. Najsilniejsze zespoły posiadają Lubin i Głogów. Męski zespół Zagłębia i męska drużyna Chrobrego z powodzeniem występują w II lidze. Miłą niespodzianką sprawiły nam dziewczęta z Lubina, które awansowały do tej samej klasy rozgrywek. Coraz lepiej dzieje się z piłką ręczną w Legnicy. W spotkaniach ligi międzywojewódzkiej piłkarze Miedzi wyraźnie prowadzą i mają olbrzymie szanse awansu do II ligi. Są też prawdziwą rewelacją Pucharu Polski. Awans III-ligowej drużyny do jego ćwierćfinału to już olbrzymi sukces, zwłaszcza że po drodze wyeliminowała ona drużyny II, a potem I ligi.

● Piłka ręczna systematycznie się rozwija, ale to samo można powiedzieć o jeździectwie...

— Największa w tym zasługa sekcji LKS Chojnow w Jarosławce. Od paru lat zawsze słyszymy o bardzo dobrych wynikach zawodników z Jarosławki. Najpierw był Paweł Śniegucki, potem Krzysztof Bortko, a ostatnio dołączył do nich ceniony trener, a zarazem zawodnik Andrzej Sałacki, który zdobył tytuł mistrza kraju w bardzo trudnej konkurencji, jaką jest ujeżdżenie. Trójka ta, a także jeźdźcy z Targoszyna i Kunie doskonale spisują się w licznych zawodach krajowych i międzynarodowych. Ostatnio coraz głośnie o woltżerkach z Jarosławki, które mimo krótkiego okresu treningów szturmem zdobyły miejsce w światowej czołówce.

● A co ciekawego w innych dyscyplinach?

— Szerzej mówiłem o tzw. dyscyplinach wiodących. Nie oznacza to, że w pozostałych nic się nie działo. Przecież od lat naszą bardzo silną stroną jest tenis

stołowy. Zawodnicy Zagłębia zawsze plasują się w czołówce ekstraklasy, a ich koleżanki prowadzą w II lidze. Nie wolno też zapominać o łyżwiarzach szybkich z Lubina. To przecież Lilianna Morawiec była pierwszą w historii województwa olimpijką i nadal należy do czołowej trójki w kraju. Prawdopodobnie rozwija się talent Andrzeja Makowskiego. Przed rokiem (jako junior młodszy) zdobył komplet (pięć) złotych medali w OSM. W tym roku występował w gronie juniorów i zdobył o jeden złoty medal mniej. Śmiało można liczyć, że szybko awansuje do ścisłej czołówki krajowej i na długo w niej się zaaklimatyzuje.

W poprzednich latach bardzo głośno było o naszych kolarzach. Tym razem nie było jakichś błyskotliwych sukcesów, ale ich poziom stale wzrasta, gdyż prowadzi się prawidłowe szkolenie w Górniku Polkowice, Chrobrym Głogów i Legroli Legnica. Nie wolno zapominać także o szachistach. Podopieczni Leszka Broczkowskiego z Legroli zajęli trzecie miejsce w II lidze i w najbliższej przyszłości (klub posiada wyjątkowo bogate zaplecze) powinni znaleźć się w I lidze. Sukcesy odnosili Zbigniew Przybyła z Automobilklubu Zagłębia Miedziowego — sekcji przy glogowskiej Hucie Miedzi. Jest aktualnym mistrzem Polski i wice-mistrzem Europy w motocrossie. Z innych dyscyplin na uwagę zasługuje systematyczny rozwój tenisa ziemnego, piłki siatkowej i młodzieżowej koszykówki. Celowo wcześniej nie mówiłem o lekkiej atletyce. Przed kilkoma laty Zagłębie Lubin miało silną drużynę w II lidze. Potem nastąpił regres, a teraz rozpoczęto pracę na nowo i wykorzystuje się sotarowy obiekt w Lubinie. Jak dotychczas asem atutowym lubińskiej sekcji jest Tadeusz Ławicki, który wywalczył wicemistrzostwo kraju w biegu na 10 km Sądę, że energiczne poczynania lekkatletów szybko zaowocują i w Lubinie znów będzie silna, drugoligowa sekcja.

● Rok 1985 był w sumie udany i stanowił dobry prognostyk na przyszły sezon. Jakie są najważniejsze plany i zamierzenia w zbliżającym się roku i czego oczekuje się od sportowców?

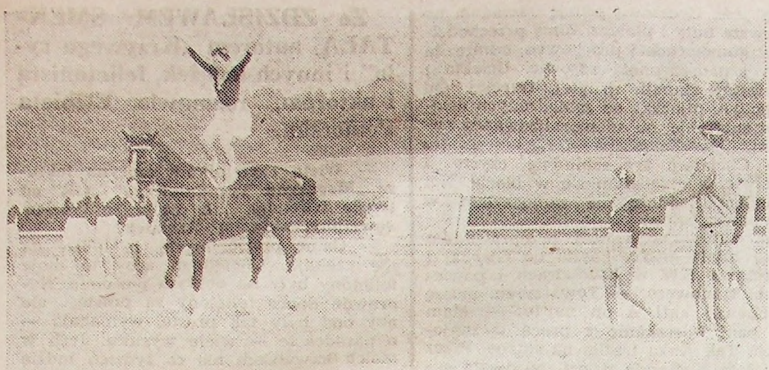
— Myślmy o latach następnych. Ostatnia sesja WRN zatwierdziła program rozwoju kultury fizycznej województwa do roku 1995. Jeżeli ktoś przestudiuje ten obszerny dokument to szybko zorientuje się, że naszym podstawowym kierunkiem działania jest młodzież. Zakładamy, że w sporcie młodzieżowym powinniśmy się znaleźć w pierwszej 20 w kraju. Chcemy wreszcie odwrócić piramidę sportu wyczynowego w ten sposób, by u jej podstaw była jak najliczniejsza grupa młodzieży, a na wierzchołku wysoki — rangi krajowej i międzynarodowej — wyczyn. Dlatego też stawiamy na prawidłowe szkolenie i właściwe ustawienie pracy w klubach. Kluby posiadające dyscypliny indywidualne winny w większym stopniu osiągać wysoki poziom, a uda się to uczynić przy prawidłowej realizacji zasady drożności. Dużo uwagi poświęćmy szkoleniu i doszkalanu kadry trenersko-instruktorskiej. Konieczne jest stworzenie silnego ośrodka kształcenia i doskonalenia kadr. Dlatego też chcemy wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania utworzyć studia o kierunku wychowania fizycznego w legnickim Studium Nauczycielskim.

Sport kosztuje i własnymi siłami niewiele możemy zdziałać. Dlatego też musimy szeroko wyjść do zakładów pracy i nawiązać odpowiednią współpracę z radami pracowniczymi i związkami zawodowymi. Jeżeli to nam się uda, to kluby znajdą dobre oparcie w zakładach, co zapewni im materialne funkcjonowanie. Chcemy również doprowadzić do objęcia przez kluby patronatów nad szkołami o profilu sportowym posiadającymi klasy sportowe i realizującymi rozszerzony program wychowania fizycznego, a także nawiązać współpracę z Międzyszkolnym Ośrodkiem Sportu. Dużą rolę przypadnie okręgowym związkom sportowym jako koordynatorom wszelkich poczyniń w poszczególnych dyscyplinach. Chcemy doprowadzić do tego, aby w danym sporcie nie się nie działo bez wiedzy okręgowego związku.

Na koniec sprawa działaczy. Bez nich trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie jakiegokolwiek sekcji i klubu. Traktowani są po macoszemu i pomija ich się przy okazji wręczania różnych odznaczeń i wyróżnień. Dlatego też z całą stanowczością dążyć będziemy do powszechnego uznania działaczy kultury fizycznej w każdym środowisku i to na równi z ich kolegami w innych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego.

● Dziękuję za rozmowę.





Fot. Marek Gajewski

Najlepsze w kraju

Zygmunt Łuszc

Wszyscy lubimy chodzić do cyrku i podziwiać przeróżne wyczyny artystów i ich podopiecznych. Jedni lubują się w mrozących krew w żyłach popisach z dzikimi (ale oswojonymi i wytresowanymi) zwierzętami, inni martwią się o szybujących pod kopułą akrobatów. Jednak najbardziej lubimy piękne wyczyny pędzące na koniach grzbietach i równocześnie wykonujące różne skomplikowane elementy gimnastyczne. Mowa tu o coraz popularniejszych woltżerkach. Ta dziedzina cyrkowej sztuki znana jest od dziesięcioleci, ale o traktowaniu jej jako jednej z dyscyplin sportu — konkurencji jeździectwa — bardzo długo nie myślano. Dopiero w ubiegłym roku opracowano regulamin rozgrywek. Przewiduje on układ obowiązkowy i tzw. kūr, czyli układ dowolny. W każdych zawodach zespół składa się z ośmiu woltżerek i jednej rezerwowej.

Pokuszono się nawet o zorganizowanie pierwszych mistrzostw Europy, które w Austrii wygrała drużyna Republiki Federalnej Niemiec. Ta nowa dyscyplina sportu bardzo się wszystkim podobała i w przyszłym roku odbędą się w Szwajcarii pierwsze mistrzostwa świata. Start w tej wielkiej imprezie zapowiedziało wiele krajów europejskich, a także bardzo dobre w tej dziedzinie Amerykanki oraz Kanadyjki i Brazylijki. Nie zabraknie w niej reprezentantek Polski, nasze barwy narodowe reprezentować będzie ekipa z... Chojnowa. I to z dużymi szansami na zajęcie przyzwoitego miejsca, gdyż za podopiecznymi Andrzeja Salackiego i Hanny Kaczmarskiej przemawia bardzo dobry program dowolny. Grupa potrafi już nawet wykonywać podwójne salto, czego jak dotychczas nie uczynili rywale.

Cała tajemnica tkwi w tym, że obecne woltżerki są zarazem dobrymi akrobatkami. A jak wiadomo akrobaci potrafili wykazywać się dużymi umiejętnościami, są przydatni i cenią zarówno w cyrku, jak i w woltżerce. Zaczniemy jednak od bardzo krótkiego zarysu tej konkurencji w Chojnowie, a praktycznie w Jarosławcu. Mówi o tym twórca naszej woltżerki Andrzej Salacki.

— Kiedyś zastanawiałem się, jak dobrze wykorzystać salę jeździecką w Jarosławcu. Powstała przecież kryta ujeżdżalnia, obok niej stajnia, kawiarnia i całe zaplecze socjalne. Wykorzystywałem ją dla potrzeb ujeżdżenia i na treningi zawodników WKKW. Takiego obiektu nie było i nie ma nie tylko w Polsce, ale i na całym Zachodzie. Wpadłem wówczas na pomysł zajęcia się woltżerką. Nie było jednak na to czasu, gdyż byłem trenerem sekcji. Potem moje obowiązki przejął ktoś inny i postanowiłem zrealizować swój zamiar. Zawsze zresztą tkwiła we mnie pasja, by akrobatykę przybliżyć do sportu jeździeckiego, a dokładniej mówiąc woltżerki. Udało mi się to zrealizować dopiero w lutym bieżącego roku. Zwróciłem się o współpracę do trenerki akrobatyki LKS Chojnowa. Nie była to propozycja zbyt zbudowana. Być może nie wiedziała, że z dobrej akrobatki znacznie lepiej zrobić amazonkę niż z dobrego jeźdźcy świetnego akrobata. Opory udało się jednak pokonać i nowo powstała codzienna współpraca, która bardzo szybko zaowocowała. Po kilku miesiącach treningów i startów jesteśmy najlepszą z dziesięciu istniejących w kraju sekcji woltżerki. Na takiej lokalizacji zaważyło to, że oparliśmy się wła-

nie na akrobatkach. Dostrzeżono to bardzo szybko i już w nasze ślady idą Kielce, a w Warszawie postanowiono zainteresować tą konkurencją gimnastyczny świat. Tego dotyczy nas nie uczyniono w żadnym kraju na świecie. Po krótkim treningu zaczęliśmy brylować w kraju i... wygraliśmy silnie obsadzone zawody w Berlinie Zachodnim. Tego było już za wiele. Cenięni fachowcy nie dowierzali naszym słowom i odwiedzili Jarosławkę. Przekonali się i zaczęli mówić o wielkich szansach naszych zawodniczek. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że warto zająć się woltżerką na serio i że w przyszłości można liczyć na bardzo duże efekty. Nasze podopieczne uprawiają równoległe obie dyscypliny i odnoszą w nich coraz lepsze wyniki. W tej chwili skupiamy 15 dziewcząt — głównie z chojnowskiego „ogólniaka” — a w przyszłości chcemy zwiększyć ich liczbę, tak byśmy mogli dysponować dwoma równorzędnymi zespołami. Kibicom akrobatyki nazwiska są dobrze znane. Oto one: Halina Bogacka, Danuta Arasim, Dorota Noga, Renata Krańska, Ewa Tryszczuk, Violetta Jasińska, Anna Wójcik, Agnieszka Majewska oraz rezerwowa Anna Repa. One i ich młodsze koleżanki trenują wyjątkowo sumiennie i co najważniejsze potrafią godzić naukę ze sportem. A trzeba wiedzieć, że zajęcia odbywają się u nas aż sześć razy w tygodniu (poza niedzielami) nie mówiąc już o treningach akrobatycznych.

Trenerzy woltżerek mogą być w pełni zadowoleni z ich dotychczasowego dorobku. Przed nimi jednak bardzo trudny sezon 86. Już w lutym wystartują w Hamburgu, potem zawody w Austrii, obóz w RFN i mistrzostwa świata w Szwajcarii, nie mówiąc już o mistrzostwach kraju i wielu innych zawodach, a także coraz częstszych pokazach propagandowych. Udało się już osiągnąć bardzo wiele, ale o sukcesach nie zdecydowały same zawodniczki. W woltżerce olbrzymią rolę odgrywa koń. Wybrano do tego celu olbrzymią, rosłą klacz rasy wielkopolskiej „Jofkę”. Poprzednio startowała w ujeżdżeniu, ale nie wórowo jej tam wielkich sukcesów. Miano jednak dobrego nosa i skierowania ją do nowej konkurencji. Klacz wykazała się wybitnymi zdolnościami i aktualnie jest zdecydowanie najlepsza na świecie. To nie żadna przesada, gdyż po zawodach w Berlinie Zachodnim można było dostać za nią każdą cenę. Oczywiście nikt nie zdecydował się na zawarcie jakiegokolwiek umowy. Koń się doskonale sprawdził i byłoby wielce nierozsądnym pociągnięciem jego odsprzedaż.

O woltżerkach z Jarosławki opinia sportowa doprowadziła się do skutku niedawno. Różne na ich temat wypowiedziano opinie. Jedni byli zaskoczeni szybkimi sukcesami, inni mówili — co to za sport, a jeszcze inni stwierdzali, że taka „zabawa” jest bardzo kosztowna. O tym kto miał rację udowodni najbliższy sezon. Dziewczęta stać jest na odegranie nieposłusznego roli w przyszłorocznych mistrzostwach świata. Potrzebują jednak większego zainteresowania i pomocy ze strony ludzi zajmujących się na co dzień sportem. Jeżeli znajdą właściwych mecenasów, to ze swej strony mogą zagwarantować, że w bardzo szybkim czasie zaskoczą wszystkich swoimi wynikami i umiejętnościami. Warto więc przyjść im z pomocą, a na efekty nie trzeba będzie zbyt długo czekać.

Sportowy rok '85

Konczący się rok 1985 obchodzony był jako okres 40-lecia powrotu ziem zachodnich i północnych do Macierzy. Nic więc dziwnego, że rocznicę tę uczczono zorganizowaniem licznych imprez sportowych najwyższej rangi. Po raz pierwszy w Legnicy i województwie odbyła się centralna inauguracja Dni Olimpijskich. Zorganizowano tradycyjny turniej piłkarski poświęcony pamięci marszałka Konstantego Rokossowskiego, odbył się także kolejny wyścig kolarski „Szlakiem Grodów Piastowskich”. W roku tym przekazano do użytku należący do sportu przy ul. Żołnierskiej w Legnicy i piękny stadion Górniczego Ośrodka Sportu w Lubinie. Odbywały się liczne imprezy ogólnopolskie i międzynarodowe. Nasz sportowcy osiągnęli też znaczące sukcesy na arenach krajowych i zagranicznych. Oto najważniejsze z nich:

STYCZEŃ

Miesiąc ten stał pod znakiem sukcesów tyżwiarzy szybkich z Cuprum Lubin. W mistrzostwach Polski juniorów Andrzej Makowski wywalczył aż cztery złote i jeden brązowy medal, a w finałach Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży jego kolega klubowy Mariusz Sysiak zdobył brązowy medal na dystansie 3000 m.

MARZEC

Młody lekkoatleta Cuprum Lubin Jacek Kazimierzczuk zajął 10 miejsce (na 3 km) w finałach XII OSM w biegach przełajowych. A siatkarze (juniorzy młodszy) Ikara Legnica awansowali do półfinałów mistrzostw OSM.

KWIECIEŃ

Uplynał pod znakiem osiągnięć akrobatów. Na mistrzostwach Polski w Toruniu duży sukces święcili zawodnicy Victorii Jawor. Pierwsze miejsca zajęli Paweł Biegaj i Piotr Matuła. Beata Wojtowicz oraz dwójka Wojtowicz — Bartosz z Aurum Złotoryja. Zawodnicy obu klubów zajęli wiele drugich, trzecich i dalszych miejsc. W tym samym czasie siatkarze Ikara awansowali do ligi makroregionu. Transportowice Jawor do III ligi, a Ikar do finału OSM. Dali też o sobie znać zawodnicy sekcji jeździeckiej LKS Chojnowa z Jarosławki. Andrzej Salacki zwyciężył w konkursie ujeżdżenia, a znaczącymi rezultatami mogli poszczycić się Elżbieta Niebieszczańska, Paweł Sniegucki i Ireneusz Gancarz.

MAJ

Kolejne zawody akrobatów — tym razem finały OSM, w których nasi akrobaci odegrali czołową rolę. A w tym samym miesiącu para Biegaj — Matuła zdobyła brązowy medal w rozgrywanych w RFN mistrzostwach Europy. Siatkarze Ikara wywalczyli ósme miejsce w finale OSM. Bardzo dobrze spisali się też tenisiści Ikara w strefowych zawodach OSM. Pięściarze Zagłębia Lubin Janusz Zarenkiewicz zdobył brązowy medal w mistrzostwach Europy, a w finałach OSM głogowianie Marek Oczerkiewicz i Andrzej Szalapski zdobyli srebrne medale, a legnickanin Janusz Siwak brązowy.

CZERWIEC

W miesiącu tym zakończyły się rozgrywki piłkarskie 16 czerwca Miedź Legnica wywalczyła awans do III ligi. A w tydzień później — po zwycięstwie nad Olimpią Poznań — Zagłębie Lubin weszło do ekstraklasy. Odbyły się też baraże o wejście do II ligi w piłce ręcznej. W turnieju kobiet w Lubinie awans wywalczyły piłkarki Zagłębia. Nie powiodło się natomiast ich kolegom z Legnicy, którzy w barażu zajęli trzecie miejsce i przez następny sezon muszą występować w lidze międzywojewódzkiej.

LIPIEC

Jak zwykle w okresie wakacyjnym

było mniej imprez, ale na brak emocji nie mogliśmy narzekać. Wszyscy byli pod wrażeniem awansu piłkarzy lubińskich do I ligi i otwarcia nowego stadionu. To ważne wydarzenie miało miejsce 21 lipca, a w tydzień później rozpoczęły się mistrzowskie pojedynki. Zagłębiacy dobrze wystartowali (pokonali 1:0 GKS Katowice), ale potem wiodło im się już słabiej ostatecznie po zakończonej pierwszej fazie rozgrywek zajmują ostatnie miejsce w tabeli.

SIERPIEŃ

Stał pod znakiem rozgrywek we wszystkich ligach i klasach piłkarskich, a inne imprezy należały do rzadkości.

WRZESIEŃ

Kolejny sukces Andrzeja Salackiego, który we Wrocławiu wywalczył tytuł mistrza kraju w ujeżdżeniu. Dobrze też zaprezentował się Paweł Sniegucki w mistrzostwach Polski juniorów i Ireneusz Gancarz w finale OSM. W tym samym miesiącu tenista Ikara Artur Szostacko zwyciężył w ogólnopolskim turnieju do lat 14, a Paweł Bobik był trzeci w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży. Janusz Zarenkiewicz został wicemistrzem kraju w wadze superciężkiej.

LISTOPAD

Zakończyły się rozgrywki piłkarskie. Zagłębie Lubin mimo bardzo dobrego finišu nie zdołało opuścić ostatniego miejsca w tabeli. W II lidze dobrze spisywał się Chrobry Głogów, który na półmetku uplasował się na dobrej, szóstej pozycji. To samo można powiedzieć o występującej w III lidze legnickiej Miedzi, która w swej grupie zajęła piąte miejsce. Jak zwykle bardzo dobrze prezentowali się akrobaci zwyciężając w różnego rodzaju zawodach i mistrzostwach. Zdobyli wiele czołowych pozycji, ale szczupłość miejsca nie pozwalała na wymienianie wszystkich ich osiągnięć. Jedno jest pewne — Victoria Jawor i Aurum Złotoryja należą do ścisłej czołówki krajowej, a coraz lepiej spisują się akrobaci LKS Chojnowa. Dali też o sobie znać piłkarze ręczni Miedzi, którzy stali się prawdziwą rewelacją Pucharu Polski, eliminując zespoły II i I ligi, nie mówiąc już o tym, że są liderem ligi międzywojewódzkiej.

GRUDZIEŃ

Zakończyły się rozgrywki ligi bokserkiej. Występujący w I lidze pięściarze Zagłębia Lubin zdołali się utrzymać w ekstraklasie. Bokserzy Miedzi Legnica awansowali do II ligi, a po drodze ich zawodnik Robert Nawrat został wicemistrzem Polski juniorów w wadze superciężkiej. Wymieniliśmy tylko największe osiągnięcia sportowców województwa legnickiego w 1985 roku. Było ich znacznie więcej — chociażby sukcesy głogowianina Zbigniewa Przybyły w sporcie motorowym. W sumie można uznać, że rok był udany i rokuje dobre nadzieje na najbliższe miesiące.

(Opr. z.l.)

Ju'ka



- NIE MAM CZEGO ROZNOŚĆ, A POZA TYM CZUJĘ SIĘ DOBRZE

— Za pysk i w pysk — mówiła zakonnica i waliła pięściami na oślep. Biła mocno i skutecznie. Za bunt, za wybrak w szkole, za złe umyte schody. Weksłała głowę Anki w habi i boksowała po plecach, ramionach, gdzie się dało. Tak uczyła pokory, bezgrzesznego życia i dyscypliny.

Anka nienawidziła czarnego habitu przepasanego grubym sznurem, zakończonym ciężkimi guzami. Bo habit przesłonił jej dzieciństwo, a guzy też służyły do bicia. Bardzo szybko zrozumiała, że Bóg i habit to nie jedno. I bardzo długo nie mogła pogodzić się z tym odkryciem. Przecież wcześniej, inna siostra w czerni nauczyła jej miłości do Boga, mówiła o nim pięknie i godzinami.

Miała trzy lata, gdy trafiła do domu dziecka. Pani z „ochronki” trzymała ją za rękę, a Anka dreptała kolo niej niepoornie. Potem krzychała głośno i długo, że chce do domu i do mamy. Wpila się palcami w płaszcz opiekunki i nie chciała zrozumieć tłumaczeń. — Mama przyjedzie po ciebie — mówiła pani, nie wiedząc, że zaszczepia w niej nie spełnioną nadzieję. Bo od tej chwili Anka czekała na matkę. Najpierw na prawdziwą, a potem wszystko jedno na jaką, byle własną.

Nowy dom miał dwa piętra, grube mury i dużo schodów. Schody pamięta najbardziej. W ciągu piętnastu lat czekania wspinała się po nich setki razy. Potem przypisano jej stały obowiązek — szorowanie, pastowanie i polerowanie. Stopień po stopniu, od strychu po parter. Zresztą na tym nie kończyła się lista jej powinności. Ledwo Anka odrosła od ziemi, już wyznaczono jej podopieczną. Miała zajmować się młodszą siostrą jak najlepiej. Szcilić jej łóżko, myć, czesać, prać chusteczki i skarpetki. Nazywało się to kształtowaniem macierzyńskich instynktów. Potem należało wyszorować ubikację, korytarz albo jadalnię. Na końcu zostawały własne sprawy i potrzeby. W nagrodę za dobre zachowanie i sumienną pracę mogła iść na podwórko. Miała wtedy siedem lat.

Kiedy podrosła, prala na tarze, zginając kark nad balią. Biegła do magla, dzwigała pięćdziesięciolitrowe gary z zupą na piętro. — Kolubryny do pralni! — krzychała zakonnica, poganiając najbardziej wyrośnięte wychowanki. W sierocim nikt nie próżnował. Bo ciężka praca i modlitwa wiodły do moralnego życia.

Anna zgadza się z tym i dzisiaj nie ma pretensji, że zdzierła palce na tarze. Tam zrozumiała, że w swoim życiu musi liczyć tylko na swoje ręce.

Nietrudno było przemienić się w kolubrynę. Musiała jeść, tłusto i do przysy, żeby wyglądać przyzwoicie. Zakonnica wypychała łyżkę do ust, tyś zwracała z przejeżdżenia, a ona znów łyżkę do ust... Tuzenie pod batem. Nienawidziła ją za to jeszcze bardziej.

Z czasem wyhodowała w sobie lek, który odzywał się przy byle okazji i towarzyszy ci do dzisiaj. To niewyleczalna rana po sierocej chorobie. Balaś się wszystkiego i wszystkich. Nawet pierwszego września, gdy po raz pierwszy szła do szkoły, nie potrafiła opanować swojego strachu. Zakonnice wyposażyły was w szkolną wyprawkę — dwa zeszyty, ołówek i obiadkę ze stałową. Cieszyła się, zawiązując przybory w gazecie. Potem dostała szmacianą torbę, dopiero w trzeciej klasie tekturowy tornister. Od Mikołaja i w nagrodę za dobre stopnie. Była szczęśliwa po raz drugi, nie potrafiła opisać jak. Polubiła szkołę, chociaż dzieci w klasie kpiły z twojego sieroctwa. Chciała się uczyć, porywał cię inny, książkowy świat.

— Do mojej klasy chodziła „dziewiątka” z domu dziecka. Codziennie rano ustawialiśmy się w pary i maszerowaliśmy przykładnie do szkoły. Sami, bez żadnego nadzoru i przez całe miasto. Koleżanka — która zresztą parodiowała Filidrypcę, nauczycielkę śpiewu — podawała ton i zaczynaliśmy śpiewać. Dzisiaj brzmi to egzotycznie, bo przed każdą szkołą rozbrzykana gromada Klasztorne prawie życie tak mocno jednak zakorzeniło w nas bezwzględny posłuch i podporządkowanie, że wystarczyło słowo, by okiełznać dziecięcy temperament. Ale droga do szkoły to chyba jedyny epizod z mojego dzieciństwa, który przywołuję bez wewnętrznych oporów. Namistka swobody.

Dyscyplina, rygor, zakazy, nakazy od rannej pobudki do nocej ciszy. Życie na czas i na rozkaz. Grała posłuszną, chociaż duszę rozpierał bunt. Nie wolno spać dłużej niż do szóstej, nie wolno siedzieć, nie wolno wychodzić samemu do miasta, nie wolno wysyłać listów bez wiedzy przełożonej itd. Za karę seria batów. Pamiętasz swój pierwszy list do kolegi z obozu. W pierwszych słowach napisałaś: kochany. Zwyczajnie, jak do kochanej mamy albo cioci. List zaniósł do zakonnicy. Żeby go przeczytała, włożyła

do koperty, przykleiła znaczek i wyraziła zgodę na wysłanie. Uderzyła mocno, potem drugi raz i trzeci. — Co to znaczy „kochany”? — Nie wiem — kulilaś się w strachu i mówiłaś prawdę. Miałas może dwanaście lat.

Długo nie wiedziałaś, że masz braci. Jeden umarł młodo, drugi walczył z bandami, trzeci zawieruszył się w Niemczech... Nie szukali cię i nie zabrali do siebie. Tylko jeden z nich przyjechał do sierocińca dwa razy. Akurat bylas w szkole. Zostawił trochę cukierków, kilo jabłek i pojechał. Nie masz do nich pretensji — To z biedy — mówisz. Nie rozumiesz tylko, dlaczego wtedy, gdy chciała adoptować cię pani z Gdańska, bracia odpisali zakonnicom: Dopóki żyjemy, nie wyrażamy zgody. A pani obiecywała, że będzie twoją matką.

Po podstawówce Anka poszła do zawodowej szkoły włókienniczej, jak wie-

zeby jeść. Groszową pensję odkładała na pierwsze buty i płaszcz. Zimą przechodziła w gumowcach i prochowcu, odmroziła nogi i nadszarpane zdrowie. Uciekła z pierwszej stacji, drugiej, trzeciej. Od gospodyni pijaczki, od zabiedzonych dzieci w suterenie, od zdemoralizowanej kuzynki.

— Chciałam żyć schludnie, czysto i uczciwie, a grzebałam się w błocie. Nie grzeźlałam jednak, nie zamoczyłam w nim nawet palca.

Po piątej czy szóstej przeprowadzce Anka miała dosyć. Poszła do Gierka, I sekretarza KW w Katowicach i powiedziała stanowczo: — Towarzyszu, muszę mieć swój kąt! A on na to: — Mam dla pani mieszkanie z pracą u znajomych. Tak Anka trafiła na służbę. Przez dwa lata niańczyła dzieci, pucowała salony swoich państwa, bez wychodnego i za jedyne pięćset złotych.

— Wysłałam kiedyś z dziećmi na spa-



Zerwany różaniec

Wanda Dybalska

le dziewcząt, które sposobiły się do klasztoru. Tylko Bóg był dla niej łaskawy i tylko Bóg był dobry, więc postanowiła mu służyć. — Uświecanie się, to droga do nieba — mówiły serafitki, więc Anka zdecydowała się przywdziać habit.

— Czasem zakonnica musnęła dłonią po głowie i był to jedyny okrucieństwo. Czulałam się niechciana, nikomu niepotrzebna, stąd ta decyzja. Dostrzegaliśmy zło, fałsz, nienawiść i zakłamanie ukryte pod zakonnym kaptem. Buntowałam się przeciwko temu, ale nie widziałam też innego wyjścia.

Wybrała klasztor klauzurowy. Klauzura oznacza zamknięcie, izolację od ludzi i skrajny ascetyzm, sen w trumnach. Każde wakacje spędzała w klasztorze, zgłębiała tajniki zakonnego życia, mowała się ze swoją słabością. I z mieszącą na miesiąc kruszała jej pewność i pierwotne zamiary.

Miała siedemnaście lat z okładem, kiedy pojechała do domu dziecka na zawsze. Wyszła w letniej sukience, z tobołkiem na plecach zawierającym panięską wyprawkę: koldrę, poduszkę, prześcieradło. Przygarnął ją jeden z braci, pokazał skrawek podłogi w pokoju i powiedział: Tu będziesz spała. Od początku działała mu na nerwy, przeganiał ją z kąta w kąt, wściekał się, gdy włączyła elektryczną maszynkę, wreszcie któregoś dnia po prostu nie otworzył drzwi. Znów jej nie chciał.

Garnęła się do świata i zwyczajnych ludzi. O klasztorze myślała wtedy, gdy kolejna kloda waliła się pod nogi. Zrozumiała jednak, że warto żyć zwyczajnie. Smakowała każdy dzień jak zakazany owoc. Wędrowała od drzwi do drzwi, od stacji do stacji, a niepowodzenia sypały się na nią jak lawina. U jednych pracowała, żeby mieszkać, u innych —

cer i pomyślałam — koniec z tym kolowrotem. Wóz albo przewóz. Albo habit, albo normalne życie. Wybrałam drugie wyjście — na zawsze.

Wtedy Anka miała dwadzieścia dwa lata. Wkrótce zaczęła chodzić z pierwszym chłopakiem, po paru latach wyszła za mąż i urodziła syna. Wróciła do swoich marzeń. Skończyła ogólniak, potem studium nauczycielskie, zbudowała dom. Mąż nie popierał jej marzeń i aspiracji. — Jak chcesz, to się ucz, ale nie liczy na mnie. Nie liczyła więc. Rano dorabiała, chwytając się najpodlejszych zajęć, po południu biegła do szkoły. Zawsze z dzieckiem przy boku. Zagcałone i cygańskie lata. Kiedy stanęła po raz pierwszy przed swoją klasą, czuła się jak wtedy, gdy z zeszytami i obiadką wędrowała do szkoły. Dyplom schowała do szuflady, jak najświętszą relikwie.

Nie sprzyjał ci jednak los. Rozpadło się małżeństwo, a i dom zachwiał się niebezpiecznie. Potem przyszła tragedia największa, o której nie chcesz rozmawiać.

Mówisz, że pozbierasz paciorki swojego różańca i staniesz mocno na nogach. Nie pierwszy to twój upadek. Czytasz Biblię, studiujesz protestantyzm, słuchasz ewangelistów, zielonoświątkowców i myślisz o religioznawstwie. Zakonna obsesja przemieniła się w naukową pracę.

— Uwolniłam się od habitu skutecznie. Nie zbuntowałam się jednak przeciwko Bogu.

PS. Anna M. trafiła do domu dziecka prowadzonego przez serafitki tuż po wojnie. Dzisiaj już nie ma takich domów, ale czas nie zatępił wspomnień. Anna jest nauczycielką i pracuje w jednej ze szkół na terenie Legnickiego. Nie zgodziła się na ujawnienie swojego nazwiska.

Ze ZDZISŁAWEM SMEKTAŁĄ, autorem „Krzywego ryła” i innych książek, felietonistą i aktorem, rozmawia Elżbieta Pomorska.

— Wielu czytelników zaczyna lekturę „Magazynu Tygodniowego” „GR” od twojego felietonu. Jak robisz co tydzień dowcipny, aktualny kawałek?

— Czuje presję, myślę, że ludzie na nie czekają. Chciałbym żeby te moje felietony były na dobrym poziomie. Naprawdę dobre felietony są proste, ale aby one były tak proste, wymagają — o paradoksie — wiele wysiłku. Jeśli w moich kawałkach nie co tydzień ludzie znajdują to czego oczekują — to ich przepraszam. Ale człowiek jest tylko człowiekiem, a człowiek wiadomo... co tydzień nie może.

Felieton, niestety, zabiera mi sporo pomysłów literackich. Zdaję sobie sprawę, że gdybym nie trząskał felietonów, to jako pisarza znalazłoby mnie mało ludzi, nakłady moich książek są niewielkie (10—20 tys.), a ponieważ nie uczestniczę w życiu politycznym, nie należę do żadnej organizacji, to nie jestem na top twenty. Ci, którzy już piszą robią to po to, aby lud ich kochał i ja też nie chcę być sierotą. Czy mam się tego wstydić? Zaistnienie dziennikarza, jego własnej twarzy jest w dużym stopniu zasługą przełożonych, ich wyczucia, ich odwagi. Ja w „Gazecie Robotniczej” mam takiego Anioła Stróża to św. Andrzej B.

— Jak zostałeś pisarzem?

— Kiedyś na śmietniku znalazłem opowiadanie „Nasza szkapa”. Z tej skapy postanowiłem zrobić arabską klacz i jak to mówią z trybuny, chwyciłem za pióro. W ten sposób spełniłem... postulat — pisarze do pióra. Ale choć znalazłem na śmietniku moje życie nie było pieskie w tym sensie, że przechodziłem przez Sztum czy Wronki. Dzieciństwo miałem kolorowe. Mama była eksperymentką, cały dzień w sklepie, a ja na podwórku, ale wychowywała mnie bardzo ciepło. W domu była atmosfera przychylna książkom. Mama miała rekord Zgorzelca w wypożyczaniu książek dla dorosłych, a ja dzierżyłem ten rekord w wypożyczalni dla młodzieży. Czytałem bezkrytycznie wszystko co wpadło mi w ręce. Teraz po latach wiele rzeczy sobie przypominam. Czytałem w dzieciństwie „Amerykę” Kafki nic o jej autorze nie wiedząc i niewiele z tej książki rozumiejąc. Ale gdy po nią sięgnęłam po latach przypomniałem sobie, że to znam. Niestety, nie mogę powiedzieć, tak jak mój kolega Józef Łosiński, że na pastwisko chodził z Sartrem i Camusem.

— Czy luz w dzieciństwie jest receptą by wyjść na ludzi?

— Na szczęście nie byłem wychowywany na wzór i podobieństwo rodziców, a takie metody, niestety przybierają nieraz karykaturalne formy. Moja mama była tolerancyjna i myślę, że wierzyła, iż nie przyniesie jej wstydu, bo przecież dziecka przynieść nie mogłem. Nawet tym, pożałuj Boże, dziennikarzem zostałem dla miski i kawałka chleba, bo z literatury u nas nie można żyć. Wracając do mojej literackiej edukacji to w rozlicznych szkołach nigdy nie czytałem lektur. Wiedziałem, że jeśli to urzędnik nakazał czytać, to musi być coś straszliwie nudnego, patriotycznego, w ogóle dno.

— A teraz masz na półce kilka wydań „Pana Tadeusza”.

— „Pan Tadeusz” nie jest dla mnie książką — jest symbolem. Ale te wszystkie Konopnickie, Orzeszkowe, Nałkowskie — tego nie da się strawić, szczególnie w młodym wieku, gdy obok kipi papienki, a kumpel pędzi bimber. Oczywiście jakiś kanon literatury ojczystej musi być, ale są to, niestety, powieści lżawe, pseudopatriotyczne, pisane z pozycji „piwnicznej izby”. Janka Muzykanta, placówki! Ale gdy przyszło do wypracowań, a szczególnie na wolne tematy o „patriotyzmie” i świetlanej przeszłości dostawałem piątki.

— W jakich szkołach dostawałeś piątki?

— Własną piątkę fundował mi dyrektor szkoły za postawę. A zaliczyłem na przykład cztery techniki, zacząłem od górniczego a skończyłem w technikum mechanizacji rolnictwa. Ze szkoły gdzie dawali za darmo górnicze mundury i buty „kopalniaki” zrezygno-

wałem idiota tylko dlatego, że się zakochałem w córce powiatowego prominenta. Pomyślałem, że przetrzucając glinę w Turoszowie będę mężczyzną.

— Jakże doświadczenia z tego wyniosłeś?

— Nadwężoną wątrobę, tęsknotę do karty gornika i apetyt sztygara. A córka prominenta znalazła syna prominenta — z herbarza i wyszła za mąż. Dzięki temu spotkałem wspaniałą kobietę moją obecną żonę Basię — mam nadzieję jedyną. Z wykształcenia jest matematykiem i moja rozbuchana jaźń i wyobraźnia jest tonowana przez jej ścisły umysł. Sprowadza mnie do prawideł matematycznych wzorów $Z = Mc \cdot kw$. Ale tak naprawdę to Basia też ma dużą wyobraźnię.

A po tych technikach i różnych pracach w terenie i na placówkach skończyłem Wydział Scenariuszowy Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi.

— W jakim momencie zacząłeś pisać?

— Wydało mi się, że skoro paru facetów pisze tak kiepsko, tak bez sensu, to ja potrafię tak samo — tak kiepsko i bez sensu. Zaczęłem zresztą typowo. Jak wzorcowy kandydat na pisarza, od wierszy. W 1976 roku wysłałem swoje wiersze Urszuli Kozioł. Przez pół roku się nie odzywała, myślałem już, że to wszystko guzik warte. Chociaż, wydawało mi się, że coś w nich jest. Gdy już straciłem nadzieję, dostałem list, że na dnie szuflady znalazła moje wiersze i proponuje mi debiut w „Odrze”, bo według niej wiersze są interesujące.

— Ta niepewność pozostaje chyba do końca?

— Otóż nie, droga koleżanko z branży. Kiedyś dałem do Wydawnictwa Literackiego tom nowych wierszy i referent do spraw krytyki Jacek Kajtoch trzymał je przez rok. Tłumaczył się, że pieścił maszynopis tak długo, bo bolała go noga, a po roku zwrócił wydawnictwu wiersze z adnotacją, że nie poleca ich wydania, ponieważ autor nie rozumie naszych sojuszy politycznych. A przecież moje wiersze nie miały nic wspólnego z sojuszami. Powiedziałem wtedy panu Kajtochowi, że dla mnie był to cały rok życia — a dla pana zaledwie 5 tysięcy za recenzję. Trzeba było mi o tym powiedzieć, że potrzebuje pan piątkę to bym go przysłał. Zmierzałem do tego, że jak nigdy jestem pewien wartości tych wierszy. One się ukażą. Przyjęło je do druku Wydawnictwo Łódzkie. Być może uda mi się z tych wierszy stworzyć spektakl w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu. To będzie nowe doświadczenie.

— Jak przygotowujesz czytelnikom literackie niespodzianki?

— Na siedem moich książek dwie poświęciłem Grekom. Nowa rzecz „Chciwy żywot grajka” wyjdzie w najbliższych tygodniach, po pięciu latach czekania i wielu „poprawkach”. Ponad trzydzieści skreśleń, na szczęście pozostały tylko dwa. A przecież ludzie za oknami nie są durni. Kawał serca włożyłem w najnowszą powieść „Liszaj”. Jak Bóg da ukaże się w PIW-owskiej serii prozy współczesnej. W powieści tej ukazuję ludzki etos, emigrantów we własnym kraju.

— Pragniesz pokazać ludzi, którzy żyją w Polsce nie byli u siebie, wyjechali do ojczyzny, do Grecji i też czują się obco.

— Coś w tym jest, chociaż niezupełnie. Chcę pokazać ludzi, którzy pokochali Polskę, mimo że los rzucił ich tu przypadkiem. Budowali sobie obraz przyszłej Arkadii i kiedy tam pojechali wielu przeżyło niesamowite rozczarowanie. Obok tych co jedzą bułkę z szynką i mają kolorowy telewizor są mieszkający rymsztoka. W „Liszaju” pokazuję moich rówieśników urodzonych w latach 45—55 (ja jestem z 51) ludzi z epoki Beatlesów, którzy tutaj lyknęli trochę Zachodu i pojechali tam, by być nareszcie w swojej ojczyźnie. Są jednak pariasami na marginesie życia. Zbierają się na placu Kotzia w Atenach. Tam grają swoje życiowe role bez widzów. Myślę, że PIW przyjął „Liszaj” z ochotą obciążając nakład... 20 tys. Włożyłem w tę powieść kawał serca i kawał życia. Natomiast w połowie przyszłego roku wyjdzie „Pic” o ludziach filmu. Fragmenty tej książki drukowała „Odra”.

— Ten kawałek świadczy o tym, że będzie to powieść bardzo mięsista i składowana.

— To jest jakby moja inna twarz literacka. W „Picu” chciałem nagiąć swój język do filmowego pseudoartyzmu. Najbardziej ucieszył mnie fakt, że aktorzy, którzy grają w filmie zawodowo, po tym fragmencie powiedzieli, że jest to książka prawdziwa, nie czuje się drę-

Przegraniec



Fot. Ryszard Rodowicki



Rysował Andrzej Mieczke

twoży. W powieści jest tak jak na planie, jak w życiu.

— Jak wszedłeś w środowisko filmowe?

— Tyłem, na czworakach, kuchennymi schodami. Wyznałem zasadę, że ludzkim życiem rządzą przypadki. Pojecha-

łem zrobić reportaż ze zdjęć próbnych „Smażalni story”. Znalazłem się na planie. Reżyser widząc grubasa poprosił mnie, abym jak inni kandydaci do tej roli: Rudi Schuberth z „Włóch Jagiellońskich” czy Stasio Wolski z Wrocławia coś zagrał. Zagrałem. Nim dojechałem do domu ekspresem „Odra” już mnie za-

wiadomili, że gram w tym filmie główną rolę.

— Czy główna rola w „Smażalni story” była dla ciebie tylko epizodem, czy czymś więcej?

— Teraz mam darmowy abonament na kryla we wszystkich smażalniach w Polsce, a przy okazji poznałem filmową manufakturę. Kamera jest jak narkotyk, wciąga. Człowiek chce do niej puścić oko, machnąć kozła. A „karierę filmową” zacząłem z bardzo wysokiego lotu. Zagrałem ubeką II w „Dreszczach” Wojciecha Marczewskiego. Ostatnio grałem w filmie „Ryba”. Pytano jak nazwać mój epizod. Nazwałem go „przegraniec”. Zagrałem więc wszystkie role jakie są w życiu niezbędne: ubeką i przegranca.

— Jak patrzysz na spotkanych ludzi?

— Bardzo ciepło. Nie interesują mnie obiegowe stereotypy ocen społecznych: aktywny, sumienny, zaangażowany. To są banały, to może udawać aktor Reagan. Mnie interesuje to co jest najtajniejszego w ludzkiej duszy, czego nikt nie chce ujawniać. Szaleństwo, które jest w każdym człowieku. Dopiero odkrywając je można dotrzeć do prawdy.

— A jakich ludzi nie lubisz?

— Nie lubię takich, o których pochodzi z Poznaniaśkiego moja mama, mówią: „wyżej sra niż dupę ma”. Którzy po prostu zapomnieli skąd wyszli, gdzie są ich korzenie. Z takich lubię pociągnąć lacha, sprawić by odkryli prawdziwą twarz. Jest u nas bardzo dużo sztuczności, sztucznych karier, sztucznych windowań. Wielu takich co przedzierzgnęli się w cudzą skórę i co najgłupsze wchodzą w te sztuczności świadomie i zupełnie niepotrzebnie bez bicia i popychania. A ponieważ Polska jest widownią takich karier, to ludzie ci są po kilku latach odmienieni. Również z tego powodu Polacy są mało dowcipni. Jeżeli opowiadają „kawały” są one proste, ordynarne, z anatomicznymi szczegółami. Tym się napawają, z tego się śmieją. Brak w nich naturalnego poczucia humoru, umiejętności puentowania sytuacji. Myślę, że wynika to również z braku osobowości, z braku pewności siebie. Bo jeśli jestem kimś, to nie muszę się kamuflować. Lubię ludzi, którzy mają bogate wnętrza, a często są to ludzie prości: docenci, łopaciarze, dyktorzy, kolejarze wąskotorowi. Tacy, którzy potrafia świetnie spuentować obyczajowe obrazki. Jednym zdaniem określają to, na co ludzie sztucznie tracą całe przemówienia. Oni nie udają tych z piedestału, bo nie mają gdzie spaść. Najczęściej nie mają piedestału tylko mściwą tęsknotę.

— Jakie wzorce literackie są ci bliskie?

— Najbardziej podoba mi się literatura jugosłowiańska. W rymsztoku widzi rzeczy piękne. Literatury zachodnie, amerykańska, karmią się estetyką, a nie skurwionym życiem. Nawet Baldwin gdy pisze o Harlemie estetyzuje. U nas energię życiową zabiera walka o zasrany był, wyrażający się gonitwą za rolką papieru toaletowego. To jest kawał literatury. Myślę, że po literaturze iberoamerykańskiej, teraz my i Jugosłowianie mamy szansę zrobić boom. Bo coż człowieka najbardziej w literaturze interesuje — krzywdę drugiego człowieka.

Taką jedną, mocną literaturę usiłują pisać w Jugosławii: Borisław Pekić, Ziwno Cingo, Dragi Bugarcic, a przede wszystkim Miodrag Bulatović, którego uważam za swojego mistrza. Natomiast u nas zaistniały warunki polityczne, aby literatura ścigała się z życiem. Niestety, nad wielu polskimi pisarzami wisi strach autocenzora. Przyszła Sierpień, a w szufladach był tylko kurz, mimał grudzień i buzi dała nam wyłącznie publicystyka i Bóg z nią. Póki co trwają modły do państwowotwórczego ołtarza, inni pelzają po bruku lub z mijającym rokiem trafiają do trumny. Dalej więc klepmy zdrowaśki.

— WNIWAŻANIE —

zaginął oryginał druku, nr 11
numeru 11201. 07-12-8

ROZNE

Z POWODU trudności finansowych, subskrybentom najcięższym napisać biogramy. Zdzisław Smektała, telefon 50-03-39.

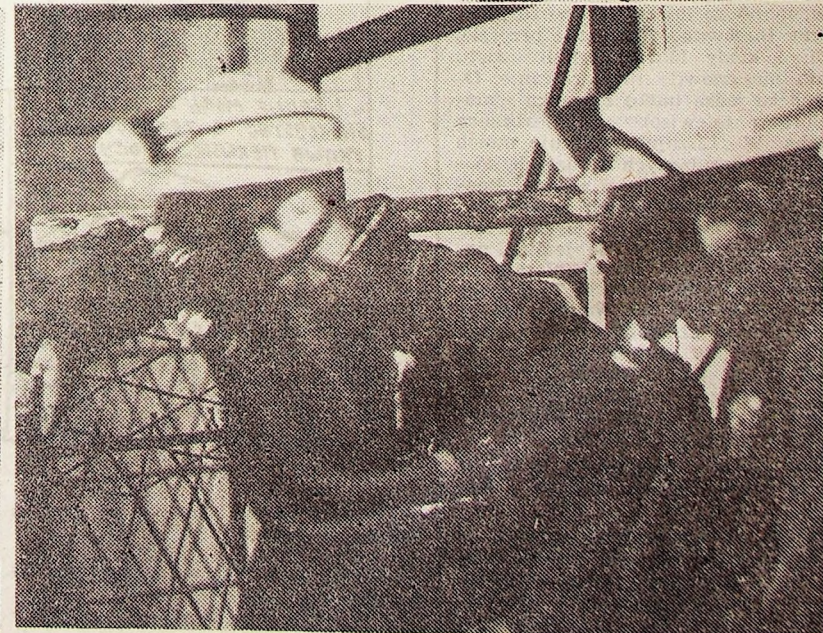
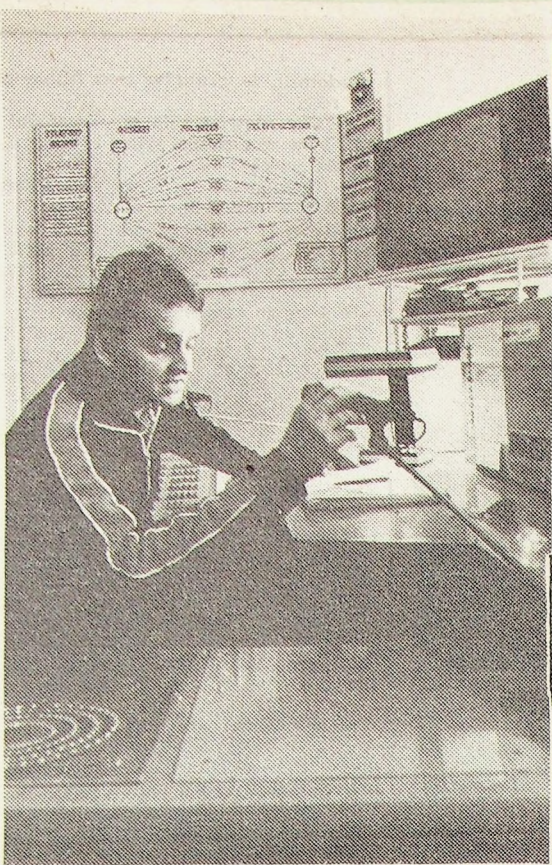
MOTORYZACYJNE

FORD SIERRA dwuletni srebrnometalik kamień na Mercedes, dostawczy 107. 307. 02-04-06. Śniadocieli 14/33.

SPRZEDAM Wartburga 1982, rok 1982. Luban, tel. 33-82. 2001-p

Ważny! mały alindk wawkonar...

A co, ty nie masz trudności? Przecież za ten wywiad zapłacę ci nędzne grosze.



Rycerze podziemi

zdjęcia: Janusz Budnicki * tekst: Janusz Dobrzański

— Wiele razy widziałem tę nie wypowiedzianą pretensję. Widziałem, bo mówili tylko oczy: Ludzie, jak wy się grzebiacie! I coś ścisnęło za gardło, chciało się wyć. Miał się chęć krzyknąć: Ludzie, jak wy nie rozumiecie! To są straszne chwile. Zwała się na ciebie potworny ciężar, krew uderza do głowy. Skoczyłbyś wtedy w ogień, zapadł się pod ziemię, żeby się go tylko pozbyć. Wiesz, że każda chwila jest droga. Twój mózg świdruje świadomość, że oto stałeś się panem czyjegoś życia, że ono od ciebie zależy. To straszna odpowiedzialność. A serce musisz mieć z kamienia, zachować przeraźliwą jasność myśli, precyzję ruchów, nie możesz, nie wolno ci o niczym zapomnieć. Bo każdy, najdrobniejszy błąd to załamek nowej tragedii.

Ratownik idzie do akcji i ginie — to byłoby najprostsze. Wzniosłe, patetyczne, bohaterskie. Ale bez sensu. Ratownik nie może zginąć, nie wolno mu, nie ma prawa. Wstępując do bractwa maltańskiego krzyża przysięgasz — będe niosł pomoc. I to przesłanie staje się twoją religią, najświętszym moralnym obowiązkiem. Podporządkowujesz mu każdą myśl, każdy krok. Szykujesz się do akcji. Wiesz: gdzieś tam w podziemiach rozgrywa się dramat. Pracuje wyobraźnia. Ludzie odcięci od świata, ranni, przerażeni, zszokowani. Ilu żyje? Ilu czeka na pomoc? Łączy cię z nimi niewidzialna nić. Po niej płynie wołanie. Wiesz, że oni tam żyją nie nadzieją, ale pewnością, że do nich dotrzesz, przyniesiesz ratunek. Głębiej tej wiary może pojąć tylko ten, kto to przeżył. A ty szykujesz się do akcji. Obserwujesz cię dziesiątki oczu, które krzyczą: Szybciej, szybciej! Minuty ciekna jak ołów. Wydaje ci się, że od alarmu do wymarszu upłynie cała wieczność. Musisz wszystko sprawdzić, nie wolno niczego przeoczyć. Bo poprowadzisz zastęp i będziesz musiał zawrócić. Bo zapomniawszy sprawdzić aparat tlenotwórczy i kolega się uduśli. Zapomniałeś, a nie wolno ci było zapomnieć. A tam czekają.

☆

Co się myśli, co czuje? Są różne stadia myślenia, odczuwania. Przeżyłem siedem akcji. Każda była inna, niepowtarzalna. Miała swoją własną, indywidualną dramaturgię. Goniec zrywa cię w środku nocy, pod oknem czeka samochód. Jeszcze nic nie wiesz. Jedziesz i myślisz. Jest to pierwsze stadium myślenia — najgorsze. Nieznane zawsze przeraża. Gdzieś z głębi duszy wylazi strach, zwyczajny ludzki strach. Siada ci na ramieniu i szepce: może nie wrócisz? Przed oczyma staje dom — dzieci, żona, najbliżsi i pytanie — czy ich jeszcze zobaczę? Masz ochotę zatrzymać pedałce auto, wysiąść, wrócić, już, natychmiast. To jest ludzkie, cholernie ludzkie. Ratownik to przecież nie automat. Ale nie zatrzymujesz, nie wysiadasz — jedziesz.

Kiedy już powiedzą o co chodzi, wiesz co się stało i czego od ciebie wymagają zaczynasz pracować jak maszyna. Znasz swoją wartość, jesteś perfekcjonistą, wiele czynności tak wykuleś na ćwiczeniach, że możesz je wykonać na pamięć, z zawiązanymi oczyma. Znasz plan akcji. Inne myśli odpływają. Znika napięcie. Jesteś trybikiem w wielkiej, sprawnej maszynie. Liczy się już tylko czas i skuteczność. Nie myślisz już o niczym innym. Nawet własne bezpieczeństwo schodzi jakby na drugi plan, przestaje mieć osobisty charakter. Nabiera innego wymiaru. Twoją powinnością jest iść i musisz iść, bo twój obowiązek to niesienie pomocy. Ale nie wolno ci być desperatem. Ci, którzy na ciebie czekają, zabraniają ci tego.

Obowiązek? Sam go na siebie nakładasz. Ratownikiem górniczym zostaje się z własnej woli. Pełnisz służbę ochotniczo. Wiąże cię tylko przyrzeczenie, nie więcej. Obowiązuje żelazna dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo. Zastęp jest ze sobą związany jak palce jednej ręki. Jeżeli ktoś się wykruszy, zespół traci wartość, staje się bezużyteczny. Jeśli dzieje się to podczas akcji — trzeba się wycofać. Można odmówić wykonania polecenia, bo nie ma ono takiej mocy, jak w wojsku rozkaz na polu walki. Podczas akcji ratowniczych bywają różne przypadki. Ktoś może źle się poczuć — fizycznie czy psychicznie, może przeżyć wstrząs, szok, może się w nim obudzić zwykły ludzki strach. To się zdarza. I wtedy może odmówić. Zastąpi go ktoś inny. To nie jest dyshonor. To nie jest także wiarołomstwo wobec złożonego przyrzeczenia. Regulamin służby ratowniczej nakłada na ciebie obowiązek zadania zmiany przydziału obowiązków, jeśli czujesz, że mu nie podołasz. Czy można odmówić udziału w akcji? Można, ale nie spotkałem się z takim przypadkiem.

Powiedzieć — nie, kiedy wzywają cię do niesienia pomocy, równałoby się śmierci cywilnej. Tak myślę.

☆

Strach? Czy się go odczuwa? Tak. Zawsze, to jest normalne. Ratownik, który nie doznaje tego uczucia, bardzo szybko przestałby być ratownikiem. Nie wyszedłby cało z pierwszej akcji. Boję się i boi się każdy ratownik. Tylko jest to specyficzna odmiana strachu. Nie jest to zajęcie, ślepe uczucie. Ono jest wyrafinowane, tkwi gdzieś w podświadomości, jest jakby dzwonkiem ostrzegawczym.

Wyznaczają ci zadanie, bierzesz zastęp i idziesz. Masz wyrysowany teoretyczny plan akcji, wiesz co ci grozi i tę groźbę już w kalkulowałeś, i ona już przestała istnieć, znalazła się w ogólnym rachunku. Ale nie wiesz wszystkiego. I tu właśnie pojawia się ten drugi pokład strachu — przed nieznanym. Gdyby był on paraliżujący nie zrobiłbyś kroku. A ty idziesz. I słuchasz, co ci mówi twój strach. I nagle słyszysz szepot: Uważaj! Reagujesz w jednej sekundzie — zatrzymujesz się, uciekasz, zależy. I w chwili później widzisz, że miejsce, w którym stałeś, lub miałeś stanąć, zniknęło, zostało zastąpione tonami skalnego gruzu... I idziesz dalej. A twój dobry straszek cieszy się razem z tobą: Miałeś, bracie, cholerne szczęście. Uważaj, bo jest zmiennie.

Świat zewnętrzny przestaje istnieć. Fakt, że jesteś kilometr pod ziemią, zamknięty w kamiennej klatce, funkcjonuje poza świadomością. Jest daleki i nierealny. Istnieje tylko to, co jest w zasięgu ręki — świat podziemi. Gdybyś chciał rozpamiętywać bariery dzielące cię od końca musiałbyś rzucić górnictwo. Inaczej byś zwariował. Górnik czy ratownik górniczy — wszystko jedno, to jest ta sama osoba. Ratownikami są przecież górnicy. Decydując się na górnictwo wie się, że jest to zawód niebezpieczny. Zdarzają się tragedie. Mówi się o nich, myśli, ale nie rozpamiętuje. Gdybyś każdego dnia, jadąc do pracy, wchodził do szybowej klatki, rozpamiętywał, medytował o niebezpieczeństwie, to któregoś dnia poszedłbyś zamiatać ulice. Bo inaczej doprowadziłbyś się do obłądka. Zagrożenie jest nierozdzielnie związane z górnictwem zawodem. Tak było i tak jest. A ratownik? Ratownik tylko więcej ryzykuje. Tak samo świadomie jak każdy górnik.

☆

Uczucia? Doznania? Bywają różne. Nie lubię wspominać. Każde wspomnienie ratownika to przecież wspomnienie o tragedii. Takie fakty chciałoby się wyrzucić z pamięci. Ale czasem wracają. Bywa, jesteś na ćwiczeniach, wykonujesz zadanie przewidziane programem i nagle sytuacja, w jakiej się znalazłeś, przypomina ci dramat, którego byłeś świadkiem. Pojawia się jakas twarz, słyszysz jęk, krzyki i przeżywasz jeszcze raz. Czasem jest to wspomnienie radosne, czasem gorzkie...

Pamiętam, byłem wtedy dwa lata górnikiem i rok ratownikiem. I pojechałem na pierwszą akcję. W mojej kopalni, na G-11 zawał odciał od świata sześciu ludzi. Nie wiedzieliśmy — żyją czy nie. Nie było z nimi żadnej łączności. A najgorsza jest niepewność. Ruda miedzi jest potwornie ciężka, kruszy się na wielkie bloki i głazy. Bez użycia ciężkiego sprzętu nie ma mowy o usunięciu usypiska. Taka robota paraliżuje. W mózgu wibruje świadomość, że ratując można przynieść śmierć. Bo może gdzieś pod zwalami kolące się jeszcze życie, które można zgasić niegrabnym manewrem maszyny. To straszna odpowiedzialność.

Tyraliśmy całą noc. Uratowaliśmy czterech kolegów, dwaj zginęli. Nie mogliśmy im pomóc.

Bardzo to przeżyłem. Tłumaczysz sobie wtedy, że nic nie mogłeś poradzić, że na wszystko było już za późno ale żal gorzko pozostają.

Najtrudniej jest wtedy, kiedy wiesz, że mogłeś pomóc, że gdybyś dotarł godzinę wcześniej, twój kolega — górnik żyłby. Chociaż wiesz, że zrobiłeś wszystko, co było w ludzkiej mocy, że wypruleś z siebie życie, że wszystko sprysięgło się przeciwko tobie i nie dałeś rady — masz do siebie pretensję. Kiedy akcja dobiegnie końca, siadasz wśród umordowanych kolegów. Nie patrzcie sobie w oczy, nikt nie nie mówi. A ty myślisz: Boże, czemuśmy nie zdążyli. Medytujesz, analizujesz, może popełniliśmy jakiś błąd? I wiesz, że to samo myślenie twoi kolegi.

Tak było po tapnięciu na G-14, które odcieło siedmiu górnikom. To był prawdziwy kataklizm, rozniosło cały oddział. Takich zniszczeń jeszcze nie widziałem. Akcja była piekielnie trudna. Zakończyła się sukcesem, sześciu ludzi uratowało się. Ale siódmy, który był ciężko ranny, nie przeżył, pomoc dotarła za późno.

☆

Wspomnienia? Są takie, do których wracam chętnie. Wiąże się z pomyślnie zakończonymi akcjami. Spotykasz się z kolegami — ratownikami, z kolegami, których uratowałeś, ściskasz im dłonie, czujesz się. Niektórzy mają by w oczach — to są piękne chwile i największa nagroda. Czujesz braterską więź, wtedy dopiero wiesz co znaczy powiedzenie „górnicza brat”.

Ale są wspomnienia przykre, nawet koszmarnie, wiążące się z zdarzeniami, których nie chciałbym przeżyć po raz drugi. Pamiętam pożar szybu R-2. Na podszyciu spawacze zaproszyli ogień, zapalili się urządzenia hydrauliczne. Poszliśmy w dym, w piątkę, związani liną, za nami dwa inne zastępy — szukać ludzi. Nie wiadomo — żywych czy martwych. W gęstym, smolistym dymie prawie nie widzieliśmy. Szukaliśmy po omacku. Na pierwszego nadeptaliśmy — tak, właśnie nadeptaliśmy — już po kilkunastu metrach. Wzdrygnąłem się, bo złapałem się na tym, że pomyślałem, że to jakiś worek. To był człowiek. Już nie żył. Następnego znaleźliśmy kilkadziesiąt metrów dalej. Był bez maski, ale jeszcze żył i był przytomny. Wycharzał, że maskę odebrał mu kolega. To było straszne. Co za zwierzę, co za bydlę — pomyślałem.

Ta myśl nie dawała mi spokoju przez wiele dni. Nie wyobrażałem sobie, że można postąpić tak podie. Ale później próbowałem zbudować w myślach sceny tego wydarzenia. Ogień, duszący dym, świadomość śmiertelnego zagrożenia. Tam musiały się rozgrywać dantejskie sceny! Czy mając śmierć przed oczyma człowiek może zamienić się w zwierzę? Nie znajdziesz odpowiedzi. Musiałbyś sam to przeżyć.

W kopalni „Polkowice” na G-22 tapnięcie zamknęło kilku ludzi. Znaleźliśmy ich nazwiska. Stąd wiedziałem, że jest wśród nich mój serdeczny kolega, Jurek. Znaleźliśmy go pod zwalami skalnego gruzu. Do dziś, kiedy o tym wspomnę, staje mi przed oczyma jego straszliwie pokiereszowane ciało. Już nigdy nie chciałbym przeżyć czegoś podobnego.

Czy myślałem kiedyś o porzuceniu ratownictwa? Nie, nigdy. Gdyby dano mi szansę jeszcze jednego życia, to też przystąpiłbym do bractwa spod znaku maltańskiego krzyża. Czy może być coś piękniejszego niż niesienie pomocy innym?

Z EDUARDEM SZELIGĄ, ratownikiem górniczym, górnikiem strażowym na oddziale G-22 w Zakładach Górniczych „Rudna” rozmawiał Janusz Dobrzański.



Jujka

Ci wspaniali mężczyźni...

Maria Kuncaitis

W drodze do Wrocławia ciągle zadajemy sobie pytanie: Polecimy czy nie polecimy? Od wczoraj niebo ołowiane i gęsto sypie śnieg. Czy w taką pogodę latają samoloty? W autobusie nastroj podkiesytowania, większość ma lecieć po raz pierwszy w życiu. Drużyna w komplecie, nikt nie zasnął. Wstaliśmy przed czwartą, niektórzy coś tam przelknęli, inni woleli nie ryzykować. Bo, a nuż w powietrzu żołądek nie wytrzyma... Przed Wrocławiem ciemność za szybą autobusu powoli ustępuje szarości. A na lotnisku dobre wieści —

LECIMY!

Do odlotu sporo czasu, więc porozglądaliśmy się. Kilka skromnych baraczków, ot i cały port lotniczy. Trochę rozczarowani, spodziewaliśmy się większego rozmachu.

Dokumenty? — w porządku. Karta pokładowa? — w porządku. Pilnik, żyletka, szczyrki? — nie ma. Czujnik też nie odkrył niebezpiecznych narzędzi. Siedzimy w poczekalni, humory dopisują, a tematem żartów są oczywiście porwania. Przeglądamy się pasażerom. Przystojna para Bułgarów, punkt o mocno nastrożonych włosach, wylokowana blondynka w sztucznym futerku, niezbyt schludny jegomość w wytartych dżinsach obok starszej damy w czerni. Udziela jej dobrych rad, żeby „tam” kupować tylko na wyprzedzi, bo tak normalnie w sklepach to wszystko drogie. A na wyprzedzi można nieźle wyjść, za swoje portki dał na przykład tylko pięć dolarów. Złoty interes — tam kupisz, tu sprzedasz... Ech, porowacz nie byłby taki głosny.

Trzy czwarte miejsc w samolocie zajmuje nasza grupa w harcerskich mundurkach z lotniczymi odznakami i my — kilkoro cywilów — sympatyków. „Witamy państwa na pokładzie... polecimy na wysokości czterech tysięcy metrów, z prędkością czterystu kilometrów na godzinę... — powitalną formułkę zagłusza ryk silników — ... Nad bezpieczeństwem lotu czuwać będzie...” „Anioła stróża” mamy za swoimi plecami, na ostatnim siedzeniu, w pełnym rynsztunku i niedbalej pozie.

Przebijamy się przez chmury i już jesteśmy w pełnym słońcu. Choć niektórzy mają duszę w piętach obywa się bez sensacji. Dzieciaki, przepraszam, dłużej dzielnie znoszą podniebna wycieczkę. Zaraz też zapominamy o strachu pochłonięci oglądaniem fantastycznych widoków. Pod samolotem jak okiem sięgnąć biała, zbita masa chmur, nieczym pole śniegowe, rozciąga się aż po błękitny horyzont.

Tylko stare powietrze wygi: Tomek, „Mrówka”, Marek ze stoickim spokojem wciskają nosy w gazety. Dla nich lot to nie pierwsza, a Marek ma już nawet na swoim koncie 11 skoków spadochronowych. W drużynie są od początku, a jest to już czwarty lot 9 Lotniczo-Modelarskiej Drużyny Harcerskiej im. Dywizjonu 303 z Chojnowa. Zabawa w lotnictwo nieoczekiwanie staje się dla wielu z nich życiowym zainteresowaniem. Sławek Henś na przykład dostał się do szkoły lotniczej w Wrocławiu, inni zapisują się do aeroklubów, niektórzy zarabiają się modelarstwem i osiągają sukcesy. A nawet ci, którzy w swoim życiu pójdą inną drogą, kiedyś będą mieli co wspominać.

Przed Warszawą chmury rzadsze, pod nami rozciąga się panorama stolicy. „Wylądowaliśmy w Warszawie. Dziękujemy za wspólny lot. Zapraszamy...” Schodzimy na płytę lotniczą.

„NASZ” PULKOWNIK

już czeka. Druh Sobczak poznaje z daleka. Starszy, ale w doskonałej formie pan, gęste, na bok szesane siwe włosy, szary garnitur. Jerzy Sobczak przedstawia — pułkownik Łokuciewski. Uważnie przyglądam się twarzy i w myślach porównuję ze zdjęciem, które przed 45 laty zrobił w bazie Northolt pod Londynem Arkady Fiedler. Mimo upływu lat podobieństwo uchwytne bez trudu: te same rysy, delikatny uśmiech, i nawet tak samo zaczesane włosy.

„Byli to chłopcy cudowni, ci z Kosciuszковского Dywizjonu 303 zdrowi, jedni, krzepcy, przystojni — pisze Arkady Fiedler. — Nie dziw, że lecieli na nich dziewczyny”.

Jak był, z tą krasną niewieścią naurawde, nie dowiem się od pułkownika, nie ma na to czasu. Kto ciekaw

może wrócić do książki Arkadego Fiedlera — „Dywizjon 303”.

Na Okęciu dzięki pułkownikowi czujny się gości. Szef portu lotniczego przydziela nam dwie mile przewodniczkę i ruszamy autobusem na płytę lotniczą. Obejrzymy IL-62, samolot obsługujący międzynarodowe trasy. To ci dopiero frajda. Możemy zajrzeć do kuchni, gdzie w czasie lotu stewardesy podgrzewają w piecykach firmowe danie Lotu — kurczaka z ryżem i serwują go z chrupiącymi bułeczkami, które wprawiają w zdumienie pasażerów. Chrupiące bułeczki w samolocie! — to już tajemnica pań z obsługi. Możemy też posiedzieć w kabinie załogi i rozpytywać pilota jak się polapać w tej masie przyrządów, gdzie jest czarna skrzynka i czy to prawda, że w czasie lotu załódze nie wolno spożywać tych samych potraw. A gdy już pytań dość, wracamy.

Korzystamy z przerwy w ruchu pasażerskim i mościmy się w sali odpraw. Pułkownik opowiada, a my nadstawiamy uszy:

— Moja droga do lotnictwa była nie-ypowa. Po maturze poszedłem do szkoły rezerwy kawalerii w Grudziądzu. Obok była szkoła lotnicza, tak blisko, że samoloty ploszyły nasze konie. Pewnego razu przyjechali do nas sąsiedzi z lotniska, werbowali do swojej szkoły. Zdecydowałem się od razu: egzaminy, badania lekarskie i w końcu szkoła lotnicza w Dęblinie. Ten okres wspo-

PRZED I PO „BITWIE O ANGLIE”.

Zanim więc dotarł Łokuciewski do Anglii przeżył „polski Wrzesień”. Tu, w tym miejscu na Okęciu stacjonował 1 Pułk Lotniczy, w którym służył od 1938 roku. We wrześniu był pilotem Brygady Pościgowej broniącej Warszawy. I zaraz potem klęska. 80 procent kadry polskiego lotnictwa opuściło kraj. Witold Łokuciewski znalazł się w „studentckiej grupie turystycznej”, która pociągiem przez Węgry, Rumunię, Jugosławię, Włochy zmierzała do Francji. Wszędzie okazywano im dużo sympatii, nawet we Włoszech. Część lotników od razu przerzucano do Wielkiej Brytanii, pozostali mieli bronić Francji i wśród nich znalazł się nasz bohater. Dostał przydział do formacji, której zadaniem była obrona obiektów przemysłowych. Niewiele było tych walk. Lotnicy ledwo zdolali ująć niewoli. Gdy w pośpiechu opuszczali lotnisko kierując się na południe, to z drugiej strony, od północy wkraczali już Niemcy. W Biarritz czekały na wojsko angielskie statki. Na jednym z nich dotarł Łokuciewski w masie kilku tysięcy żołnierzy do Liverpoolu. Potem krótki pobyt w Polskiej Bazie Lotniczej w Blackpool i wreszcie od 2 sierpnia 1940 roku Northolt. Ta data uważana jest za dzień powstania Dywizjonu 303. Spieszący się z wprowadzeniem do walki dywizjonu, bo trwała już inwazja Luftwaffe na Wielką Brytanię



Pułkownik Łokuciewski (w środku) z kolegami.

minam najprzyjemniej — nauka, latanie, wspaniali koledzy. Mimo, że dziś jesteśmy rozrzuśni po całym świecie, nadal utrzymujemy kontakty. Przetrawiły stare przyjaźnie.

Janek Książek przymierza się do zdjęć. Jeden błysk flesza i już ma przy sobie funkcjonariusza z ochrony lotniska. Na terenie portu fotografować nie wolno, niestety.

Harcerze z Chojnowa już po raz drugi spotykają się z płk. Witoldem Łokuciewskim. Dwa lata temu pułkownik opowiadał o walkach powietrznych nad Anglią.

Spotkanie było bardzo emocjonujące — wspomina Jerzy Sobczak. Pułkownik bardzo przeżywał swoje opowieści zrywał się z krzesła gesticulując obrazował pojedynki z Niemcami. Jeden z nich — spotkanie Łokuciewskiego z Dornierem 215 nad Kanalem La Manche barwnie opisał Arkady Fiedler w „Dywizjonie 303”:

„Pierwszy atak z góry z przodu przy strumym nurkowaniu nie odniósł żadnego skutku. Widocznie Łokuciewski chybił w trudnej do celowania pozycji. Po wyminięciu Dorniera myśliwiec wyciągnął swą maszynę do góry, zrobił skręt przez plecy i teraz natarł na nieprzyjaciela dogodniej, z tyłu, z boku. Najpierw przejechał się ogniem po jego kadłubie i zagłuszył tylnego strzelca. Bombowiec tymczasem usiłował ratować się rozpaczliwym skretem. Daremnie. Już Łokuciewski wsadził mu kilka celnych serii w prawy silnik. Silnik zaczął kopcić zrazu słabo, potem coraz mocniej. A potem nastąpiła rzecz wprawiająca myśliciwa w struchlałe zdumienie. I w niemy zachwyt. Wróg zaczął wykonywać swój taniec śmierci. Jakąś pisaną woltami na niebie pieśń łabędzia. Jakiś menuet porażonego śmiertelnie obłąkańca”.

Tym razem posłuchamy o tym co było

Chłopak zapalił. Powiedzieliśmy im, że jesteśmy Polakami. Oni nam zazdrościli: — Dla was wojna już się skończyła. Wy zwyciężycie i przeżyjecie. A on będzie jeszcze musiał wrócić na front. Chłopak odchylił bandaż. Miał poranioną głowę i wyrwane ucho.

Rany zagoiły się i jeńców odstawiono do obozu w Zaganiu. Już po dwóch miesiącach Łokuciewski znalazł się w grupie uciekinierów.

— Było nas trzydziestu. Dwóch Belgów przebranych za Niemców, dostali

PIĘKNE KARABINY Z DREWNA

i podrobione przepustki. Każdy z nas niósł na plecach węzelek z bielizną. Na bramie Belgowie zameldowali ze prośbą nas do łaźni do odpuszkowania. Za obozem czmychnęliśmy do lasu Rozdzieliliśmy się na grupy. W naszej było trzech Polaków, Anglik i dwóch Amerykanów. We dwóch, z majorem Janusem poszliśmy na stację kupić bilety. Nasz plan polegał na tym, żeby wsiąść do pociągu relacji Berlin — Katowice, dojechać do Wrocławia i tam przesiąść się na pociąg szczeciński. A w Szczecinie dostać się na jakiś rudowęglowiec i w ten sposób dotrzeć do Anglii. W czasie podróży mieliśmy udawać robotników bułgarskich.

Początkowo wszystko szło gładko. Kupiliśmy bilety w bufecie wypiliśmy po piwku i wyszliśmy na peron. Trzymaliśmy się parami. Wsiadłem z Janusem do pierwszego wagonu. Pozostali mieli po dwóch wsiąść do następnych wagonów. Pociąg ruszył. Nie zauważyliśmy, co zdarzyło się przy ostatnim wagonie. Siedzimy w przedziale, przyszła konduktorka, okazaliśmy bilety. Wszystko w porządku — nie wzbudziliśmy żadnych podejrzeń. Dojeżdżamy do Legnicy. Wyglądamy przez okno. Uderza nas to, że na peronie ludzie stoją daleko odsunięci od toru. Sądząc, że to ze względu na bezpieczeństwo chwalimy nawet niemieckie porządki. Pociąg zatrzymuje się. „Achtung! Achtung! Nie wolno wysiadać! Z obozu uciekło 30 jeńców! Pociąg będzie przeszukiwany!” — słyszymy z megafonu.

Pięciu z nas wyprowadzili, zabrakło tylko jednego Amerykanina. I cóż się okazało Amerykanin wsiadając do pociągu w Zaganiu natknął się na dentystę, który dzień wcześniej leczył mu zęby. Zaskoczony zagadnął Amerykanina co też tu robi? Ale towarzyszący mu Niemiec domyślił się od razu. Złapał uciekiniera za rękę i w ostatniej chwili gdy pociąg już ruszał, wyciągnął go z wagonu. I w ten sposób wszystko się wydało.

Odstawili nas do obozu. Zaczęliśmy drążyć tunel. Dokopaliśmy się do 110 metrów. To wystarczyło, wylot był już za drutami. Miał nas wyjść 140. Losowaliśmy kolejność, a zasada była taka, że pierwszeństwo mieli ci którzy do tej pory jeszcze nie uciekali. Pozostali mogli brać udział w losowaniu, ale dopiero od pięćdziesiątego miejsca w zwyż. Byłem 112 w kolejce. Zaczęliśmy wychodzić. Jeden za drugim, opornie posuwaliśmy się w ciastnym tunelu. Switało, a tunel opuściło dopiero 75 ludzi. Dostaliśmy sygnał — zwracać! Koniec marzeń o ucieczce.

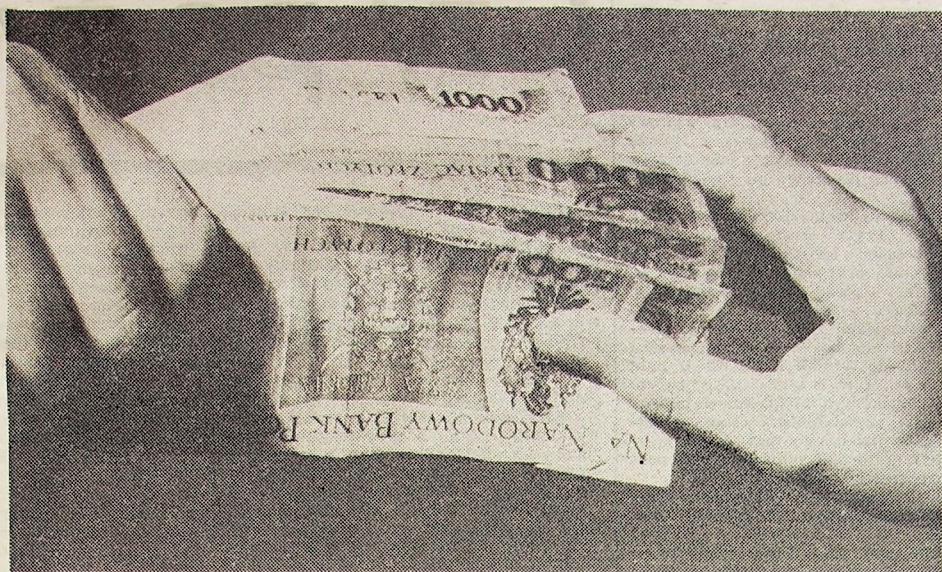
Wydało się od razu. W obozie alarm. Nocą gdy tkwiliśmy w tunelu spadł lekki, mroźny śnieg. Gdy zaczęło dzień, strażnika zaintrygowała czarna ścieżka prowadząca od ogrodzenia obozu do lasu. Final ucieczki był tragiczny. Tylko dwóch miało szczęście, dotarli do Anglii, pozostałych wyłapano, 51 z nich rozstrzelano...

Styczeń 1945 rok. Ewakuacja obozu. W nocy nalot, eskorta znika, jeńcy rozpraszają się. Jakiś czas mjr Łokuciewski ukrywa się na wsi i jeszcze przed zakończeniem wojny dostaje się do Anglii. Pierwszego lutego 1946 roku zostaje mianowany ostatnim dowódcą Dywizjonu 303. W grudniu Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie zostają rozwiązane. Można było zdecydować o swoim losie — zostać lub wrócić. Łokuciewski wybrał kraj, w którym nie zawsze wiał dla nich, powracających z Zachodu pomyślny wiatr. Do lotnictwa wojskowego mógł wrócić dopiero w 1956 roku. A dwadzieścia lat później zasmakował nawet funkcji dyplomatycznej, będąc attaché wojskowym w Londynie. Z czasem normalną koleją losu — emerytura i powrót na ziemię, już na stałe.

Ponaglały nas, żeby kończyć spotkanie. Pasażerowie czekają na odlot. Jeszcze tylko kilka pośpiesznych autografów na egzemplarzach „Dywizjonu 303” oraz uroczyste nadanie płk Łokuciewskiemu tytułu honorowego członka 9 Lotniczo-Modelarskiej Drużyny Harcerskiej im. Dywizjonu 303 z Chojnowa i musimy się rozstać. Nasz bohater odchodzi w kierunku parkinga samochodowego, a my zgodnie z planem ruszamy na zwiedzanie Warszawy.

Układ

Krystyna Rusewicz



Późnym sierpniowym popołudniem Star z tablicą rejestracyjną PNG... minął Głogów, kierując się szosą w kierunku Poznania. Milicjant ze służby drogowej zatrzymał Star do rutynowej drogowej kontroli. Okazało się, że kierowca ma niekompletne dokumenty, a ładunek na przyczepie jest mocno podejrzanym: dwie beczki z olejem napędowym i hydraulicznym, półoski, sworznie, nowy rozrusznik, osłona do skrzyni biegów... I żadnych na ten towar papierów. Kierowca nie miał wyboru, zawrócił i potulnie ruszył w ślad za milicyjnym Fiatem. Prosto na komisariat.

OJCIEC CHRZESTNY

Inżynierowi Hanyszowi nie wiodło się najgorzej. Posada głównego mechanika, niezła górnicza pensja — 45 tys. miesięcznie, duży Fiat i nowy dom w P. W górnictwie zasiedziało się na tyle, że zasłużył na „Budowniczego LGOM” i dwa Krzyże Zasługi. Podwładni mówią o nim: — Zawsze tak wydawał polecenia, że nie mogło być żadnej dyskusji. — Byłem u niego pacholkiem, musiałem nawet kupić zamrażarkę z jego książeczki górniczej.

Miał oczywiście przyjaciół i znajomych. Był dla nich uczynny, szczególnie zaś dla jednego z nich. Kiedy więc Migalski poprosił o przysługę, inżynierowi nie przyszło nawet do głowy odmówić mu. Migalski znał żonę Hanysza jeszcze ze szkolnych czasów, a kiedy ta wyszła za mąż, zaczął kolegią się z jej mężem. Rodziny zaprzyjaźniły się. Gdy Hanyszowi urodził się syn, poprosił swego przyjaciela w kumy.

Kum Migalski jest typem, jak się to u nas mówi, człowieka obrotowego. Kierowca z zawodu, ma dom w S., Poloneza, Stara i od trzech lat 25-hektarową gospodarke. Kiedyś Migalski zwierzył się swemu koledze inżynierowi, że dobrze byłoby mieć ładowarkę. I w gospodarstwie się przyda i do wszelkiego innego załadunku. Gdy się ma Stara i ładowarkę, to nawet bez gospodarstwa można wyżyć i to całkiem nieźle. Zresztą mniejsza o to, dość, że maszyna to pożyteczna, a kolega ma możliwości. Grzechem byłoby przepuścić taką okazję koło nosa. Hanysz osobiście pojechał z podaniem do dyrekcji. I załatwił.

Hanysz miał w zakładzie władzę, wezwał więc kalfaktora Chomiaka i oznajmił, że maszyna dla kolegi ma być „super”. Oznaczało to, że trzeba było uważnie obserwować wywożone z dołu elki i wybrać najmniej zniszczoną. Wreszcie trafiła się odpowiednia, całkiem sprawna, łącznie z ogumieniem.

W jakiś czas potem pod zakładem zatrzymał się biały Polonez z poznańskiej rejestracją. Chomiak znów został wezwany do szefa. W biurze siedział gość, którego rozpoznał od razu. Gdy szef przeprowadzał się do P., Chomiak pomagał przy załadunku mebli i ten gość był przy tym. To właśnie Migalski.

Chomiak wziął Toporskiego i razem z Migalskim pojechali na szyb pokazę elkę. Przyszły nabywca obejrzał i pokłamał głową w zamyśleniu. Zdawał sobie sprawę, że zanim maszyna będzie na chodzie, trzeba włożyć w nią sporo pracy i gotówki. Rzecz teraz w tym, aby wyszło to jak najtaniej.

Dogadali się. Ustalili, że remontować będą w trzech: Chomiak, Jurek i Toporski. Robociznę wstępnie oszacowali na ok. 300 tys. Chomiak jednak z góry zastrzegł, że na fuchę urlopu marnować nie zamierza. Problem jednak w tym, że Migalski mieszka daleko. Okazało się jednak, że dla człowieka obrotowego problemy nie istnieją. „Nie mogliśmy odmówić — tłumaczy się Toporski — wiedzieliśmy, że na tej sprawie trzyma rękę Hanysz”.

Po kilku dniach Chomiak znów został wezwany przed oblicze szefa. Poleciał on przygotować silnik, silowniki hydrauliczne, skrzynię biegów, zmiennik momentu, pompę, chłodnicę i jeszcze kilka innych podzespołów. I jak już wszystko będzie gotowe, pchnąć telegram do Migalskiego, dodać. Podać adres. Szef nie udzielał szczegółowych instrukcji, a Chomiak nie był docieklawy, nie pytał jak zdobyć potrzebne części.

Migalski powiadomiony telefonicznie przyjechał pod koniec kwietnia. Fadroma, kupiona zresztą najzupełniej legalnie, była już gotowa do odbioru. Dzień wcześniej ludzie inżyniera, stary zdezolowany silnik zastąpili nowym, po remoncie kapitalnym. Na kartce Chomiak spisał wszystkie podzespoły, które należało wywieźć. To wystarczyło do wypisania przepustki. Po załadunku fadromy i przemyceniu części Migalski wręczył swoim pomocnikom 20 tys. i pół litra.

Poszło jak z płatka. Czemu więc by jeszcze nie spróbować. Od czasu do czasu pod bramę zakładu zajeżdżał, czasem Polonez, a czasem Star z poznańską rejestracją. Lojalni pracownicy bez skrępowania wykonywali polecenia szefa. A szef mówił, żeby sprawę mądrze załatwić. Polegał na własnej pomysłowości. I udawało się. Nielegalnie, ale bez przeszkód wywoził za bramę: plyn hamulcowy, farby, elektrody, węże, kółka, rurki do silowników itp. To wszystko, czego życzył sobie klient. I płacił. W lipcu na przykład zostawił 50 tys. na trzech. Wcześniej dał zaliczkę na remont fadromy, żeby przypadkiem nie wycofał się.

NIEDZIELNY ROSÓŁ

Wreszcie, gdy już wszystkie potrzebne części do Łk-1 dotarły na miejsce, ustalili termin montażu ładowarki. Migalski wyjaśnił mechanikom jak dojechać do S., poradził, żeby w Poznaniu wziąć taryfę. Aha, dodał jeszcze, aby nie zapomnieli książeczek ubezpieczeniowych. Słusznie, że zdrowiem różnie bywa.

Jurek i Toporski przyjechali koło soboty. Za taryfę zapłaciła żona Migalskiego, bo jego samego akurat nie było w domu. Od razu zabrali się do roboty. Po niedzielnej Migalski wziął książeczki zdrowia i pojechał do Poznania. Wrócił i powiedział, że wszystko załatwione, przywiózł zwolnienia na dziewięć dni i oznajmił swoim robotnikom, że chorują na zapalenie żył. Lekarz, doktor nauk medycznych, z tytułem docenta, który wystawił zwolnienia jest właśnie specjalistą od układu krążenia. Nie można powiedzieć, żeby Migalski kupił zwolnienia, stanowczo temu zaprzecza. Rozliczać się forsa pomiędzy kolegami, to niehonorowo. Jakaś kura na niedzielny rosół, kawałek szynki, to tak. W życiu tak już jest filozofuje Migalski, że jeden od drugiego zawsze coś potrzebuje.

Zwolnienia więc są i robota spokojnie leci dalej. Gospodarz zapewnił dach

nad głową, wikt i co kilka dni coś mocniejszego, pod tę fadromę, żeby fedrowała. Nie wszystko jednak idzie gładko. Nieoczekiwanie okazuje się, że mosty przedni i tylny nie nadają się do niczego. I co w takiej sytuacji robi nasz bohater, właściciel fadromy? Oczywiście, wsiada do Stara i jedzie do przyjaciela. Ze sobą zabiera Toporskiego, który uparł się, że musi do rodziny. Wieczorem Migalski jest już z powrotem na miejscu, z nowymi mostami. Następnie dnia przyszedł al Toporski z Chomiakiem, który wpadł zająć jak robota leci i przy okazji trochę pomóc. Przez sobotę i niedzielę tyrali ciężko, montowali koła do mostu i mosty do ram.

Chorobowe, niestety, już się kończyło, a robota jeszcze nie. Wziął więc Migalski książeczkę i znów pojechał po zwolnienia. Tym razem załatwił po 10 dni.

Wreszcie udało się spać fadromę i wieczorem była wódka. Robota miała się już ku końcowi, został jeszcze tylko ostatni szlif. Gospodarz solennie obiecał — jak fadroma będzie feorować dostanie forsy. Elka była sprawna, ale żeby ją wyprowadzić potrzebny był olej. Ale o olej nie jest tak łatwo. Półki co, mechanicy za zgodą swojego patrona, urwali się na trzy dni do domu. A kiedy wrócili oleju nadal nie było, w takiej ilości jaka była potrzebna do uruchomienia maszyny. To 60 litrów, które w tym czasie zdobył Migalski nie wystarczyło. Na razie nie mieli tu nic więcej do roboty, zainkasowali 70 tys. i wrócili do domu. Ugodnili, że reszta będzie później.

OSTATNI KURS

28 sierpnia, Jurek pamięta dokładnie że była to środa, szef wezwał go do siebie. W biurze powiedział: „W piątek przyjeżdża mój kolega i trzeba mu przygotować: hyrol, półoski, sworznie, olej napędowy i jeszcze kilka innych drobniaków”. „Jak to wywieźć?” — pyta Jurek. „To już pana głowa” — pada odpowiedź.

— Wiedziałem, że nie dostanę na to żadnych dokumentów, a polecenie wykonać muszę — tłumaczy się teraz Jurek. — Bo gdybym tego nie zrobił, to już w dniu następnym pracowalby na innym stanowisku, najpewniej na dole.

W piątek, nawet Toporski, pracownik dolowy, nie zjechał do kopalni, miał pomagać Jurekowi obsłużyć kolegę szefa. Załadowali wszystko do łżyki fadromy i po prostu wyjechali za bramę. Zajeżdżali pod garaż Toporskiego i tam złożyli części do Łk-1. Sposób na zdobycie olejów okazał się dziecinnie łatwy. Spuścili je z fadromy, pod garażem Toporskiego, wprost do beczek, które przywiózł ze sobą Migalski. Pomogli jeszcze w załadunku Stara, wcześniej przywieźli zamrażarkę szefa, którą przechowywał u znajomego. Transakcja została wreszcie sfinalizowana. Dostali 100 tys. i pół litra. Pojechali do biura i powiadomili szefa, że wszystko załatwione. Inżynier wydawał się być zadowolony ze swoich ludzi. Pół litra wypili we dwóch, w garażu.

Akt oskarżenia zarzuca wszystkim pięciu podejrzanym zagarnięcie mienia przedsiębiorstwa na kwotę nie mniejszą niż 1,4 mln zł. Do winy przyznali się, jedynie inżynier H. część zarzutów odpiara. Przed sądem odpowiadać będą na mocy ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej.

P.S. Nazwiska osób zostały zmienione.

Jak świętują inni?

Święta Bożego Narodzenia, najbardziej radosne i rodzinne ze wszystkich świąt, obrosły przez stulecia wieloma obyczajami, obrzędami kultywowanymi z pokolenia na pokolenie. Tak jest nie tylko u nas, ale również w innych krajach, przy czym świąteczne tradycje, charakterystyczne potrawy wigilijne, związane z Bożym Narodzeniem wierznią i legendy, uwydatniają w sposób wyraźny ducha i charakter poszczególnych narodów, ich historię i kulturę. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

U naszych południowych sąsiadów po wieczery wigilijnej dzwoni się dzwoneczkiem, co oznacza, że można już wyjmować spod choinki prezenty. W każdym domu musi być specjalna kolekcja świąteczna czekoladowych figurek przedstawiających zwierzęta, postacie z bajki, kwiaty. Gospodynie wypiekają małe ciasteczka w kształcie gwiazdek i choinek. Na Wigilię kupuje się świeże kwiaty, cięte lub doniczkowe, którymi ustraja się mieszkanie. W niektórych regionach Czechosłowacji przetwarza również zwyczaj lania ołowiu na wodę (podobnie jak u nas wosku na Andrzejkę) i wróżenia z odlanych kształtów przyszłości.

We Francji w dzień wigilijny niemal wszyscy udają się na Pasterkę, która niekoniecznie odprawiana jest o północy, ale często znacznie wcześniej. W Paryżu w dobrym tonie jest pójście do określonego kościoła, np. Św. Rocha, a ponieważ napływ wiernych jest ogromny, wydawane są nawet specjalne karty wstępu. Kolację spożywa się dopiero po powrocie do domu. Francuzi przyzwyczajeni są do późnego spożywania posiłków. Tradycyjnie podaje się ostrygi, boudin blanc (przypominający naszą kaszankę), foie gras (czyli gęsie wątroby), indyka i buche de Noel (dosłownie — polano wigilijne). Jest to specjalne cienkie ciasto, grubo powleczone odpowiednią masą i następnie zawijane. Po wierzchu oblewa się je czekoladowym lukrem i drapie widelcem, żeby przypominało korę drzewa. Niektórzy przypisują jej jeszcze zielonym cukrem pudrem, aby wyglądało jak omszały pień.

Świąteczne „polano” przygotowuje się także przez gospodynie belgijskie, choć według nieco innego przepisu (ciasto z kruszonych biszkoptów, lukier kawowy z dodatkiem rumu lub wiśniówki). Dzieci belgijskie obok normalnych prezentów, takich jak zabawki, obdarowywane są kandyzowanymi owocami i miejscową specjalnością o nazwie speculoos — aromatycznym, korzennym chlebkiem.

W Danii odbywają się w Wigilię południowe nabożeństwa i dopiero potem rozpoczyna się uroczysta kolacja. Pierwszym daniem jest tradycyjnie potrawa z ryżu gotowanego z cukru i cytrynowym, zalanego bezalkoholowym piwem. W ryżu ukryty jest migdał. Kto go znajdzie, otrzymuje w nagrodę marcepanową świnkę, która zapewni podobno szczęście na cały rok. Po kolacji pan domu znika w innym pokoju, gdzie ustawiona jest choinka i zapala na niej świeczki. Choinka przystrojona jest najczęściej ozdobami domowego wyrobu, przechowywanymi w rodzinach przez całe pokolenia. Gdy światła już płoną, otwierają się drzwi do pokoju i cała rodzina śpiewając okraża choinkę. Zanim nie skończy się śpiew, nie wolno ruszać leżących pod nią prezentów. Jest to zawsze sprawdzianem silnej woli dla dzieci.

We włoskich domach do zwyczajów należy rodzinne ustawianie szopki. W okresie przedświątecznym ulicznymi handlarzami oferuje się całą gamę szopkowych figurek różnej wielkości — Świętej Rodziny, Trzech Króli, pasterzy, aniołów, zwierzątek, a także imitację zmurzonego drewna do budowy stajenki betlejemskiej. Jeśli zaś chodzi o świąteczne jedzenie, to jest ono różne w zależności od zamożności rodziny. Jednego wszakże na stole zabraknąć nie może, a mianowicie panettone — drożdżowego ciasta z dużą ilością przypraw korzennych, będącego włoską specjalnością, a także torrone czyli nugatów, ulubionych przez dzieci. Przy okazji warto dodać, że w wysokogórskich wioskach

(Ciąg dalszy na str. 25)

Co dzieje się z człowiekiem w okresie między śmiercią kliniczną a śmiercią biologiczną? Gdzie był i co widział chory w czasie, gdy go — a właściwie, gdy jego powłokę cielesną — reanimowano? Helene Renard przeprowadziła wywiady z tymi, którzy wrócili z tamtego świata, którzy byli przez krótką chwilę tam, skąd się na ogół nie wraca. Co zapamiętali i czy ich pamięć może być dowodem na istnienie jakiegos życia pośmiertnego? Drukujemy fragmenty pracy pt. „L'Après — vie, croyances et recherches sur la vie après la mort” („Po życiu, wierzenia i badania nad życiem po śmierci”).

Ten arcyciekawy materiał uzupełniamy wypowiedzią profesora anatomii wydziału medycznego w Montpellier, Pierre'a Rabischonga, który w rozmowie z Helene Renard powiedział: „Wziąwszy pod uwagę poczynione przez biologię obserwacje, można sformułować następującą bardzo prawdopodobną hipotezę: po śmierci będzie jakieś życie.

„Co po śmierci?”. Pytanie stare jak świat. I najbardziej niemożliwa z możliwych odpowiedź. Jeżeli jest jakaś dziedzina wciąż jeszcze okryta tajemnicą, to jest nią właśnie ta podróż, z której się nie wraca. A jednak, pewne światła pozwalają — może nie aż oświetlić krajobraz tamtego świata — ale przynajmniej posuwać się krok po kroku, ostrożnie, nieśmiało w jego badaniu — pisze Helene Renard we wstępie poprzedzającym publikowane fragmenty książki. — Co dzieje się zaraz po śmierci, w tej fazie przejściowej która jest tylko początkiem jakiegoś tunelu prowadzącego w odwrotnym kierunku? Niektórzy weszli do tego tunelu na krótką chwilę, ale ci, którzy doszli do jego końca nigdy już nie wrócili i nie mogli nam powiedzieć, dokąd on prowadzi. Jednakże świadectwa „pionierów wielkiej podróży” — tych, których śmierć kliniczną ogłoszono (tzn. których elektroencefalogram był przez wiele minut płaski), odratowanych topielców, samobójców i ofiar wypadków, tych, którzy będąc w agonii byli jeszcze w stanie dzielić się tym, co czują — mają wielką wartość badawczą. To właśnie oni byli autorami pierwszego „raportu” o życiu pośmiertnym, które jest przedmiotem mojej książki.

Był to pasjonujący wywiad. Wstrząsający reportaż. Przez długie miesiące wysłuchiwałam ich historii, badałam ich zachowanie, analizowałam... Ale przede wszystkim byłam zafascynowana.

Zafascynowana dlatego, że nie miałam — byłam tego absolutnie świadoma — obiektywnych dowodów istnienia tego życia po śmierci. Ale subiektywne przypuszczenia z całą pewnością miałam. A to dlatego, że żadnego z tych „świadków życia pośmiertnego” nie byłabym w stanie zmusić do powiedzenia czegoś, co przeczyłoby temu, czego fizycznie doświadczyłam, a mianowicie pewności, że są inne formy bycia żywym, inne zależności w czasie i w materii, inne zmysły niż naszych pięć zmysłów, być może także inne ciało...

A oto fragmenty opracowania:

ŚWIETLANE SYLWETKI W GŁĘBI DŁUGIEGO I CIEMNEGO TUNELU

Nagły przypadek: krwotok wskutek ciąży pozamacicznej. 28-letnia Mireille, która oczekiwała dziecka z taką radością, poroniła, a powikłania były tak poważne, że zagrażały jej życiu. W karetce, którą ją przewożono, miała uczucie, że całym ciężarem przesuwa się gdzieś do tyłu. W szpitalu czuła, że ktoś ją rozbiera, że ma na sobie tylko zawieszony na szyi medalik z Matką Boską, słyszała też odgłosy pracującego odkurzacza, a przy tym sama jakby unosiła się w powietrzu, miękkim jak wata. Wszędzie był tylko jeden kolor: wyjątkowo jasny błękit. Jest jej ciepło, jest spokojna, ma uczucie pełnego szczęścia.

Później odczuwa jakieś uklucia w głowę: jest to jej ostatnie wrażenie. Zapada w komę. Następuje zwolnienie funkcji organizmu kolejno jednej po drugiej. Przez długie minuty sądzono, że zmarła, że nie żyje. Ale wówczas kiedy jej stan wydawał się już nieodwracalny, powraca do życia. Mireille pamięta i opowiada mi:

— Wszystko było niebieskie i w tej niebieskości widziałam kręgi powkladane jeden w drugi, od większego do najmniejszego, tworzyły coś w rodzaju tunelu. Pierwszy krąg, największy, ten na początku, był granatowy; ostatni przypominał już tylko biały świetlisty punkt. Czekal tam cały tłum. Po prawej stronie tego tunelu unosiła się w powietrzu jakaś istota, wyglądała jakby była otoczona pęczem, przypominało to przezroczyście jajo. Czy był to płód? Dorosły człowiek? Nie potrafię powiedzieć. Zagłębiałam się coraz dalej w tunel. Za wszelką cenę chciałam dotrzeć do tego czegoś, co mi się wymykało. Ale tłum popychał mnie ku wejściu, poza kręgi. Stałam przy wejściu jak widzi i widziałam moją własną sylwetkę, jak bym stała obok siebie, jak bym się rozdzieliła. Z tych dwóch istot jaśniejsze było moje drugie ja, mój sobowtór promieniował światłem. Nagle, zanim ostatecznie weszłam do tunelu, przypomniałam sobie, że mój mąż naprawdę mnie potrzebuje. I postanowiłam wrócić do życia, kosztowało mnie to wiele wysiłku.

Mireille budziła się bardzo długo i niespokojnie, jej powrót do zdrowia trwał całe tygodnie. Pytam ją, czy to doświadczenie przekonało ją o tym, że po śmierci żyje się dalej.

— Absolutnie — odpowiada. — Teraz wiem, że jest jeszcze inny rodzaj... życia, wiele mnie kosztowało, by oprzeć się pokusie. Miałam wrażenie, że życie pośmiertne byłoby dla mnie przyjemniejsze.

I właśnie wówczas podjęłam te badania. Czułam potrzebę pójścia dalej, porównania tego, co opowiada Mireille nie tylko z opowieściami tych, którzy wyklnęli się śmierci, ale także z opisami takich stanów z czasów starożytnych i tymi, jakie przynoszą różne tradycje religijne.

Wiele jest świadectw potwierdzających, że chory słyszy, gdy lekarze mó-

wią: — On umiera. Wydaje się bowiem, że spośród naszych pięciu zmysłów słuch jest tym, który zanika ostatni. Węch, smak, dotyk zanikają całkowicie, natomiast wzrok zanika stopniowo. Kiedy, pragnąc stwierdzić stan śmierci rzeźwistej, próbuje się przeprowadzić test na reakcje nerwowe, nerw słuchowy jest jedynym, który jeszcze reaguje. I odwrotnie, kiedy reanimuje się pacjenta, pierwszym objawem reanimacji jest przebudzenie się słuchu.

Sekretarz Międzynarodowego Instytutu Metapsychicznego dr Larcher (przed kilku laty pracowałam z nim nad jego dziełem z dziedziny parapsychologii) przyznaje, że nie jest to z pewnością przypadek:

— „Podobnie jak narodziny, śmierć ma swoje procesy. Procesy te następują w ustalonej kolejności. Kolejność ta ma ogromne znaczenie. Stąd też rola słuchu w liturgii zmarłych, wywoływania ich imion, aby spróbować ich przebudzić oraz głośne odmawianie modlitw na wypadek, gdyby mogli je jeszcze słyszeć, podczas gdy wszystkie pozostałe funkcje już ustaly”.

Kiedy umiera papież, jego imię wywołuje się trzykrotnie, aby mieć pewność, że nie jest w stanie ekstazy, ale rzeczywiście zmarł.

Ludzie, których uznano za zmarłych mogą więc słyszeć. Jeden z tych, którzy uszli śmierci, a którego słowa przytacza dr Moody, twierdzi: „Wszystko było jasne; słyszałam wyraźnie, ponieważ wokół zapanowała cisza. Miałam wrażenie, że gdyby upadła szpilka, też bym usłyszała”.

Wśród zjawisk słuchowych często wymieniana jest jakiś nieprzyjemny hałas, brzęczenie dzwonka czy wycie wiatru. Odgłos odkurzacza, który Mireille słyszała w szpitalu, należał niewątpliwie do takich właśnie hałasów. Dr Ring, który w sposób naukowy pogłębił spostrzeżenia dr. Moody'ego zwraca jednak uwagę, iż dane, które on sam zebrał, nie potwierdziły tych zjawisk słuchowych (czyli że występują one mniej często niż sugeruje dr. Moody).

Jednocześnie ocalony przypomina sobie, iż miał wrażenie, że idzie długim korytarzem bądź ciemnym tunelem. Wrażenie takie odnosi ok. 23 proc. ocalonych, których przebadali dr Ring; odbierają to jednak różnie, mówią o rurach, przewodach kanalizacyjnych, jakichś lejach itp.

Tym, co wydaje mi się wspólne u wszystkich ocalonych i tym, co mnie uderzyło u tych, których sama spotkałam, jest wrażenie, że wchodziło do jakiegoś ciemnego miejsca. To była ogromna beczka, w której było bardzo ciemno. Przyszło mi na myśl, że w Biblii jest mowa o tym, że zanim wyjdziemy na światło, będziemy szli ciemnym tunelem. Zadałam sobie pytanie: „Kiedy dojdę do światła?”... Nie zylam. Można powiedzieć, że nie było tam światła — opowiada kobieta, która otarła się o śmierć podczas operacji na otwartym sercu.

Inna młoda kobieta, która omal nie umarła wskutek ataku astmy, oświadczyła:

— Kiedy mówię tunel, jedną rzeczą, która przychodzi mi na myśl są duże rury kanalizacyjne, którymi odprowadza się ścieki. Leżałam na wznak i płynęłam...

Owo wejście w ciemność często jest

Czy po życiu

opisywane jako pogrążanie się w bezkresnej czarnej przestrzeni:

— Zupełnie jak pustka, jak niebyt. Jest to coś tak spokojnego, że chciałoby się, aby trwało wiecznie. Jest to absolutna ciemność, człowiek nie ma już ani odczuć, ani wzruszeń — opowiada kobieta, którą po porodzie na kilka minut „zabrał” zator.

W wielu kulturach owo wejście do „królestwa zmarłych” jest zresztą przedstawiane symbolicznie w postaci krateru wulkanu, dziury w ziemi, szczeliny w górze czy nawet rozwartej paszczy jakiegoś gigantycznych rozmiarów potwora (lewiatana, wieloryba, smoka itp.).

Opowiadanie Mireille o przejściu przez tunel przypomina mi „podróż”, którą relacjonuje wymyślony przez Plutarcha bohater, Timarchos z Cheronei: w otchłani pewnej jaskini w Liwadii, w drodze do Delf, dokąd udawał się, by zasięgnąć rady wyroczni, Timarchos miał atak katalepsji. Ledwie spuścił się w otchłani (nogami do przodu, jak wymaga ryt zmarłych), odniósł wrażenie (po otrzuceniu ciosu w głowę, czemu towarzyszył ogłuszający dźwięk), że szwy jego czaszki zaczęły się rozstępować, aby pozwolić wyjść duszy. Później wyzwolona z ciała dusza zaczęła się rozprzestrzeniać aż stała się wielką jak żagiel; słyszy niebiańską muzykę, widzi wyraźnie geografie nieba oraz położonego w dole świata. Jakiś pozbawiony formy cielesnej głos woła go, zadaje mu pytania itp. Już tam, w tej starożytnej opowieści odnajdujemy wszystkie elementy wizji relacjonowanych nam przez osoby, które powróciły ze śmierci.

37 proc. ocalonych, których przebadali dr Ring, doznało uczucia ucieczki od ciała: nie tracąc kontaktu z otoczeniem, świadek obserwuje z odległości swoje własne ciało oraz dokonywane na nim próby reanimacji. Jego „świadomość” oderwała się więc od ciała fizycznego, które wydaje mu się już tylko powłoką zwłok. Jest to doświadczenie, któremu towarzyszy stan wielkiej błogości, zaostrzenia zmysłów słuchu i wzroku, a to wszystko w skąpanym w świetle otoczeniu.

Kobieta, u której ustała praca serca, tak opisuje swoje wrażenia:

„Znajdowałam się gdzieś nad... Nie wiem nad czym, ale byłam „w powietrzu”, zupełnie jak bym już nie miała ciała! Byłam... (waha się), ale w końcu to byłam ja. (Nie jakieś ciało, ale ja! Rozumie pani, co chcę powiedzieć? Było to „moje ja wewnętrzne”, moja jaźń. Prawdziwe moje ja, a nie to (dotyka swojego ciała) unosiło się w powietrzu”.

Sama wypytываłam Jeanne G., kobietę 73-letnią, która od 40 lat, nie mówiąc o tym nigdy nikomu, ilekroć zapragnęła oddawała się doświadczeniom polegającym na wychodzeniu z ciała. Relacjonuje w mojej książce jej świadectwo, pokazując w czym może ono przemawiać za prawdopodobieństwem przetwarzania. Jej relacja jest zupełnie podobna do opowieści osób, których śmierć kliniczną stwierdzono: obserwowanie ciała fizycznego z punktu widzenia uzewnętrznionej świadomości znajdującej się gdzieś „wysoko”.

Inna cecha charakterystyczna: wrażenie, że jest się postronnym obserwatorem. Świadome „ja” obserwuje z góry pozostałe gdzieś w dole ciało, bez lęku i bez zdziwienia.

Pewna młoda kobieta, która ledwo nie zmarła podczas zabiegu chirurgicznego, mówi:

— Byłam absolutnie obiektywna, byłam po prostu widzem. Obserwowałam tylko to, co się działo i rozumiałam to...

Czy mają wrażenie, że posiadają „inne ciało”? Nie. Kiedy dr Ring pyta ich o to, ocaleni odpowiadają na ogół, iż mieli wrażenie, że istnieją duchowo. Gdyby te świadectwa potraktować dosłownie, znaczyłoby to (jest to stwierdzenie o pierwszorzędym znaczeniu), że istnieje jakieś inne niż cielesne życie. Świadomość była sobą, świadomość tego, że żyje się naprawdę, bez tej podpory materialnej, jaką jest ciało...

Innym często relacjonowanym zjawiskiem jest, że na spotkanie umierającego wychodzi jakaś istota: krewny bądź zmarły wcześniej przyjaciel, który „przychodzi po umierającego”.

UNOSIŁEM SIĘ W POWIETRZU PONAD MOJĄ CIAŁEM

Pierwsze badania, w których wspomi-

na się o pojawieniu się zmarłego krewnego, przeprowadził William Barret w 1926 r. i Harnel Hart w 1929 roku. Umierający często nazywają go „zjawą”. Dr Ring precyzuje, iż z jego obserwacji wynika, że umierający spotyka albo jakiegoś bliskiego zmarłego, albo jakąś „świetlistą istotę” (porównywalną do Boga?), ale nigdy obu tych postaci na raz.

Dr Karlis Osis i dr Haraldsson pierwsi przeprowadzili rzeczywiście naukowe badania, zbierając w Indiach i w Stanach Zjednoczonych setki wyznań ludzi w agonii i „zmarłych”, którzy twierdzą, że widzieli zjawę. Jaki, w takim wypadku, jest charakter tej wizji? Czy można ją porównać do halucynacji? W jakim stopniu uwierzytelnia ona hipotezę o przeżyciu oraz realność tego innego świata?

Stwierdzenie pierwsze: dwie trzecie zjaw, jakie widzą umierający, przedstawiają osoby zmarłe (podczas gdy w wypadku halucynacji doznawanych przez osoby nie będące w agonii widziadła przedstawiają osoby żyjące).

Stwierdzenie drugie: w 50 procentach wypadków zjaw (zwłaszcza jeżeli przybiera postać kogoś znanego z religii) przejawia wolę zabrania ze sobą konającego na tamten świat. W żadnych halucynacjach przeżywanych przez osoby żyjące zjawy pragnienia takiego nie przejawiają.

Stwierdzenie trzecie: w większości wypadków (ok. 41 proc.) umierający przyjmuje gościa z zaświatów z radością i pogodą ducha, w halucynacjach natomiast nie ma żadnych aluzji do śmierci, lecz tylko do osób z tego świata.

Tak np. 11-letnia dziewczynka cierpiąca na wrodzoną wadę serca widzi swoją matkę ubraną w piękną białą suknię i trzymającą w rękach podobną sukienkę przeznaczoną dla niej. Dziewczynka jest szczęśliwa i uśmiecha się. Prosi doktora Osisa, by pozwolił jej wstać, ponieważ matka chce ją zabrać w podróż. Wizja dziewczynki trwała w przybliżeniu pół godziny i wprawiła ją w stan spokoju, w którym pozostawała aż do śmierci, która nastąpiła 4 godziny później. Ale dziewczynka ta nigdy swej matki nie знаła, gdyż zmarła ona wydając ją na świat. Nie mogła więc wchodzić w grę pamięć uczuciowa.

Zaświadczone przez niektórych, ale negowane przez innych, zjawy nie tworzą jednolitego świata. Tybetańska Księga Zmarłych twierdzi, że wszystkie spotkania konającego będącego w stanie „barda” (tj. po śmierci a przed nowym życiem) są wyłącznie odbiciem myśli. W istocie, jak mi wyjaśnili Tybetańczycy, których opinie zasięgałam, nauka słynnego Bardo-Thodol polega na rozpoznawaniu takich halucynacji, uważania je za to, czym są a nie za rzeczywistość... Z kolei, Edward Clarke np. w swym studium na temat wizji („A Study of False Sight”) próbował wykazać, że są one jedynie wynikiem złej pracy mózgu, czy to z przyczyn patologicznych, czy też z powodów psychologicznych. Jest to więc równoznaczne ze stwierdzeniem, iż wizje przedśmiertne byłyby tylko halucynacyjną projekcją świata wewnętrznego osoby umierającej.

I przeciwnie, gdyby wizje te pochodziły z jakiegoś źródła znajdującego się poza umierającymi, byłyby one informacjami z zaświatów i, moim zdaniem, uwiarygodniałyby hipotezę, że życie się nie kończy...

W rzeczywistości wiadomo, że pewne stany patologiczne (urazy mózgu, uremia, silna gorączka) sprzyjają halucynacjom, podobnie jak morfina czy inne środki uśmierzające. Jednakże w takich stanach tamtego świata to ich ułudy musiałby być mgliste i niespójne. Otóż wizje przedśmiertne, jakie udało mi się spisać, są spójne i pozostają w związku ze śmiercią chorego. W swej ogromnej większości umierający świadkowie, uważając zbadani przez dr. Osisa, ani nie cierpieli na zaburzenia pracy mózgu, ani też nie byli zatruci lekami.

Czy należy więc złożyć te zjawy na karb zaburzeń psychicznych lub dysfunkcji mózgu? Nie wydaje mi się. Istotnie, wiadomo, że halucynacje często są projekcjami konfliktów wewnętrznych, stresów, trosk, potrzeb, pragnień i niepokojów danego osobnika. Gdyby poprzedzające śmierć wizje były tej samej natury, to odzwierciedlałyby lęki czy też nadzieje umierających. Otóż tak nie jest,

jest życie?

skoro — jak mogłam stwierdzić — zjawy te przejawiają własną wolę, która niekiedy jest sprzeczna z wolą pacjentów. Gdyby umierający pragnęli złagodzić swój strach przed śmiercią sami wymyślali sobie jakieś złudzenia na temat tamtego świata, to ich uludy musiałby wyrażać pragnienie wyzdrowienia. Tak jednak nie jest. Zjawy nie są więc projekcjami pragnień umierającego.

Inna sprawa: gdyby chodziło o projekcję pragnienia, umierający „przywolywałby” do siebie jakąś wybraną osobę. A przecież zjawy nie przedstawiają osób, których chce ujrzeć podmiot wyrażający.

„JESZCZE NIE PORĄ” — SŁYSZY. I WRACA DO ŻYCIA.

Z tych właśnie względów dr Osis dochodzi do wniosku, że „ogół tych elementów bardzo dobrze współgra z hipotezą, zgodnie z którą zjawy są wyraźnie istotami, a nie zwykłymi projekcjami pochodzącymi z mózgu umierających”.

Umierającemu ukazuje się nagle jakaś istota duchowa „Świetlana istota”, która głosem bez słów wydaje się pytać o wartość jego życia. Dr Neal Krupp, dyrektor działu psychiatrycznego szpitala w Cleveland opowiedział mi zdumiewającą historię: historię kierowcy ciężarówki, którego przyniósł jego własny samochód i którego śmierć kliniczną stwierdzono, po czym powrócił on do życia. Ten prosty człowiek nie czytał, oczywiście, żadnej z ksiąg dr. Moody. Oświadczył lekarzowi, że pamięta, iż widział dwie świetliste istoty, które po niego przyszyły i czekały w tunelu. Zanim doszedł do końca tunelu, owe istoty rozwały jego sprawę i kierowca ciężarówki usłyszał: „Nie, jeszcze nie pora”. I odprowadziły go do wejścia do tunelu, a on... powrócił do życia.

Ten wyraźnie słyszany przez konającego głos jest najczęściej utożsamiany z głosem mężczyzny, ale nigdy z głosem mężczyzny znajomego. Wiele osób określiło go jako „głos Boga” i powiedziało mi, że miały wrażenie, iż z Nim obcują. Wśród konających, z którymi rozmawiał, dr Ring spotkał bardzo mało osób,

które miały wizje religijne. Kiedy tak właśnie było (w przybliżeniu w 3 wypadkach na 20) postać ta była w istocie źródłem promieniowania światła. Pewna kobieta w agonii wskutek niewydolności dróg oddechowych opowiada, że widziała Jezusa Chrystusa: „Plakałam... Nagle, wśród łez, doznałam dziwnego uczucia. Podniosłam wzrok i znów zobaczyłam to samo światło, które wpierw dostrzegłam w głębi tunelu. Było równie złociste, żywe, żółte. Później dostrzegłam postać o jasnych włosach i z brodą. Była ubrana na biało, a ta biel błyszczała jak złoto. Miała czerwoną płamę tutaj (wskazuje palcem na pierś), trzymała w ręku kielich i powiedziała do mnie: „Przyjmiesz moje ciało nim upłynie tydzień”.

„Ocaleni od śmierci, których wysłuchałam, w jednej sprawie są jednomyślni: są zafascynowani tym, co dociera do nich z zaświatów i nie chcieliby już się wycofać. Powrót kosztuje ich wiele wysiłku. Przepelnia ich silne uczucie spokoju, zadowolenia i miłości. Wszyscy mówią, że odczuwają głęboką radość, nie cierpią, mają świadomość, że skończyły się ich udręki: „Jaki spokój i odprężenie! Wcale już nie cierpię!” — mówi jeden ze świadków, który przeżył zawał serca.

Cóż więc widzą ci, którzy doszli do progu tamtego świata? Jakże są krajobrazy tamtego świata? Jeśli wierzyć ich relacjom, niestety lakonicznym, które uszeregowałam bądź odebrałam bezpośrednio, jest to świat o jakimś nadprzyrodzonym, niezapomnianym pięknie, z uroczymi łakami, cudownymi kwiatami i muzyką. „Schodziłem w dół ścieżką i to było cudowne. Szedłem wśród wspaniałych kwiatów, ptaki śpiewały...” „Znajdowałem się na pustym polu, na którym rosła wysoka, złocista, miękka i błyszcząca trawa...” „Widziałem najpiękniejsze jeziora, jakie tylko mogą być, kwiatów, jakie tam widziałem, nikt nigdy nie widział...” itd. (mistycy islamu, wicelcy poeci Iranu opisywali raz za pomocą identycznych określeń...).

Jeśli porównać elektroencefalogramy konających oraz osób pogrążonych w

głębokiej medytacji (zmieniony stan świadomości), to można stwierdzić zdumiewające podobieństwa: rytm pracy mózgu w momencie zbliżania się śmierci wykazuje bardzo dużo fal beta, fal szybkich, występujących na przemian z wolniejszymi falami alfa. Stąd też hipoteza, iż nadejście śmierci powoduje zmianę stanu świadomości, wywołując uczucia euforii, transcendencji, błogości. Świadcetwa innych stanów świadomości (użytkowane m.in. za pomocą narkotyków lub hipnozy) idą w tym samym kierunku. Czy jest możliwe, by w obu wypadkach następowała jakaś tajemnicza zmiana chemii mózgu? Niektórzy lekarze, do których się w tej sprawie zwracałam, to właśnie dają do zrozumienia. W każdym bądź razie, badania mózgu, które w naszych czasach sięgają coraz głębiej, przynoszą pewność co do tego, iż zbliżanie się śmierci uruchamia jakiś szczególny układ percepcji i zmienia nasze zwykłe zmysły.

Ze świadectw tych wynikałby więc przede wszystkim główny wniosek, iż stan przedśmiertny (Near-Death-States — jak mówi się w Stanach Zjednoczonych) nie jest, oczywiście, tym samym co śmierć. Jest to ekstremalne zbliżenie, być może ostatni punkt, jaki może osiągnąć istota żywa. Ale z chwilą gdy jest od tego jakiś odwrót, nie jest to śmierć. Nikt nie wrócił z śmierci (chyba że wierzyć w zmartwychwstanie). Śmierć jest nieodwracalna.

Z drugiej strony, jeśli z całą pewnością trzeba koniecznie zbierać i studiować świadectwa tych, którzy otarli się o śmierć, tak jak ja to robiłam, to nie upoważniają one do wyciągania wniosków, iż stan przedśmiertny (albo śmierć przejściowa) jest podobny do stanu post-mortem. Jednoznaczność tych świadectw potwierdza, jak się wydaje, prawdziwość istnienia czegoś po życiu. Ale to, że wszyscy, którzy zachowali wspomnienia, mówią to samo o „przejściu” między życiem a śmiercią, nie jest jeszcze dowodem na istnienie „życia pośmiertnego”. A „materialiści” i „niedowiarkowie” zawsze będą mogli udowodnić, że życie zatrzymuje się w dosłownym znaczeniu tego słowa z chwilą ostatecznego ustania pracy mózgu, a więc funkcji psychicznych.

Można im jednak zawsze odpowiedzieć, że po stwierdzeniu stanu „śmierci klinicznej” (płaski wykres elektroencefalogramu i EKG) upływa 3–6 minut zanim wstrzymanie odżywiania (a więc i doprowadzania tlenu) komórek mózgu, który mózgowy czy głębiej położonych spowoduje „śmierć biologiczną”. W razie szybkiej reanimacji komórki wznowiają swe czynności i świadek może podzielić się swoim doświadczeniem z tego okresu po-życiu. W razie niereanimowania, będzie to naturalnie niemożliwe. I nie będziemy więc mogli twierdzić, iż zmarły ten nie przeżył tej samej drogi i nie miał tych samych spotkań jak te, które opisują ci, którzy „powrócili”. Tych kilka chwil, jakie mózg przeżywa autonomicznie nie stanowi więc ani wyjaśnienia, ani tym bardziej zaprzeczenia tego, czego — jak twierdzą — doświadczyli na sobie świadkowie „pośmiertnego życia”.

Pozostaje sprawa wizji w chwili śmierci. Gdyby udało się udowodnić, że nie są to halucynacje ani projekcje mózgu, że nie są one spowodowane żadnym uszkodzeniem mózgu ani żadnymi zmianami mózgowymi, ale są rzeczywiście wyraźnymi „istotami”, jakimi nieuchwytnymi „pozostałościami” osób już zmarłych, to wówczas niezaprzeczalnie mielibyśmy dowód dalszego życia. Być może, dedukowanie lub twierdzenie na podstawie tych świadectw, że istnieje jakieś życie pośmiertne byłoby czymś pochopnym i z naszej strony zarozumiałym. Jednakże postępy w metodach reanimacji oraz coraz bardziej pogłębione badania stanów granicznych i mechanizmów mózgowych pozwalają dziś odzyskiwać „świadków” i próbować ich zrozumieć; są to dwa zabiegi, które jeszcze przed zaledwie 50 laty były dla nas absolutnie niemożliwe. Z pewnością wiadomo, jak zawodne są świadectwa ludzkie. To, że są one niepewne nie znaczy jednak, że wszystkie one są nie do przyjęcia. Dlaczego nie mielibyśmy zbadać oświadczeń tych, którzy w dobrej wierze mówią, że widzieli, słyszeli, czuli, dotykali tamtego świata, że rozkoszowali się nim?

CZY PRZEŻYC ŚMIERĆ ZNACZY PAMIĘTAĆ?

A oto co mówi na ten temat prof. Babischong:

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że dla anatomii śmierć oznacza całkowitą śmierć człowieka. Komórki wymagają stałego zasilania, w szczególności w krew. Kiedy ustaje odżywianie komórek, mogą one jeszcze przez jakiś czas żyć, ale ten czas, u każdej jednostki innej, na ogół jest bardzo krótki. Żadna komórka nie żyje długo, jest to sprawa godzin. Dodam też — ponieważ trzeba to

powiedzieć wyraźnie — że koma nie jest tym samym, co śmierć. Jest ona stanem zaburzeń psychicznych, które sprawiają, iż świadomość jest przez pewien czas zamknięta, ale nie jest to bynajmniej śmierć, która jest naprawdę niebytem. Z tego też powodu wszystko, co się mówi lub pisze o świadectwach jakiegos życia po śmierci pochodzących od osób, które były w stanie śpiączki nie ma, moim zdaniem, żadnej wartości naukowej. Z drugiej strony, biologicznie rzecz biorąc, nie można ani udowodnić, ani też dopuścić tego, że po przekroczeniu progu śmierci u danej jednostki występują jeszcze jakieś czynności psychiczne, gdyż śmierć mózgu oznacza śmierć ducha. Najświeższe badania neurofizjologiczne wykazują, że mózg jest wystarczająco złożony, by wyjaśnić wszelkie życie psychiczne. Jeżeli czynności mózgu ustają, również duch umiera.

Jednakże, badając tę zadziwiającą machinę biologiczną, jaką jest człowiek, można spostrzec, że w biologii wszystko zostało zrobione w taki sposób, by każdy osobnik był czymś niepowtarzalnym w historii świata. Jest to nadzwyczaj ważne. Każdy z nas jest egzemplarzem absolutnie niepowtarzalnym. Zmienność genetyczna gatunku jest tak wielka, że szacuje się, iż różnych wariantów wystarczałoby dla 17.000 razy więcej ludzi niż liczy obecnie ludzkość świata.

Możliwe kombinacje spermatozoidów i jajeczek są praktycznie czymś nieskończonym, w każdym bądź razie jest ich taki bezmiar, że mogłyby pokryć zapotrzebowanie całej historii ludzkości. Obserwowanie tego nadzwyczaj złożonego i inteligentnego systemu — ale oczywiście niedoskonałego, skoro człowieką cześć śmierć — dostrzeganie tego zapamiętaniego dążenia do jednostkowej identyfikacji uprawnia do opinii, iż najbardziej prawdopodobną hipotezą jest, że dla tego systemu „przewidziano” na po-śmierci coś innego.

Jeżeli jest jakaś forma dalszego życia, to nie musi ona natychmiast docierać do świata, który znamy dzisiaj. Można jedynie żywić nadzieję, iż pewnego dnia, na podstawie identyfikacji każdej istoty, a więc niewątpliwie na podstawie tej „karty pamięciowej”, jaką jest dusza, rzeczywiście nastąpi jakieś ponowne stworzenie, jakieś odzwierciedlenie innego już świata.

Dusza bowiem — której nie należy mylić z duchem — bynajmniej nie jest pojęciem biologicznym i może być jedynie zasadą indywidualnej identyfikacji. Można ją więc uważać za „kartę pamięciową” zdolną przechować wszystkie główne elementy naszego życia. Oczywiście, tym co wydaje się ewidentne na płaszczyźnie biologicznej jest fakt, że kiedy trwamy w naszej skali czasu, w skali czasu istniejącego obecnie świata, ludzie, którzy nas w śmierci poprzedzili, zniknęli już całkowicie. Ale to, co może istnieć poza naszym dotykającym i postrzegającym światem całkowicie się nam wymyka, ponieważ nasze środki badawcze nigdy nam nie pozwolą zdobyć dowodu na istnienie tego czegoś. Jedyną hipotezą, na jaką możemy sobie pozwolić jest to, że dusza będąca zasadą indywidualnej identyfikacji — o ile istnieje jako taka w systemie, który się nam wymyka (i który niewątpliwie ma inną skalę) — może powrócić w formie innego życia, które będzie miało nowy kształt materialny.

Rzecz paradoksalna, ale sędzę, że w miarę postępu nauki możemy dojść do odkrycia, że początkiem systemu życiowego może być przypadek; odwrotnie, możemy dojść do wniosku, iż rzeczywiście istnieje jakiś „budowniczy”. Ze swej strony widzę w tym wielkie objawienie nauki najbliższych lat. Jednak większość naukowców nie odważa się jeszcze wypowiedzieć tego, co mnie wydaje się oczywiste.

Stojąc na pozycjach obserwacji naukowej, niezależnie od wszelkich względów czy rozumowania intelektualnego, nie można uzyskać obiektywnych dowodów istnienia życia pośmiertnego. Można jednak stwierdzić, że najbardziej trafiającym do przekonania prawdopodobieństwem jest przypuszczenie, iż istnieje jakieś przedłużenie życia o czas nieokreślony, którego znać nie możemy. Być może, człowiek jest stworzony na nowo, w postaci niewątpliwie odmiennej, o której zresztą nie możemy mieć żadnego pojęcia. Jedno, co można powiedzieć to to, że jeżeli w ogóle jakaś jednostka, która miała swą przeszłość, życie, czynności, jest tworzona od nowa, to zachowuje ona swą jednostkową tożsamość. Jeżeli jesteśmy tworzeni na nowo i nie jesteśmy już samymi sobą, to w ogóle przestaje nas interesować, czy istnieje jakieś życie pośmiertne, czy też nie istnieje.

Reasumując, tym co — moim zdaniem — przemawia na rzecz hipotez o życiu pośmiertnym jest to, co odkrywa biologia: na płaszczyźnie, która się nam wymyka, wszystko zostało przewidziane ku chwale człowieka.



We Francji palacz przestał już być bonaterem. Teraz uważa się go za słabeusza i pokazuje palcem. Medycyna, moralność społeczna i obyczaje są przeciwko niemu.

Przez całe dziesięciolecie palacze narzucali innym swe przyzwyczajenia. Teraz jednak znaleźli się w nuijszości. Uważa się ich za istoty niemoralne pod względem społecznym, a równocześnie za niebezpieczne. Dziewięciu kierowców taksówki na dziesięciu odmawia im swych usług. Stewardesy odsyłają na sam koniec samolotu tych, którzy muszą palić i nie szczędzą słów krytyki jeśli się gają po papierosa, fajkę lub cygaro. Palacze nie dopuszcza się nawet do sieci drobnych ogłoszeń miłosnych.

Gdzie palacz może się schronić przed napaściami? W restauracji? Sąsiedzi palacza bardzo szybko dadzą mu do zrozumienia, że nie aprobują jego nalogu. Jeden ostentacyjnie rozewia przed sobą powietrze, inny głośno kaszle, a zdarza się, że trzeci, korzystając z chwili nieuwagi, gasi palaczowi papierosa.

Zaciekle walki o palenie toczą się w biurach i halach produkcyjnych. Likwiduje się popielniczki, nalepia etykietki i plakaty przeciwko paleniu. Równocześnie jednak trzeba pamiętać, że mnożą się postulaty załóg, aby w zakładach produkcyjnych usprawniono wentylację.

Zmieniły się czasy. Nie można już liczyć na pobłażliwość niepalących. Ta rewolta, która zmusza palaczy do odwrotu, nie wynika z żadnych nowych decyzji. Ustawodawstwo dotyczące palenia papierosów i reklamowania tytoniu pochodzi sprzed dziesięciu lat. Niczego nowego nie wprowadzono od czasu, gdy pani Simone Veil — wówczas minister zdrowia — przeforsowała swą ustawę antynikotynową w 1976 roku. Wydano tylko parę okólników, by przypomnieć stare postanowienia. W marcu minister oświaty przypomniał dyrektorom szkół średnich i rektorom uniwersytetów, że ich obowiązkiem jest zastosowanie tej ustawy i że uczniowie i studenci, którzy nie palą mogą czuć nad jej realizacją. Wszystko dzieje się tak, jakby przeciwnicy palenia zdali sobie sprawę ze swych wpływów i spontanicznie opanowali władzę administracyjną.

W praktyce wystarczyło jedno pokolenie, aby zmieniła się postawa społeczeństwa. Claude Villain, który kieruje departamentem badań naukowych w Komitecie na rzecz krzewienia zdrowia, wyjaśnia to zjawisko naturalnym zmniejszeniem. 30 procent mężczyzn poznało smak tytoniu. Ustawa pani Veil, ogólnokrajowe kampanie informacyjne, popularność sportu — wszystko to przyczyniło się do nasilenia walki z paleniem.

FAKTY

● Statystyczny Polak wypala rocznie ok. 3 tys. papierosów, czyli 2,8 kg suchego tytoniu.

● Nalogowych palaczy jest ok. 12 mln. Stale pali niemal co drugi 14-letni chłopiec, co czwarta 14-letnia dziewczyna.

● Palenie papierosów jest główną przyczyną chorób serca, choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy, powoduje przewlekłe nieżyty oskrzeli, generalnie obniża odporność organizmu na wszelkiego rodzaju zagrożenia chorobowe.

● Seksuolodzy twierdzą, że kobiety mające za partnerów nalogowych palaczy znacznie częściej narzekają na brak satysfakcji erotycznej.

● W 1981 roku ok. 37 proc. wszystkich nowotworów złośliwych u mężczyzn spowodowanych było paleniem tytoniu (u kobiet — 12 proc.).

● Według szacunkowych obliczeń straty wynikające z absencji chorobowej, kosztów leczenia i przedwczesnej umieralności osób palących wielokrotnie przewyższają dochody monopolu tytoniowego.

● Nie ma polskiej normy określającej dopuszczalną zawartość związków toksycznych w produkowanych u nas papierosach. Badania porównawcze dowodzą, że nasze papierosy są najbardziej szkodliwe.

W 1976 roku paliło 44 procent Francuzów. W 1982 r. było ich już tylko 37 procent i procent ten byłby jeszcze mniejszy, gdyby fala nikotyny nie ogarnęła części kobiet i młodzieży. Najwięcej palaczy jest teraz wśród ludzi poniżej 25 lat. Wraz z wiekiem palaczy jest coraz mniej.

Wprawdzie palaczy jest mniej, ale palą za to więcej. Stąd bierze się wzrost

wiedzy, że chodzi tu o 16 papierosów dziennie — rzucenie palenia jest już aktem bohaterstwa.

Ekspersi nakreślili portret tych odważnych, którzy gotowi są rzucić palenie. Ci, którzy chcą narzucić sobie taką ascezę, są raczej ludźmi wywodzącymi się z kadr administracyjno-technicznych niż robotnikami. Są to raczej mężczyźni niż kobiety. Mają raczej 40 niż 20 lat. Trzeba jednak poddać ten obraz pewnym retuszom. Pojawiają się bowiem nowe grupy ogarnięte tym nalogiem. Tak dzieje się z młodzieżą między 12 a 18 rokiem życia. W 1977 roku aż 46 procent młodzieży paliło papierosy. Stopniowo nastąpił spadek procentowy i w 1983 roku palących było 32 procent. Jeśli chodzi o kobiety, to co druga rzuca palenie w chwili, gdy po raz pierwszy jest w ciąży.

Badania medyczne koncentrują się teraz na innych problemach. Specjaliści początkowo zajmowali się badaniem szkodliwości tytoniu. Dziś interesują się przede wszystkim wpływem palenia na otoczenie. Czy istnieje coś takiego jak bierne palenie? Jest to najważniejsza kwe-

stia od kiedy odkryto wpływ palenia na zdrowie innych.

Profesor Chretien zwraca uwagę, że palenie przynosi szkodę innym. Tak np. tytoń wchłaniany przez kobietę ciężarną szkodzi zdrowiu przyszłego dziecka. Może to również doprowadzić do przedwczesnego porodu. Dzieci dorastające wśród ludzi palących są wrażliwe na nieżyt dróg oddechowych. Stwierdzono też nie normalnie wysoki poziom zachorowań na raka płuc u kobiet, które wprawdzie nie palą, ale których małżonkowie są nalogowymi palaczami. Reasumując, jeśli ktoś pali w towarzystwie innych, to naraża tym samym ich zdrowie.

Zdecydowana większość lekarzy podziela to stanowisko. Środki masowego przekazu spopularyzowały te tezy, a to wpłynęło na postawę społeczeństwa. Palacze znaleźli się w kłopotliwej sytuacji, poculi się winni i opuścili głowy. Cieszą się teraz przeciwnicy palenia. Jest ich coraz więcej. Czekali tylko na argumenty lekarzy, aby domagać się ochrony własnych płuc. Wszystko to wyjaśnia nową postawę społeczeństwa. Całe społeczeństwo ponosi koszty palenia a ocenia się je na 80 miliardów franków, podczas gdy wpływy z tytoniu w formie podatków wynoszą tylko 25 miliardów. Przeciwnicy palenia są wzburzeni, że z własnej kieszeni pokrywają koszty nalogu innych.

Z różnym nasileniem — słabym we Francji, ale bardzo poważnym w St. Zjednoczonych — ta fronda ogarnia cały świat uprzemysłowiony. Londyn, Sztok-

tuja pracodawcę. Koncern Goodyear uważa, że straty spowodowane przez palaczy w siedzibie administracyjnej (pracuje tu 3 tysiące ludzi) wynoszą 2 miliony dolarów rocznie. Palący dwa razy częściej nie stawiają się w pracy z powodu chorób. Palacze trzy razy częściej korzystają z wcześniejszej emerytury. Ustalono nawet, że marnują 6 proc. czasu na zapalenie papierosa i szukanie zapalek.

Już wkrótce palacze będą mieli kłopot ze znalezieniem pracy — przewiduje prezes koncernu Goodyear. Przypadek Radar Electric skłania do traktowania tej prognozy serio. Firma poddała swój personel specjalnym badaniom, w tym także na temat palenia. Ci, którzy przynależeli do nalogu, zostali zwolnieni z pracy. W tych warunkach łatwo zrozumieć, że liczba palących znacznie spadła. Pozostało tylko 29 procent. Pozwolono im palić tylko w odległym kąciaku nazywanym ironicznie „rejonem śmierci”.

W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi Francja jest jeszcze rejonem dla palaczy. I tu wprawdzie coraz częściej protestuje się przeciw nalogowi, ale nie ma jeszcze odpowiednich ustaw. Nie ma też potężnych grup nacisku, które przeforsowałyby zaostreżenie przepisów prawa. We Francji tego rodzaju krucjatę prowadzą dwa stowarzyszenia, ale liczba ich członków jest niewielka. Ani jedno, ani drugie nie ma takich wpływów jak amerykańskie lobby antytytoniowe.

Opracował: (A. B.)

Dziękuję, nie palę

RADY

Z myślą o tych, którzy zdają sobie sprawę ze szkodliwości palenia a nie mają jednak silnej woli, aby „po męsku” skończyć z nalogiem — podajemy kilka praktycznych rad, jak ograniczyć szkodliwe skutki palenia:

● starajmy się nie palić na ezezo, nie zaciagać się głęboko, ani nie przetrzymywać zbyt długo dymu w płucach,

● palić należy jak najwolniej, po każdym pociągnięciu odkładamy papierosa do popielniczki,

● wybierajmy papierosy z filtrem, tzw. słabsze i palajmy je najwyżej do dwóch trzecich długości,

● picie płynów, szczególnie alkoholu w czasie palenia znacznie zwiększa ilość wchłanianych przez organizm trujących związków; jeśli już zwyczajowy papieros do kawy to raczej po wypiciu kawy niż w trakcie,

● dobre rezultaty daje wyliczanie sobie papierosów, które w ciągu dnia wypaliliśmy (a może przyjąć zasadę: papieros co godzinę lub co pół godziny, nie częściej),

● starajmy się nie sięgać po papierosa odruchowo, niech każde zapalenie papierosa będzie świadomą decyzją,

● częstowanie innych papierosami, wbrew pozorom, nie należy do tzw. dobrych manier; dużym nietaktem jest zapalenie papierosa w mieszkaniu niepalących, szczególnie w obecności małych dzieci, podobnie w cudzym samochodzie.

Palacze, którzy chcieliby skorzystać z życzliwej i fachowej porady lekarskiej, mogą taką uzyskać w jednej z wymienionych Poradni Odwykowych dla Palaczy Tytoniu: Legnica — ul. Hutników 3, tel. 270-31, wtorki i piątki w godz. 12-14, Głogów — ul. Kollataja 5, tel. 320-86, poniedziałki i czwartki w godz. 10-12, Jawor — ul. Armii Czerwonej 10, tel. 86-30-11, piątki w godz. 15-21, Lubin — ul. 1 Maja 14, tel. 44-17-06, czwartki w godz. 13-15, Złotoryja — pl. Zwycięzców 7, tel. 83-362, codziennie w godz. 8-11.

liczby sprzedanych papierosów. W 1984 roku sprzedano ich blisko 90 miliardów sztuk podczas gdy w 1976 roku 81 miliardów. Można powiedzieć, że chociaż palaczy jest mniej, to przecież zatrważają się oni w coraz większym stopniu. Po przekroczeniu pewnego poziomu — po-

tuja pracodawcę. Koncern Goodyear uważa, że straty spowodowane przez palaczy w siedzibie administracyjnej (pracuje tu 3 tysiące ludzi) wynoszą 2 miliony dolarów rocznie. Palący dwa razy częściej nie stawiają się w pracy z powodu chorób. Palacze trzy razy częściej korzystają z wcześniejszej emerytury. Ustalono nawet, że marnują 6 proc. czasu na zapalenie papierosa i szukanie zapalek.

Już wkrótce palacze będą mieli kłopot ze znalezieniem pracy — przewiduje prezes koncernu Goodyear. Przypadek Radar Electric skłania do traktowania tej prognozy serio. Firma poddała swój personel specjalnym badaniom, w tym także na temat palenia. Ci, którzy przynależeli do nalogu, zostali zwolnieni z pracy. W tych warunkach łatwo zrozumieć, że liczba palących znacznie spadła. Pozostało tylko 29 procent. Pozwolono im palić tylko w odległym kąciaku nazywanym ironicznie „rejonem śmierci”.

W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi Francja jest jeszcze rejonem dla palaczy. I tu wprawdzie coraz częściej protestuje się przeciw nalogowi, ale nie ma jeszcze odpowiednich ustaw. Nie ma też potężnych grup nacisku, które przeforsowałyby zaostreżenie przepisów prawa. We Francji tego rodzaju krucjatę prowadzą dwa stowarzyszenia, ale liczba ich członków jest niewielka. Ani jedno, ani drugie nie ma takich wpływów jak amerykańskie lobby antytytoniowe.

Opracował: (A. B.)



Piątka w lotka

Jeremy Irvin należał do tej grupy emerytów, którzy właściwie nie bardzo wiedzą co ze sobą począć i w rezultacie cały wolny czas spędzają w pierwszym lepszym barze.

W przypadku Jeremy'ego był to bar Swarta. Bar! — zbyt szumne wyrażenie dla tej ponurej, ciemnej szopy z luzimem krzesel przed ladą i właścicielem z drugiej jej strony...

Naturalnie Jeremy codziennie zjawiał się tam niesłychanie punktualnie — o godzinie szesnastej. Tuż po nim przychodzili tu inni stali bywalcy, którzy po pracy wpadali na piwo... Wówczas Jeremy podchodził do któregoś z nich i zaczynał rozmowę o czymkolwiek. Należy jeszcze dodać, że było mu absolutnie obojętne czy znał tego człowieka, czy nie... Po prostu musiał z kimś rozmawiać... A gdy już raz zaczął gadać, nie mógł przestać... Zawsze też opowiadał o jednym i tym samym. Przede wszystkim, że bardzo mu się podoba ta okolica i że (co za cudowny zbieg okoliczności) klimat ma dobroczynny wpływ na jego bole kręgosłupa... Rozpływał się też nad zaskakująco niskim czynszem za mieszkanie... Wszyscy znali już na pamięć jego opowieści i mieli ich serdecznie dosyć. A Jeremy mieszkając tu już przez pięć lat. Czy można się więc dziwić, że nawet najcierpliwszy człowiek unikał Jeremy'ego jak ognia?

...Było jednak coś, co uciszało Jeremy'ego, przynajmniej na jakiś czas. Tym „uspokajającym” środkiem był wódka, oczywiście, przez kogoś zafundowana. Jedynie whisky z odrobiną wody uciszała jego paplaninę. Gdy jednak wypił, znów zaczynał swój monolog, a wówczas zawsze znalazł się ktoś, kto stawiał mu jeszcze jednego drinka. W ten sposób Jeremy upijał się dosyć prędko, a reszta gości w barze miała wreszcie spokój...

Nie będę ukrywał, że zawsze ze współczuciem przypatrywałem się tej walce Jeremy'ego o prawo do życia... Biedak nigdy nie miał dość pieniędzy, by zafundować sobie whisky... Nie miał przyjaciół, z którymi mógłby porozmawiać... Wydaje mi się, że nie miał też żadnych krewnych, choć któregoś dnia wspominał o siostrze, która mieszkała w Jersey, a z którą nigdy nie mógł znaleźć wspólnego języka...

Patrząc na Jeremy'ego, mimo woli, zacząłem rozmyślać nad kolejami mojego własnego życia...

Kto wie, a może i mnie oczekuje taki sam marny los, gdy tylko przestanę pracować w domu towarowym? Któż może z góry wiedzieć, co go w przyszłości czeka?...

Mimowolnie, jakby chcąc sobie kupić lepszą dolę na starość, zacząłem być dla Jeremy'ego bardziej uprzejmy niż inni... Prędko okazało się, że był to olbrzymi błąd z mojej strony, gdyż Jeremy nie miał zamiaru odczepić się ode mnie...

Któregoś popołudnia, z wdzięczności za okazaną mu cierpliwość koniecznie chciałem mu podarować stary, zniszczony rupież — szczyryk nie nadający się już chyba do niczego... Wszyscy wokół śmiali się z tego „nieoceniszonego prezentu”. Kpiny rozniewały mnie. Trzepnąłem szczyrykiem w stronę starego i poradziłem nieprzyjemnym tonem, aby nie robił ze siebie większego głupka...

Po dwóch tygodniach Jeremy już nie żył, a ja nie mogłem sobie darować moich grubiańskich słów... Żal mi było biedaka, który zginął w tak głupi sposób... Ale sam sobie był winien...

Zwykle po zamknięciu baru, pijanego Jeremy'ego odwoził do domu swoim samochodem Richard Swart. Tego feralnego wieczoru Jeremy wymknął się jednak sam i tuż przed nędznym domem, w którym mieszkał, potrafił go jakiś samochód... Jeremy zginął na miejscu... Miałem chyba wyrzuty sumienia przez tamtą historię ze szczyrykiem, bo zrobi-

łem wszystko, aby biedak miał porządek pogrzeb...

Najpierw poszedłem do tej nędznej klitki, w której mieszkał, a której nigdy nie zamykał na klucz i znalazłem jakieś ubranie, w które go ubraliśmy... Zauważyłem też leżący na okiennym parapiecie notes, w którym były tylko dwie notatki: numer telefonu baru Swarta i adres siostry Jeremy'ego w Jersey. Dopiero teraz dowiedziałem się, że mieszka w domu starców...

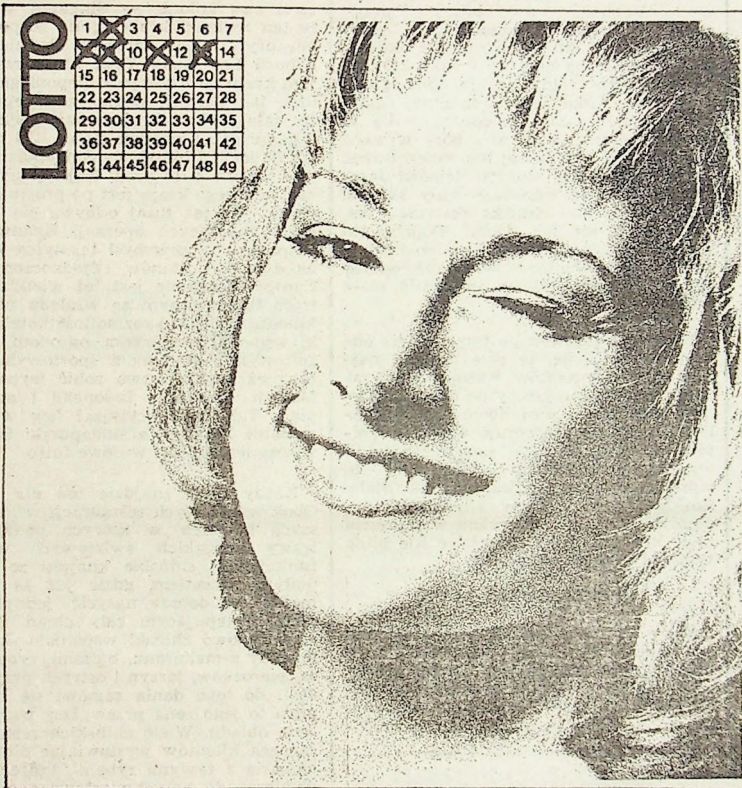
Na pogrzeb Jeremy'ego, poza mną, przyszedł Richard Swart. Prócz nas dwóch byli jeszcze proboszcz i grabarz...

W czwórkę spuściliśmy trumnę do grobu, książdź szybko odmówił najkrótszą modlitwę, jaką kiedykolwiek słyszałem, a grabarz równie szybko wykonał swoją powinność...

W ten sposób na cmentarzu przybyła jeszcze jedna cementowa płyta z nic nie mówiącym większości ludzi nazwiskiem... Jeremy zniknął z naszego życia tak nagle, jak się pojawił...

Byłem przekonany, że Jeremy zasłużył sobie na znacznie więcej. Kupiłem mały, marmurowy kamień i kazałem wyrzeć na nim pełne imię i nazwisko staruszka, a także datę jego urodzenia i śmierci.

1	2	3	4	5	6	7
8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28
29	30	31	32	33	34	35
36	37	38	39	40	41	42
43	44	45	46	47	48	49



W sobotę moje zamówienie było już wykonane. Z trudem zaciągnąłem kamień na cmentarz i ustawiłem na grobie Jeremy'ego.

Potem poszedłem tam dłuższą chwilę i myślałem o tym nieszczęśliwym, jakże samotnym biedaku...

Później, jak każdej soboty o tej porze wybrałem się do baru Swarta na piwo... Zasłużyłem na nie rzetelnie. Ostatecznie w tym mijającym tygodniu wpisałem na swoje konto prawdziwy dobry uczynek...

W barze było już o tej porze prawie pełno i jak zwykle większość gości tępo wpatrywała się w ekran telewizyjny, na którym migotał właśnie jakiś prastary western.

O godzinie czternastej przerwano projekcję filmu, aby ogłosić wyniki ciągnięcia lotka.

Na ekranie ukazało się sześć liczb, a wtedy nagle, pewna myśl przeleciała mi przez głowę. Patrzyłem jak zahipnotyzowany: 291108. 29 listopada ósmego

roku. Przecież to data urodzenia Jeremy'ego!

Jak błyskawica przemknęło przez moją głowę wspomnienie, jak to Jeremy opowiadał dookoła, że są to jego „liczby szczęścia” i, że co tydzień skreśla je na kuponie lotka...

Zacząłem gorączkowo liczyć. Ten śmiertelny wypadek był we wtorek. Kupon oddaje się do poniedziałku... A więc i on musiał zostawić swój kupon w kolekturze. I zrobił to na pewno!

Rozgorączkowany spojrzałem na innych w barze. Może poza mną ktoś jeszcze pamięta te liczby?...

Ale na szczęście nie na to nie wskazywało. Wszyscy znów gapił się w ekran, na którym banda opryszków przygotowywała zasadzkę na szlachetnego szeryfa.

Niepostrzeżenie wymknąłem się z baru i popędziłem do nory Jeremy'ego. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, jak tylko o liczbach 2, 9, 11, 08. Jednocześnie kołatałem mi po głowie czterysta tysięcy dolarów — wygrana za te trafnie skreślone liczby.

Byłem w stu procentach pewien, że już tylko godziny dzieli mnie od bogactwa...

Odcinek lotka leżał w szufladzie stołu. Właśnie z zapałym tchem porównywałem liczby, gdy nagle usłyszałem za sobą jakiś szmer.

Odrzuciłem się jak oparzony. Przede mną stał Richard Swart z lułą pistoletu skierowaną wprost w moją pierś...

W poniedziałek rano przechodząc obok kiosku z gazetami zauważyłem w kadej z nich twarz Richarda Swarta. Z artykułu obok można się było dowiedzieć, że znaleziono go zakutego nożem w walającą się ruderze na przedmieściu.

Nie było tam ani słowa ani o kuponie lotka, ani o ewentualnych podejrzeniach policji. Wyglądało na to, że wszystko przeszukano, ale nie znaleziono żadnych śladów... Żadnych śladów, a więc i odcinka z trafnie wytypowanymi liczbami!

Gdzie więc, u licha, był ten odcinek?! W pewnym momencie naszło mnie ośnienie. Mało nie krzyknąłem na cały głos! Z pewnością ten kawalek, jakże dla mnie cenny, papieru znajdował się w ubranii, w którym pochowałem Jeremy'ego!

Policja zatrzymała mnie w chwili, gdy wypożyczałem niewielkie urządzenie służące kamieniarzowi do podnoszenia kamiennych płyt.

Zakuty w kajdanki stanąłem przed obliczem szeryfa...

Oskarżono mnie o zabójstwo Richarda Swarta.

Proces sądowy przebiegał szybko i sprawnie. Zanim się opamiętałem, kazało mi wstać i ogłoszono wyrok: elektryczne krzesło.

Brakowało jeszcze tylko siedmiu dni do wykonania wyroku, kiedy odwiedził mnie jakiś nieznamy facet. Okazało się, że jest to adwokat, który przyszedł, aby mnie poinformować, że Jeremy zostawił testament, na mocy którego zostałem jego jedynym spadkobiercą.

Byłem niepomniernie zaskoczony, tak że nawet adwokat ubawił się moją nieświadomością. Pomyślałem wtedy z sentymentem, ale i z żalem, że pewnie Jeremy milczał, bo nie wysłuchałem go któregoś razu dosyć cierpliwie...

Adwokat wręczył mi portfel Jeremy'ego, w którym znajdował się troskliwie złożony odcinek lotka... Ten, którego tak poszukiwałem i dla którego stałem się mordercą...

Cóż mi teraz pozostało? Włożyłem odcinek do koperty, którą zaadresowałem do Emily Irvin w Jersey...

Ten ostatni tydzień włókł się w nieskończoność. Dzień przed wykonaniem wyroku strażnik Clarence przyniósł mi list zaadresowany do siostry Jeremy'ego z adnotacją: „Adresat zmarł”.

Zawołałem więc Clarence'a i podarowałem mu ten odcinek lotka, a razem z nim kilkaset tysięcy dolarów.

Godzinę później miałem odwiedzić mego adwokata i dziwnie radośnie uśmiechniętego, jak na okoliczność.

Chwilę potem i ja szczyrzyłem zębami w uśmiechu od ucha do ucha. Okazało się, że znalazły się przyczyny, dla których postanowiono na nowo wsząć postępowanie sądowe.

Ku własnemu zdumieniu to nie ja byłem mordercą, a agent lotka z kolektury, w której Jeremy co tydzień zostawiał swój kupon. Policja znalazła u tego faceta pistolet i kilka drobniaków Richarda Swarta! Ten agent przylazł właśnie do mieszkania Jeremy'ego, aby znaleźć szczęśliwy odcinek. Został tam lekki rannego Swarta przeszukującego pokój centymetr po centymetrze... Szczyryk Jeremy'ego został użyty przez agenta kilkakrotnie i skutecznie...

Trzy tygodnie później byłem już wolnym człowiekiem i natychmiast zacząłem poszukiwać Clarence'a. Nie miałem żadnych wątpliwości, że podzielił się ze mną wygraną, jaką zainkasował dzięki mojemu odcinkowi.

Wreszcie znalazłem go w pewnym barze.

Miał na sobie nowiutkie, eleganckie i pewnie pięknie drogie ubranie. Teraz już wiedziałem, że ten rolls zaparkowany przed barem też do niego należy...

Z trudem przedarłem się do niego przez tłum wystraszonych dziewczyn... Od razu mnie poznał i pogratulował niewinnienia.

Wy tłumaczyłem mu dokładnie, dlaczego musiałem go odszukać. Wysłuchał mnie ze stoickim spokojem. Potem uśmiechnął się, popił ze swej szlanczki... Poczułem nagle, że traktuje mnie jak powierze.

Później skinął na barmana i niedbale wskazał palcem na mnie.

Po chwili zorientowałem się, że postawił mi drinka...

Whisky z wodą sodową...

W Moskwie w połowie grudnia mróz —15 st. C. Wylatujemy z lotniska Szeremietiewo II do Indii i Singapuru. Gdy po kilkunastu godzinach lotu i podziwianiu całego łańcucha Himalajów kołujemy nad Singapurem stewardesa zapowiada temperaturę plus 30°C. Jest godzina 17, słońce chyli się ku zachodowi. Przez mgły majaczy delta wielkiej rzeki i olbrzymi port (drugi co do wielkości w świecie) z niezliczoną ilością statków i stateczków. Siadamy miękko na pasie i samolot kołuje pod rękaw. Ruchomymi gumowymi chodnikami pasażerowie przenoszą się do sal tranzytowych, bardzo obszerne, w których usytuowano wygodne miejsca do siedzenia i leżenia.

Piękne sklepy strefy wolnościowej wabią mnogością wyrobów z kamieni półszlachetnych, piękną biżuterią i najwyszukawszymi alkoholami. Cały gmach portu lotniczego wyłożony jest szarym szlifowanym marmurem. Posadzki, ściany, ławeczki błyszczą czystością. Tę szarość ubarwiają gazony storczyków, które zroszone kroplami wody wyglądają jak sztuczne. W każdym gazonie inny kolor kwiatów: białe, zielone, lilowe. Największą ozdobą tego imponującego wnętrza jest olbrzymia kaskada, płynąca z góry przez wszystkie kondygnacje. Krople wody ściekają z wysokości 15 m tworząc kształt olbrzymiego wałka, a na dole rozbrzyskują się efektownie w sadzawce, której brzegi obrastają orchidee. Dopiero po chwili można się zorientować, że woda ścieka po cienkich szklanych rurkach. Ten port lotniczy uważany za jeden z najpiękniejszych na świecie budowali między innymi polscy inżynierowie żyjący po wojnie na emigracji.

Dworzec jest nie tylko elegancki, ale przede wszystkim funkcjonalny. Pod wiaty na najniższej kondygnacji podjeżdżają miejskie autobusy i taksówki. Właśnie autobusem jedziemy w stronę centrum szeroka aleja w szybko zapadającej tropikalnej nocy. Jest godzina 18. Trotuar lśni obmyty ulewem deszczem a jego boki okalają rozrzucone krzewy amarantowych bugenvillii. Miasto jarzy się różnobarwnymi neonami. W centrum blisko wielkich domów towarowych i banków znajdujemy nocleg. Za sześciuosobowy pokój z ubikacją i prysznicem na korytarzu płacimy 9 dolarów singapurskich od osoby (4 dol. USA). Hotelik ten prowadzi Chińczyk, jeszcze tańsze noclegi można dostać na podłodze, tak właśnie nocują grupy młodzieży japońskiej i australijskiej, okupując korytarze wyższych pięter. Spiać na materacach we własnych śpiworach i na podłodze rozkładają swoje kuchenki butanowe, aby przygotować posiłek.

SPACER PO WIECZORNYM MIEŚCIE, pomimo upału wprowadza nas w nastrój Bożego Narodzenia. Przed wszystkimi sklepami stoją przeróżne choinki. Naj-

Świąteczny Singapur

Elżbieta Pomorska

(Korespondencja własna)

częściej wykonane z tektury lub styropianu, całe obwieszone świecidełkami i lampkami, a także śniegowymi gwiazdkami. Wokoło nich wysypany sztuczny śnieg. W domach towarowych od parteru do najwyższych pięter choinki wykonane ze światełek migają wabiąc klientów. Olbrzymie postacie Mikołajów oferują przeróżne prezenty. Na wszystkich wystawach towary, które mogą się świetnie nadać jako podarki bożonarodzeniowe. Na specjalnych stoiskach — kartki świąteczne, papiery i pudełka do pakowania prezentów, wstążki, Mikołaje, gwiazdki itp. drobiazgi.

Singapur liczący obecnie około 2,5 mln ludności jest republiką-miastem, leżącym na jednej dużej i 54 maleńkich wyspach. Ludność składa się w 76 proc. z Chińczyków, 15 proc. Malajów, 7 proc. Hindusów i Pakistańczyków i 2 proc. Europejczyków. Iluż więc tu może być katolików, którzy świętują Boże Narodzenie? Ale wydaje się, że świętują go tu wszyscy. I figuruje ono w kalendarzu oficjalnych świąt. Niewątpliwie korzystają na tym dzieci, otrzymując prezenty i handel, który wiele wydaje na reklamę, ale też chyba wiele zarabia.

Z okien naszego hoteliku mamy wspaniały widok na 100-piętrowe wieżowce w centrum, a bliżej przyciąga wzrok pagodowy dach chińskiej świątyni i pod samymi oknami piękny secesyjny dom, ze środka którego wyrasta palma. Gdy się ten oom ogląda z ulicy nie widać jego kompletnej ruiny. Ładna choć trochę zaniedbana willa w powodzi zieleni. Dopiero z góry widać naga prawda. Na naszej Bencool Street jest więcej takich starych domów. Jeszcze na parterze egzystuje mały sklepik z żywnością lub chińska restauracyjka, a dom już nie ma dachu. Dopóki nie wykupi go wielka firma i nie postawi w tym miejscu kolejnego wieżowca, opłaca się za niewielki czynsz prowadzić mały interes.

Podczas wędrówek po tym mieście odnosi się wrażenie, że całe kipi od najsilniejszych interesów. Każdy niemal zakątek jest wykorzystany do handlu; piwnice, przejścia, bramy domów itp. Na ulicach świetnie prosperuje wielu wóźbitów. W tym centrum nowoczesności i wspaniałej organizacji wydaje się to wprost nierealne, że jest ich tak wielu. Rozkładają swoje karty albo zwitki papierów z chińskimi napisami więc muszą mieć klientów, by z czegoś żyć. Nie lubią tylko gdy się ich fotografuje.

WSZĘDZIE JEST RUCH.

Coś się wyburza, coś się remontuje, coś się buduje. Praca na budowach trwa dzień i noc. Miejsce jest bardzo drogie, musi się więc szybko amortyzować. Olbrzymie reflektory oświetlają budowy. Teren ogranicza się niemal do powierzchni

ni budynku i cały jest bardzo starannie ogrodzony gęstą siatką. Tuż obok chodzą ludzie i jeżdżą samochody. Porządek panuje w całym mieście zadziwiający, a organizacja na budowach wprost zegarmistrzowsko precyzyjna. Sprawnie podjeżdżają ciężarówki wyladowujące materiały, a po ich zużyciu zaraz pojawiają się następne, żadnych korków, żadnych przestojów, żadnego marnotrawstwa, żadnych rozkopanych placów.

Tutaj jeśli jakiś dom popada w ruinę, to bierze go w swoje posiadanie bogata roślinność, która zakrywa bujną zielenią oblażącą farbę i liszaje wilgoci. A zieleni jest rzeczywiście imponująca: wiele gatunków palm, bugenville festonami kwiatów oplatają płoty i niskie murki. W wielu miejscach pachnie niepozornym jaśminem. Na trawnikach rozpościerają się wspaniałe kwitnące krzaki. Przed hotelami i bankami gazony i za wielkimi szklanymi budynkami równie gazony w wielkich ceramicznych pojemnikach, więc ta roślinność z zewnątrz i z wnętrza tworzy ze sobą jedną całość. Rośliny mają tu wspaniałe warunki, gorący klimat i codzienne deszcze, często przechodzące burze.

Gdy w 1966 roku Brytyjczycy opuszczali swą kolonię — Singapur uważali, że ten maleńki kraik zgłnie gospodarczo bez brytyjskiego zaplecza. Premier Singapuru Lee Kuan Yew, który rządzi w tym kraju od uzyskania niepodległości do dziś, tak potrafił pokierować republiką, że stała się ona krajem najszybciej rozwijającym na naszym globie. Od połowy lat 70. dochód narodowy Singapuru wzrastał rocznie o 10 proc. Największym bogactwem tego kraju jest po prostu ludzka praca. Ale też tutaj odbywa się bardzo wiele znaczących operacji finansowych. Ekspansywny przemysł tekstylny opanował rynki Stanów Zjednoczonych i Europy. Singapur jest też wielkim centrum turystycznym ze względu na swój klimat, mnogość i rozmaitość hoteli, dzięki wspaniałym parkom, ogrodom, polom golfowym i stadionom sportowym. Stąd również można łatwo robić wypadki do Malezji, Tajlandii, Indonezji i na Filipiny. Tak więc brytyjski lew wylisiał w dobie kryzysu, a singapurski (sing — znaczy lew) obrócił w nowe futro.

Każdy tutaj znajduje coś dla siebie. Obok wspaniałych restauracji w najdroższych hotelach, w których podają potrawy wszystkich światowych kuchni, funkcjonują chińskie knajpki ze wspaniałym jedzeniem, gdzie już za dolara można się dobrze nasycić, jednym daniem zastępującym cały obiad. To zestaw typowo chiński wspaniałe skomponowany z makaronu, bulionu, ryby, mięsa, pierożków, jarzyn i ostrych przypraw. Jeśli do tego dania zamówi się butelkę piwa to jego cena przewyższy podwójnie cenę obiadu. Wiele chińskich restauracji zachęca klientów wystawiając olbrzymie akwaria z żywymi rybami, które można wybierać do natychmiastowego przyrządzenia. Nawet późna pora nie zniechęca restauratorów do przygotowania posiłku. Jeśli gość płaci, jest gotów pracować.

AMERYKAŃSKI CHARAKTER

Miasto na pierwszy rzut oka ma charakter amerykański. Wpływy Stanów Zjednoczonych widać nie tylko w budownictwie, ale również w kuchni. Wielkie kaczory i litera M reklamują bary McDonalda. Obsługa jest w nich najczęściej młodzieżowa i także klientela. Można w nich zjeść kurczaka z frytkami i hamburgera w bułce. Gdy młody kelner przyniesie zamówione danie, znajdzie się tam również reklama, która zachęca do urządzania urodzin i innych młodzieżowych uroczystości właśnie w barach McDonalda.

Cnoc wieżowce przypominają Nowy Jork, to jednak najpiękniejsze budowle wzniesły tu Japończycy. Należy do nich hotel „Furama”, który, gdy się patrzy od dołu na jego szczyty, przypomina rozwijający się kwiat lotosu i hotel „Nikko” który tworzy imponującą prostą rzeźbę w przestrzeni wykonaną z ciemnego szkła odbijającego światło. Główny budynek jest w formie olbrzymiego wałka, z którego jakby spływa układająca się mięk-

ko olbrzymia szklana ściana tworząca wejście i pomieszczenia recepcyjne, jedyną ozdobą tej skromnej formy jest zieleni zwieszająca się festonami ze środkowych pięter.

Polubiłam wieczorne spacerować po Orchard Road (ulicy Orchidei), ulicy najdroższych hoteli i najdroższych magazynów. Tu najwięcej turystów przyciągają ogrody hotelu, którego zewnętrzne windy zbudowane są z pleksiglasu i podświetlone kolorowymi lampkami. Nocą zabawnie w górę i w dół krążą świetliste kapsuły przypominające latający dywan Sindbada. Właśnie na Orchard, w stoiskach z biżuterią widziałam złote jaja, myślę że one najwymowniej świadczą o tym jakich gości się tu oczekuje.

CHIŃCZYKÓW NAJWIĘCEJ, ALE...

Mimo że Chińczyków tu najwięcej, to w każdym nawet najmniejszym sklepiku można się porozumieć po angielsku. Władze Singapuru boją się chińskich ciągów separatystycznych. Dowodem na to jest m.in. zamknięcie chińskiego uniwersytetu w 1980 r. A mieszkaniac Singapuru może odwiedzić Chiny dopiero wówczas gdy ukończy 45 lat. Władze Singapuru życzyłyby sobie mieć kosmopolityczne społeczeństwo. I chociaż w Singapurze uważa się, że największym bogactwem tego kraju jest człowiek, to jednak nie każdy może się tu osiedlić. Biedak zostanie wydany z republiki po dwu tygodniach, albo znajdzie się w więzieniu. Ale jeśli ktoś dysponuje odpowiednio wielkim kapitałem i może inwestować, to zupełnie co innego. Popiera się tu inicjatywę szczególnie podpartą gotówką.

Kosmopolityzm tego miasta objawia się i w tym że na każdej ulicy jest kościół innej religii, innego wyznania. Zdziwiająco w jakiej zgodzie i harmonii egzystują obok siebie wszyscy bogowie świata.

Zaraz po Bożym Narodzeniu rozpoczyna się następna feeria handlowa. Pretekstem do niej jest Chiński Nowy Rok, który w Singapurze jest chyba największym świętem. Wypada on zwykle w końcu stycznia lub lutym, gdy zaczyna się rok księżycowy. Uśwa się pospiesznie choinki i Mikołaje a na ich miejsce pojawiają się czerwone festony i spirale z ryżowego papieru, które mają odganiać złe duchy, a przyciągać powodzenie. Ruch jest w sklepach ogromny. Wszyscy kupują sezonowe delikatesy i obowiązkowo całe kosze pomarańczy którymi obdarowuje się swoich bliskich na szczęście. Domy i ołtarzyki przodków powinny być udekorowane odświętnie, więc sprzedawcy kwiatów układają najwspanialsze kompozycje, aby zachęcić do kupna swego towaru. Na te święta wszystkie mieszkania i zakątki powinny być czystutko wysprzątane, bo wróży to powodzenie w nowym roku. Pucuje się więc nawet ulice. Każdy w pierwszym dniu świat chciałby paradować w eleganckim, najlepiej zupełnie nowym ubraniu, co też wróży pomyślność, dlatego ulica w tym dniu wygląda rojnie, barwnie i odświętnie. Również bardzo skrupulatnie oddaje się wszelkie długie, aby w to święto wejść bez finansowych obciążeń. Wszyscy spotkani na ulicy są pozdrawiani słowami Gong Xi Fa Cai — co oznacza: szczęścia, pomyślności.

Dzieci i osoby bez małżonków otrzymują od rodziców i krewnych Hong bao — maleńkie czerwone pacuszki zawierające monety i tradycyjne ryżowe ciasteczka. Pierwsze dni świąt spędza się rodzinnie, jedząc wspólne posiłki. Tę okazję wykorzystują wszystkie restauracje Singapuru przedstawiając się na tradycyjne dania chińskiej kuchni. Przyrządzają potrawę z surowych ryb i jarzyn. Najweselejsze jest zakończenie świąt. Na ulicę wylegają tłumy przebrańców. Największym szkiem jest chodzić na szczudłach. Olbrzymie lwy, które tworzą kilka przebranych osób tańczą przy głośnym wtórze bębnow gongów i cymbałów.

Po pobycie w Singapurze doszedł do wniosku, że spotkania w rodzinnym gronie, obdarzanie się upominkami i składanie życzeń są aktualne pod każdą szerokością geograficzną i w każdej religii a więc szczęścia i pomyślności Czytelnikom.



Widok na rzekę Singapur, barki zaopatrujące miasto w żywność.

„Pistolet” to określenie z gwary dziennikarskiej. „Pistolet” to reporter, który jest zawsze tam, gdzie trzeba i przynosi do redakcji wystrzałowy (!) materiał. Do tej pory sądziłem, że mam w krajowej żurnalistyce dwóch „pistoletów”, czyli spółkę z nieograniczoną nieodpowiedzialnością: Marek Kasz/Janusz Atlas. Rewolwerowcy pierwszej wody.

Niestety! Kasz i Atlas to ośeski. Ich czujność na temat, ich wrażliwość i wdech błędna i gaska. Są jedynie księżycowym odbitym światłem

Bo prawdziwy pistolet nie pracuje w tygodniku KULTURA, lecz we wręcz przeciwnym organie. Kasz/Atlas to papierowe tygrysy. Lwi pazur i tygrysi skok oraz uścisk boa-dusiciela ma jedynie ON: Mieczysław R. Olbromski skądinąd autor niedocenionej pozycji beletrystycznej pt. „Plec”. Organ zwie się zaś RZECZYWISTOŚĆ.

Kogóż nasz „pistolero” nie gnębił? Kogo nie rzucił na kolana potęgą swego pióra? Skasował prostytutkę. Zlikwidował badylarstwo. Dopiekł do żywego cinkciarzom. Obnażył kulisy wyborów „Miss Polonia”. Słowem: demon dziennikarstwa

☆

To było nawet do przewidzenia. Po kasacji wszelkich przejawów nieprawości i nieprawidłowości naszego życia społecznego pan M.R.O., zgodnie z prawidłami poprawnego myślenia. MUSAŁ się dobrnąć do... No, do rockmenów rzecz jasna

Metodę obrał najlepszą z możliwych. Tzw. reportaż uczestniczący. Początkowa niejasność kryjąca się w pytaniu: którą grupę rockową pan M.R.O. wybrał na obiekt rozważań dało się rozwiać przy użyciu... prawa prasowego. Cytuje „Oczywiście nie ma mowy o ujawnianiu nazwy grupy, imion i nazwisk, a nawet bardziej znanych pseudonimów”

Spojrzymy jednak okiem czytelnika. Oto jedna z „groupies” (dla czegoś „groupies” a nie „laski”, „miałty” czy „kaszaloty”? Nasi rockmeni używają raczej tych określeń na panienki towarzyszące. Ja wiem dlaczego, ale o tym później). Otóż ta „groupie” dziwnym trafem nazywa się Magi. Czyżby chodziło o AZYL P.? Chyba nie, bo jedna z wokalistek nosi pseudonim Matka. A kogo nazywają Tata, wie każdy miłośnik Lady Pank. Występuje też Menażer. Cecha charakterystyczna (poza pazernością na szmal: lisy ale z broda. Ze znanych mi menażerów tak właśnie wyglądał Jacek Rzechak szef TSA. Mogłby też pasować „menago” RE. PUBLIKI. Ale z kolei jedną z postaci jest też Tekściarz zespołu były niedoceniony poeta, komercyjnie nastawiony na teksty rockowe. To mógłby być... cholera, pasuje mi trzech facetów, ale żaden nie kojarzy się z AZYLEM P. TSA czy REPUBLIKĄ. Wspomniana Matka, którą M.R.O. określa jako „starzejąca się gwiazda punk-rocka” nie pasuje mi w tej układance dokładnie do niczego. W żadnej znaney mi kapeli punkowej nie śpiewa kobieta. Kora? Ależ ona nie jest punk. I nawet nie wygląda

tak krok za krokiem okazuje się, że takiego zespołu po prostu... NIE MA. Został stworzony przez M.R.O. dla konkretnych celów. Jakich?

☆

Już wspomniałem. Chodzi o rozpracowanie kolejnego wrzodu na — poza tym — zdrowym ciele naszej rzeczywistości. Czymże bowiem jest polski rock?

— Po pierwsze — „Wszystko idzie z Zachodu...” A każdy kto orientuje się że RZECZYWISTOŚĆ nie znosi kapitalistycznych miazmatów. Już wie: rocka należy tepić, bo nie ma w nim nic a nie własnego.

— Po drugie — główną specjalnością rockmenów w Polsce jest używanie dziewcz. panien i mężatek. obficie zakrapianych alkoholem. Rzecz jasna — w komfortowych willach. Aż mi dziwno, że jeszcze nie było o narkotykach, ale też jestem spokojny jak mało kto. Narkotyki się pojawiają w kolejnych odcinkach.



— Po trzecie — trudno wykluczyć, że są to anarchiści, którzy tylko z braku bomb biorą „łopaty” do ręki. (Ano właśnie! Skąd te „łopaty”? Nasi muzycy swe instrumenty określają raczej mianem deski” lub „wiosła”?).

Są wszakże tacy, którzy wykorzystują podłe i bezczelnie nastolatki, wciska-

Pistolet

Jerzy J. Kaczmarek

jąc im do głowy hasła buntu i pozogi z chęci zysku. Tu panu M.R.O. mógłby poradzić rzecz taka. Jeżeli sądzi, że w polskich tekstach rockowych tkwi coś obrazoburczego, niech to po prostu wykaże, poprzez ich analizę. Zapewnił, że w wypadku takiej metody nie będzie się musiał „zasłaniać” parawanem prawa prasowego. Wystarczy wziąć to co opublikowane

— Po czwarte — polscy muzycy rockowi to ignoranci popychani do zła przez koniunkturalnych cwaniaków. Rzecz jasna w ich wypowiedziach nie ma nic rozumnego (bo są to ewidentne głupki). Współcześnie panu M.R.O. Jego ciagoty do obnażania głupoty mogą nie pozostać bez wpływu na mentalność autora. W miarę prawa prasowego nie ma tu obrazu, a jedynie przyjacielskie ostrzeżenie

☆

Chciałbym wrócić do owych „groupies” bo mi żyć nie dają. Czemu nie „miałty” „laski” czy „kaszaloty”? Znam środowisko rockowe, może nawet prawie tak dobrze, jak pan M.R.O. i wiem, że byłoby to naturalniejsze. Ale wyjaś-

nienie jest proste. Stosowanie zwrotów anglosaskich jest w myśl kanonów organu reprezentowanego przez M.R.O. wysoce naganne (patrz: po pierwsze...). Lecz jest powód istotniejszy. Znajomość realiów środowiska rockowego przez pana M.R.O. zaczerpnięta jest głównie z LITERATURY, a konkretnie z biografii Hendrixa (panie M.R.O.! — żadna grupa punkowa nie weźmie sobie za idola Hendrixa. Jeżeli już, to raczej DOORS, CLASH, STRANGLERS, SEX PISTOLS. Przy następnym reportażu polecam swe usługi jako konsultant, czy Lennona (stad wątki anarchistyczne) albo Presleya

Pan M.R.O. zdradza w swych przemysleniach daleko idącą ignorancję. Dla niego reggae, country i wszelkie odmiany rocka to różne formy muzyki dyskotekowej. Panie M.R.O.! Gdy zajmował się pan cinkciarzami i dziwkami, to jeszcze mogłem dać panu wiarę. Nie znam tematu, aż tak precyzyjnie jak pan. Ale tu? Pan wybacz; dla kogo pan to pisze? Już nie mówię — specjalści, ale nastolatki pana wygłupiają. No chyba że...

☆

No właśnie. Brak kompetencji to szczeniak. Tu chodzi o coś głębszego. Po prostu o sfilekowanie tego, co w polskiej muzyce ROZRYWKOWEJ (termin uważam za głupi, ale nie mam lepszego) wartościowe, świeże i młode. Bo nastolatkom pozostaje jedynie śmiać się w kulak albo pokornie i z rozczuleniem schylić głowę

Pan, panie M.R.O., próbuje swym reportażem (?) oświecić tych, którzy mają w swych dłoniach naci decyzyj. Bo, że nie idą się zarządzać dziwek cinkciarzy i badylarzy, tego jestem pewien. Lecz bardzo łatwo okatrupić tych wszystkich młodych wrażliwych, którzy zakosztowali najpiękniejszą rzecz pod słońcem: SZTUKI TWORZENIA. Sądzę wszelako, że panu jest dokładnie wszystko jedno. W myśl definicji marksistowskich których — jak mnie mam — broni pańska gazeta, taka postawa nazywana bywa mentalnością drobniomieszczanską. Ot, MNIE się to nie podoba, a więc to JEST NIEDOBRE, ponad wszelką wątpliwość

☆

Nie znam pana, panie M.R.O., choć środowisko muzyków rockowych poznałem (pochlebiam sobie) nieźle. Nie przypominam sobie pana z żadnej imprezy, na której mógłby pan sobie wyrobić choćby cień poglądu: czym jest ten cały zgłok rockowy i o co w nim chodzi. Wszak nie nie powstałe bez przyczyny i tłumaczenie wszelkiego zła jego proveniencją wydaje mi się argumentacją z zamierzonych czasów Komputera Commodore. Jakoś pan nie gnoi. Paru innych rzeczy także. A tłumaczenie zjawisk zachodzących w społeczeństwach przy użyciu argumentu „to tylko moda i to z Zachodu” nie przystoi temu, który poprzez reportaż usiłuje poznać i zaprezentować czytelnikom sedno sprawy

Pańskie sedno sprawy, panie M.R.O. — sądząc z pańskich dzieł w RZECZYWISTOŚCI — to projekcja własnych kompleksów. Bo jak inaczej wyjaśnić sobie te stada prawiczek i sterty szmalu w każdym pańskim referacie?

Tak więc nie znam pana. I co więcej, poznać wcale nie chcę. Mierz mi sposób w jaki pan pisze: ta zimna pogarda dla wszystkiego, czego pan nie usiłuje nawet zrozumieć. Podkreślam ZROZUMIEĆ co nie oznacza przecież polubić

I jeśli mnie coś niepokoi, to jedynie to, że pańskie strzelanie ślepkami, panie Pistolet, ktoś może wziąć za prawdziwą kanonadę. Ktoś może powiedzieć: Ooo! Ten to ma rację! Bo te prawiczki! Bo ten szmal! A nawet jeżeli odzrzucił podejrzanie o zazdrość i kompleksy, to pozostanie jeszcze jedna sprawa. Jest mi znany pogląd, że najlepsza młodzież to młodzież milcząca. Czy pan się z tym zgadza panie M.R.O.? Tylko że stad już blisko do innego poglądu „Najlepsi Indianin, to martwy Indianin”. Bijemy rockmenów?

JERZY J. KACZMAREK

Jak świętują inni?

(Ciąg dalszy ze str. 19)

na Sardinii, Wigilię zaczyna się już obchodzić od samego rana.

Nieco inny charakter mają święta w krajach pozaeuropejskich. W Australii np. panuje akurat gorące lato i większość ludzi spędza dni świąteczne na nadmorskich plażach, gdzie urządzane są wesołe pikniki. W krajach arabskich nieliczni mieszkający tam chrześcijanie starając się dochować tradycji przystają zamiast choinek gałązki młodych cyprysów.

W Meksyku do Wigilii zasiada się punktualnie o północy. Pierwszym opłatkiem łamie się ojciec rodziny z matką, a następnie z synami, później dopiero matka podaje opłatek córkom. Po kolacji dzieci z zawiązanymi oczami starają się rozbić wiszącą u sufitu pinatę — stroiny we wstążki, gwiazdki i papierowe głowy gliniane dzbanek wypełniony po brzegi słodyczami. Gdy w końcu pęknie, słodkości wysypują się na ziemię stając się łupem maluchów. Choinkę zastępuje arbol de Navidad — malowany gliniany lub fajansowy świecznik, który niekiedy potrafi być bardzo duży. Często w nocy Meksykanie wylegają na ulice, śpiewają i tańczą, okazując w ten charakterystyczny dla siebie sposób radość.

W dzień wigilijny Polacy przebywający poza krajem tęsknią doń w sposób szczególny. I nie jest to tęsknota tylko za bliskimi, ale i za niepowtarzalną polską atmosferą tych świąt, która niełatwo odtworzyć na obczyźnie, za polskim pejzażem nocy wigilijnej. Dzieje się tak zwłaszcza w krajach położonych w innej sferze klimatycznej, gdzie tak trudno pogodzić się z odmiennym krajobrazem, z upałem zamiast zimna...

Oto jak przed laty na łamach „Przeglądu Katolickiego” o tęsknocie za polską Gwiazdką odczuwanej w dalekiej Brazylii pisał Józef Stańczewski: „Polak — wychodźca, który po raz pierwszy obchodził Wigilię Bożego Narodzenia w dalekiej a także gorącej Brazylii, z uczuciem tęsknoty przenosi się myślą do ojczyzny, gdzie wśród nocy, mroźnej a cichej, piona niezliczone choinki, jako wyobrażenie tego światła, które zastąpiło na ziemi w noc betlejemską.

Tęskni za krajem, pokrytym całunem śnieżnym, po którym wichry świszczą. Tęskni za tym śniegiem, który chrzęści pod stopami śpieszących o północy na pasterkę. Tęskni za tą piękną polską Gwiazdką.

Nie masz tego wszystkiego w upalnej Brazylii, w której wszystko na opak. Kiedy u nas zima, ta polska zima tam na drugiej półkuli, pod jasnym gwiazdozbiorem Krzyża Południa, panuje najgorętsze lato. Za dnia nieznośne upały, a w nocy tak ciepło i parno, że usnąć nie można. Toteż podczas pasterek wszystko się poci, a już chyba najwięcej ksiądz przy ołtarzu i organista na chórze

Ze wszystkich świąt kościelnych Boże Narodzenie w Brazylii najuroczyściej się obchodzi. Ponieważ jednak mieszkają tam przedstawiciele wszystkich ludów — narodów ziemskich, więc też każdy odłom obchodzi je na swój sposób. Mimo to wiele rodzin brazylijskich przejeżdża od Niemców i Polaków piękny zwyczaj strojenia choinki, którą w tym wypadku zastępuje młode drzewko sosny brazylijskiej, zwanej w języku portugalskim „pinheiro” (Araucaria brasiliensis). Nasi wychodźcy nazywają ją „pinjerką”. Niemcy sprowadzili nawet nasienie choiny europejskiej i hodują je pieczołowicie. Przyjmuje się ona jednak tylko w chłodniejszych górskich okolicach.

Inne narodowości, jak Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy ustawiają po domach żłobki mniej lub więcej udane. W dni świąteczne odwiedzają się wzajemnie i podziwiają swoje arcydzieła. Biada temu, który by się poważył ganić cokolwiek: obraz byłby śmiertelnie całą rodzinę. Bo na punkcie honoru Brazylijczycy są bardzo wrażliwi, aż do przesady i śmieszności...

W Brazylii święta obchodzi się w ścisłym kręgu najbliższych, najczęściej w domu najstarszej osoby w rodzinie. Po Wigilię wierzący udają się na tzw. mszę kogucia. Jej nazwa wywodzi się od koguta, który swoim planem obwieszcza nadejście Gwiazdki

O zwyczajach, obrzędach, tradycjach potrawach można by opowiadać jeszcze długo. Ale już to kilka przykładów uświadomiła nam, że bez względu na szerokość geograficzną czy tradycje kulturowe Święta Bożego Narodzenia obchodzone są zawsze radośnie, w gronie rodzinnym, w owej szczególnej atmosferze, której nie mają inne dni w ciągu roku.

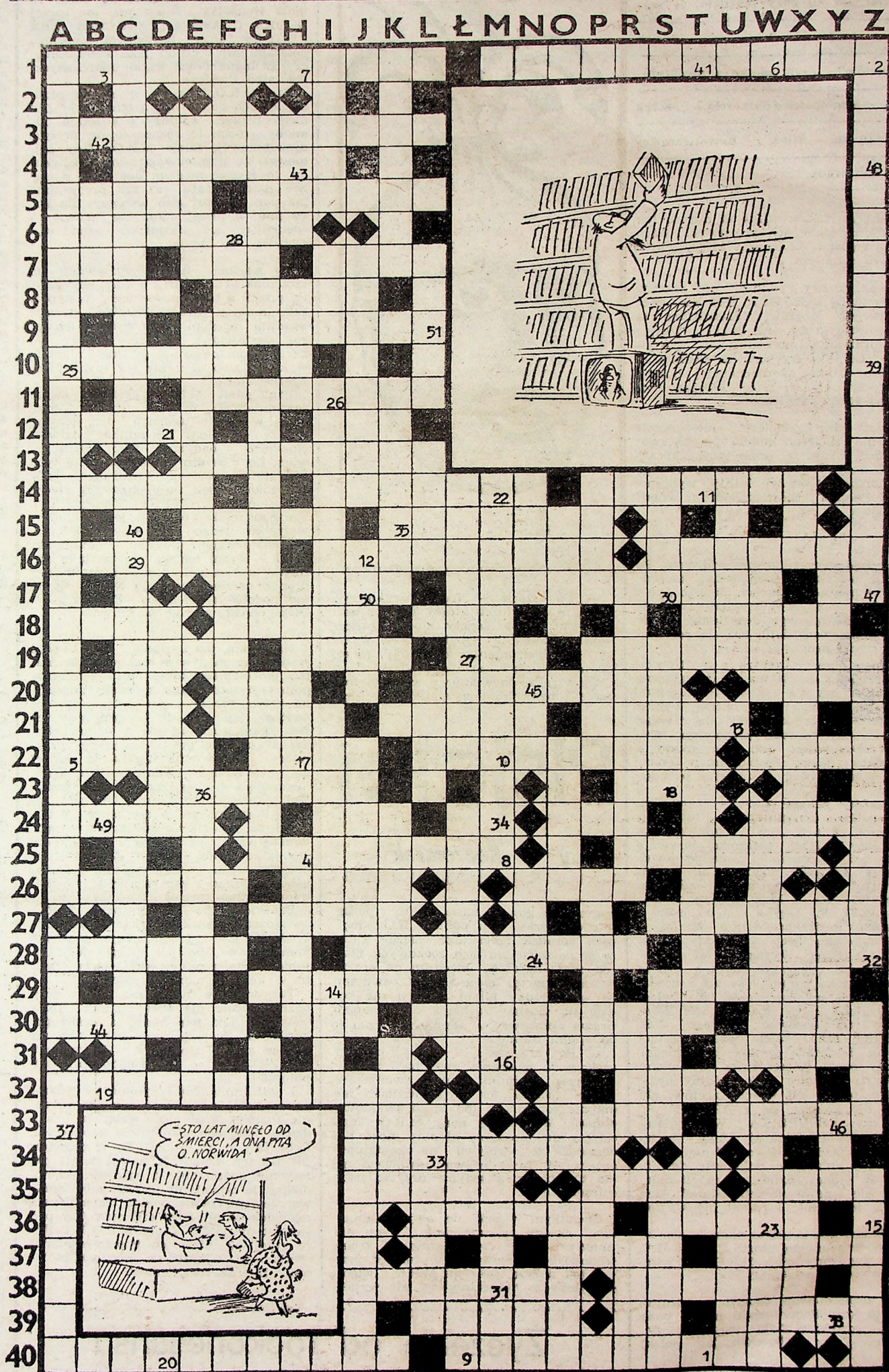
Na świąteczne wieczory (zamiast oglądania telewizji) polecamy tradycyjną krzyżówkę-giganta. Wśród autorów prawniczych rozwiązań rozlosujemy atrakcyjne pozycje wydawnicze (encyklopedie, słowniki, albumy, poradniki itp.) ufundowane przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Legnicy. Po odgadnięciu wyrazów należy ułożyć hasło, wypisując litery z krótkich oznaczonych liczbami.*.

Rozwiązania samego hasła prosimy przysłać do 15 stycznia 1986 roku pod adresem: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica 2, skr. poczt. 145. Na karcie pocztowej prosimy umieścić dopisek: KRZYŻÓWKA-GIGANT.

POZIOMO: 1-A) kobieta pracująca umysłowo, 1-M) domowa księżnica, 3-A) wybitny aktor, znany m.in. z roli Wiarusa, 4-C) syn Henryka Pobożnego, 5-A) stworzył „Układ” na ekranie i powieść pod tym tytułem, 5-G) rocznik, 6-A) rewizja sądowa, 7-A) pierwszy stwierdził, iż Polacy nie gęsi, 7-E) pierwiastek, rzeka, zwierzę, 7-I) halucynacja, 8-A) w kuchni, 8-F) córka Tantala zmieniona w skałę, 9-E) sprzymierzenie państw, 10-A) słynna książka Kapuścińskiego, 11-E) poprzedniczka fiata 125p, 12-A) fałda na spodnicy, 12-I) przepływa przez Goleniów, 13-E) B-comp., 14-A) rodzaj nadwozia samochodu osobowego, 14-I) w Archipelagu Riukiu, 14-P) krzewinka z czerwonymi jagodami, 15-E) stal stopowa niskowęglowa, 15-K) pomaga w rysowaniu figur geometrycznych, 16-A) kurator, 16-I) człowieka — na laurach, 16-S) osada Kozaków, 17-F) częsty powód sporów na wsi, 17-L) tylna straż, 17-Y) najlepszy w kartach, 18-A) „Republika” dla swych fanów, 18-F) zamek lub ciastko, 18-L) pseudonim Asnyka, 18-T) w naszym godle, 19-C) żyje w Białowieży, 19-H) ryba drapieżna, 19-L) Tognazzi, 19-P) twórca „Kolorowych jarmarków”, 20-A) atak szaleńcy u Malajczyków, 20-F) pustynia piaszczysta na Saharze, 20-L) kołędnik z szopką, 20-W) najlepsza obrona, 21-A) powrót, 21-F) wąska łódka z drewna używana przez Turków, 21-K) jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych, 21-P) ząb za ząb, 22-A) pieniądze z całego dnia sprzedaży, 22-G) wyuczalny na skroni, 22-L) (1485—1548) biskup, doradca Zygmunta Starego, 22-W) brytyjski pistolet maszynowy, 23-D) obrzydzenie, wstępn, 23-R) język międzynarodowy, ale sztuczny, 24-A) narząd, 24-I) rola Gajosa w „Czterech pancernych”, 24-L) kupił Marek, 24-O) kompan Lecha i Czecha, 24-W) jedna z dyscyplin i.a., 25-G) tajemnicze, niesamowite, 25-R) kłopot, 26-A) z lekarstwami, 26-I) w przeboju „Lady Pank”, 26-N) choroba zakaźna, 27-G) u Mendelejewa pod „63”, 27-S) Tardelli, 28-A) dziecko czarta, 28-J) imię męskie trochę już archaiczne, 28-W) imię kompozytora „Spartakusa”, 29-G) masło konia, 29-L) dostojnik w dawnych Węgrzech, 29-S) w szafie żony, 30-A) największe jezioro Europy, 30-H) na Mazurach, 30-L) wielożęństwo, 30-W) na głowie górnika, 31-L) instrument muzyczny, 31-U) film Wajdy, 32-A) pismo miłośników rozrywek umysłowych, 32-R) w Cesarstwie Bizantyjskim jednostka wojskowa, 33-J) marka dawnych zyletek, 33-O) rodzaj żaglowca, 33-U) struga drzewo, 34-J) pierwowzór, 35-J) w Rosji przed Rewolucją Październikową, 35-P) dawka, 35-W) Smiałowski, 36-L) uchwała, 36-S) jednostka natężenia prądu, 37-O) radość babci, 37-U) początek etapu, 38-J) utwory nie wydane za życia autora, 38-R) zieleń o leczniczym korzeniu, 39-L) owoc na wórkę, 39-R) Capone, 39-U) imię autora „Poematu pedagogicznego”, 40-A) (1897—1936) malarz kapista, autor wielu kompozycji figuralnych, 40-L) człowiek-kukła.

PIONOWO: A-1) państwo w Europie środkowej, A-28) antonim góry, A-32) solenizant majowy, B-5) wezwanie, B-20) legenda, C-1) napisał „Miazgę”, C-14) słowiańska rusalka, C-24) wyspa na Bałtyku, D-3) miękka tkanka, D-10) okienko w dachu, E-3) działacz PSL, wieloletni prezes NK, E-9) minerał lub roślina, E-22) zajmuje się chorobami kobiecymi, F-1) w rodzinie motylkowatych, F-6) każdy wielogatunkowy organizm zamieszkuje biotop, F-15) dostajesz w szatni, F-3) budynek dla koni, G-11) spieszy z pomocą, G-20) oplewa czyny bohaterskie, G-31) wąski, długi wał zbudowany przez wody

Krzyżówka-gigant



plynące pod lodowcem, H-3) w ścianie, H-8) las liściasty, H-17) mowa pochwalna, H-25) zdjęcie butów, I-1) miasto w Siedmiogrodzie, I-7) przepasuje kimono, I-11) ptak-nadwodny, I-21) bije brawo, ale nie za darmo, I-29) nie dzieł go na czworo, J-7) pracuje w „Polmozyście”, J-16) widać go po pierwszym mrozie, J-21) ptak polny, J-32) palisz w nim trocinami, K-1) podrzuca jąja innym, K-11) przyprawa do ciast, K-24) pęk zżętego zboża, K-31) kraj w RFN, L-7) umiar, granica, L-13) lipcowa solenizantka, ale zdrobniale, L-20) lodowy osad, L-33) zhańbił swoją rodzinę, L-14) z Sewillą i Malagą, L-24) figura, L-33) kamień ozdobny, L-38) willa też, M-19) autentyczność, praw-

dziwość, M-24) francuski reżyser filmowy („Kochankowie”, „Winda na szafot”), M-34) dawna nazwa kursywy, N-14) (1878—1954) pisarz i historyk tadżycki, N-19) przełożony klasztoru, N-26) dzielnica Gdańska, N-30) wysigowy, saneczkowy, lyżwiarski, O-15) duren, O-22) tam po raz pierwszy użyto gazów trujących, O-30) ręka, O-36) sardyna z Pacyfiku, P-14) popularny aktor komediowy, P-19) państwo w Azji, P-26) proboszcz, P-33) wpływa do Leny, R-17) członek oddziału ochotniczego, R-30) jedna tysięczna kilometra, R-37) w lekkiej kawalerii, S-14) Murzyn, Indianin, S-19) skandynawczyk, S-29) grzyb jadalny, S-35) łuk rzeki, T-16) przy gaciach, T-21) członek PTE, T-34) szpalta, U-14) ku-

bet, U-36) szczeniak, W-16) miano, W-24) w rękach dziewczynki lub gimnastyczki, W-30) coś z nabiata, X-14) Muhammad — bokser wszechczasów, X-18) nauka o pięknie, X-27) brat polski, X-35) amerykański prezydent w latach 1869—1877, Y-16) termin matematyczny, Y-27) debiutowała w „Szatanie z siódmej klasy”, Y-33) imię męskie, Z-1) nigdy, odłożyć coś na święty nigdy, po raz pierwszy wyrażenia tego użył cesarz August, Z-19) obrazoburstwo, Z-30) strzęp welny, Z-35) tradycyjny sposób myślenia.

* Hasłem jest myśl Józefa Weyssenhoffa, pisarza polskiego żyjącego w latach 1860—1932.

KONKURS GWIAZDKOWY



Proponujemy naszym Czytelnikom tradycyjną zabawę świąteczną. Należy odgadnąć zaszyfrowane wyrazy. Odnalezione litery ułożą się w zawsze aktualne hasło. Organizatorami konkursu

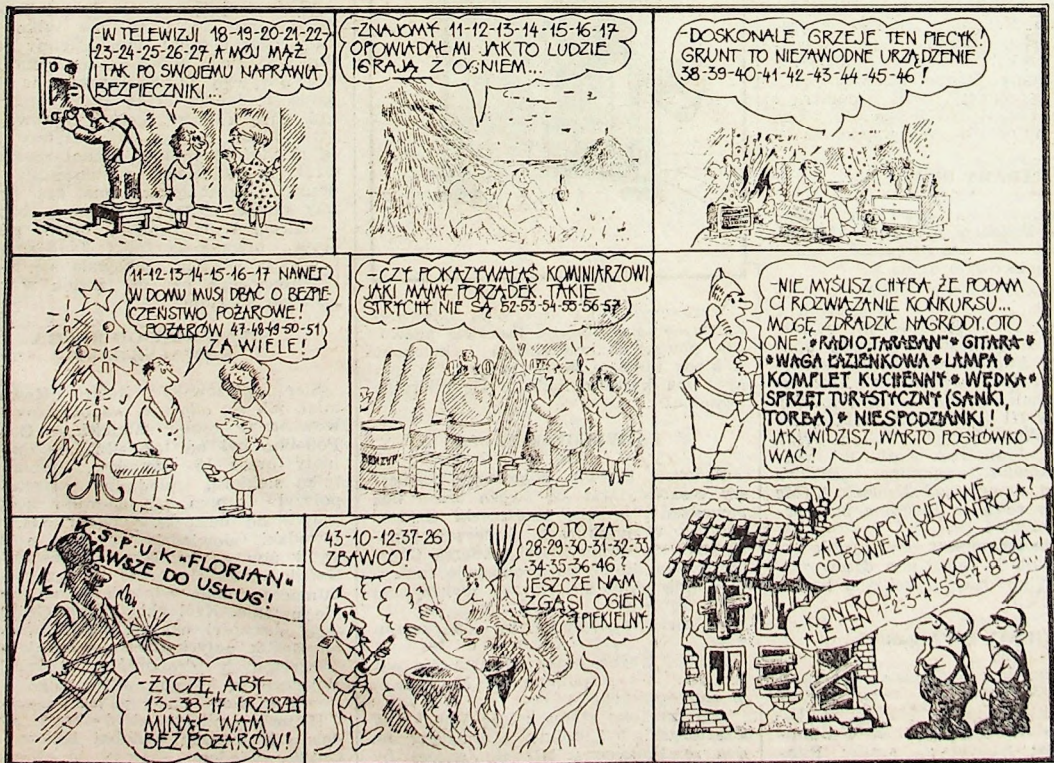
są Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Legnicy i redakcja „Konkretów”. Na odpowiedzi czekamy do 15 stycznia 1986 roku. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Cho-

pina 2, 59-220 Legnica 2, skr. poczt. 145. Prosimy o dopisek: KONKURS GWIAZDKOWY PZU. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy ATRAKCYJNE NAGRODY RZECZOWE: kalkulator „Magda”, zegarek na

rękę, radio tranzystorowe, budzik, krzesło turystyczne, wentylator, klaser, chlebak.

Powodzenia! Wyniki konkursu podamy jeszcze w styczniu 1986 r.

KONKURS Z PŁOMYKIEM



W okresie jesienno-zimowym wzrasta zagrożenie pożarowe w budynkach, głównie za sprawą masowego użytkowania urządzeń grzewczych. Ostatni sezon grzewczy należał do najbardziej niekorzystnych. Od początku roku od urządzeń grzewczych powstało już 36 pożarów, a straty szacuje się na ponad 35 mln zł; średnio więc podczas jednego pożaru ponie mienie wartości prawie 1 mln zł. Oto główne przyczyny tych pożarów: nieszczelne przewody dymowe, uszkodzone piece, wypadnięcie żaru z paleniska, niewłaściwa eksploatacja grzejników elektrycznych, pieców akumulacyjnych itp. lub składowanie w pobliżu urządzeń grzejnych materiałów palnych.

Podczas tego typu pożarów giną ludzie, przepada ich dobytek, słowem — wysoka jest cena ludzkiej niefrasobliwości.

Kontrole prowadzone przez komendy straży pożarnych i spółdzielnię kominiarską „Florian” wykazują, że właściciele budynków nie dbają o należyty stan urządzeń grzewczo-kominowych. Zbyt często korzystają z tych urządzeń w warunkach urągających bezpieczeństwu pożarowemu. Taka lekkomyślność drogo nas wszystkich kosztuje.

W związku z tym apelujemy do użytkowników budynków o utrzymanie kominów, pieców, grzejników w pełnej sprawności, a wszelkie dostrzeżone usterki należy niezwłocznie usuwać. Tegoroczny konkurs świąteczny poświęciliśmy właśnie tej tematyce. Aby zdobyć jedną z atrakcyjnych nagród należy odgadnąć zaszyfrowane wyrazy. Litery odgadnięte, ułożone w kolejności dadzą hasło. Konkurs przygotowaliśmy wspólnie z ekspozyturą Krajowej Spółdzielni Pracy Usług Kominiarskich „Florian” w Legnicy i Komendą Wojewódzką Straży Pożarnych w Legnicy.

Na odpowiedzi czekamy do 15 stycznia 1986 roku. Nasz adres: redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica, skrytka pocztowa 145. Prosimy o dopisek: „Konkurs z płomykiem”.

„Sensacje z dawnych lat” wybrał, opracował i wydał Roman Kaleta, „opuszuszony przez przyjaciół”, jak zwierza się na wstępie. Dwa wydania „Sensacji” miały niebywale powodzenie u Czytelników i rozeszły się jak ciepłe bułeczki. I nie dziwnego, bo w podręcznikach historii i literatury próżno szukać podobnych wierszyków, wspomnień, humoresek i ploteczek... Mały ich fragment proponuję Czytelnikom jako świąteczny, smakowity deser.

JAKI PAN, TAKI KON...

„Pszczółka Krakowska” z 1820 roku przytacza anegdotę z ostatnich lat życia spędzonych na obczyźnie ilustrującą piękne choć mało znane cechy naszego bohatera narodowego. Tadeusza Kościuszki.

„Kościuszkę chciał posłać kilka butelek wina dobremu jednemu pastrowi niedaleko Solury mieszkającemu, że zaś nie był pewnym, czy jego sługa dowiedzie wino w całości, syn Zeltnera podjął się sam to wypełnić a Kościuszkę pozwolił mu wziąć swego wierzchowca, na którym lubił często wyjeżdżać. Powróciwszy, młody Zeltner oświadczył wręcz właścicielowi że odtąd więcej na jego koniu nie pojedzie, jeżeli mu przy tym swojej kieski nie pozwoli. Zapytany o przyczynę tego postanowienia, odpowiedział:

— Skoro tylko jaki ubogi, przechodząc zdejmiemy kapelusze i żąda wsparcia, koni zatrzymawszy się samowolnie, z miejsca ruszyć nie chce, póki co nie dać biednemu; że na koniec musiałem przed nim udawać udzielanie jałmużny, chociaż przy sobie nie miałem, aby go zaspokoić”...

„PRZESTĘPSTWO” MICKIEWICZA

Ukazuje się „Ballad i romansów” wielkiego Adama wprawili w śmiech szwabską pasję Stanisława Doliwę Starzeńskiego, nie najgorszego poety, choć dziś już zupełnie zapomnianego. Wrażenia Doliwy przekazał potomności jego przyjaciel Franciszek Kowalski:

— „A niech go diabli! Czy go licho skądys, gdzieś tam na Litwie w puszcach litewskich wydarło i tu zanosilo? Wszystkich poetów zabił, zamordował, obrabował... Co za poezja!... Każdy z nas widzi księżyc a nikomu dotąd nie przyszło na myśl odmalować tak pyszny obraz! To rozbójnik, ten Litwin, wydarł mi pióro z ręki. Ale poczekaj, zrobię ci figla!”

— Jakiego? — zapytałem. Utniesz zapewne lepszą balladę?

— Gdzie tam, o tym ani myśleć! Ale jak przyjadę do domu, natychmiast rzucę w ogień i popalę wszystkie moje ballady, a jemu na złość posię popiół przez pocztę do Wilna i niech się cieszy ze swego zabójstwa”.

PASJA WARSZAWSKIEGO ZEGARMISTRZA

Nadworny zegarmistrz Stanisława Augusta, Franciszek Gugenmus (zwany przez warszawiaków panem Kukmusem), nie tylko opiekował się najważniejszym zegarem w Rzeczypospolitej, ale także, już po zaborach, był „ogniskiem wszelkich wiadomości dotyczących kraju naszego. Za czasów pruskich nie raz strofowano go za to. Bo jak się tylko jaka wieść rozeszła, to zawsze, dochodząc kłębka po nitce, kończyło się na Gugenmusie”.

„Gubernator Warszawy za czasów pruskich, generał Koehler, człowiek bardzo zany, a dla swojej łagodności i wyrozumienia poważany i lubiany przez warszawiaków, wezwał go pewnego razu i wyrzucając mu jego niebaczność, zagroził nawet, że jeśli nie powstrzyma się w mowie, to z Warszawy wywieziony zostanie. Gugenmus uznał swoją winę i przyrzekł poprawę, a ukłoniwszy się z uszanowaniem, wyszedł i drzwi zamknął. Nie może jednak wytrzymać, uchyla drzwi, a wsunawszy



Sensacyjki z dawnych lat

Wybrała Agnieszka Szydłowska

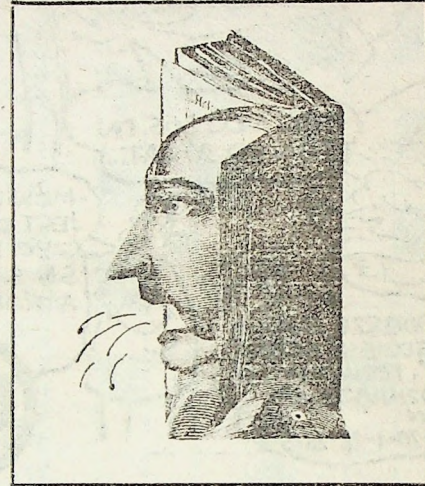
głową, przytłumionym głosem szepce: — Jasnie Wielmożny Gubernatorze! Może Jasnie Wielmożny Gubernator jeszcze nie wie? Wielka nowina! Wojska królewskie zupełnie rozbite pod Jeną, Francuzi są już dziś w Berlinie, a najdalej za dwa, trzy tygodnie będą w Warszawie.

Ostąpił generał. Wiadomość tę odebrał sztafeta przed pół godziny i to tylko o niepomyślnym wypadku bitwy pod Jeną, a tu Gugenmus, a za nim cała Warszawa o tym wie”.

GDY SIĘ NIE ZNA JĘZYKÓW...

Zabawną anegdotę, osnutą na tle nieznajomości języków obcych, zanotowano w „Motylu” z 1828 roku.

„Gdy Francuzi w 1812 roku w czasie przechodu przez Polskę brali po włościach potrzebne sobie produkty, pewien generał zażądał od podprefekta Polaka



karmnego wołu. Rekwizycja była napisana po francusku i wyraz *boeuf* nie mało nabawił kłopotu naszego urzędnika, któremu właśnie na wole zbywało. Tłumacząc się tedy przed cudzoziemcem, oświadcza i wyrażem i poruszeniem, że *boeuf* nie ma, ale jest dwie *madame boeuf*. Długo się potem nie mogli Francuzi dorozumieć, co by mogło znaczyć „*madame boeuf*”, aż obojga języków świadomy uwiadomił ich na koniec, że ofiarowano dwie krowy w miejsce wołu”.

Inną ofiarą nieznajomości języków padł ksiądz Morski, co opisał Feliks Oraczewski w liście do króla Stanisława Augusta. Ksiądz, przekraczając granicę francuską, pokazał paszport wystawiony w języku łacińskim. Francuzi nie znający łaciny kanonika wzięli za... „*pour un canonnier*”, czyli kanoniera i koniecznie chcieli zwerbować. Z jakim skutkiem, autor listu nie wspomina...

SADZMY DRZEWA

Tradycja sadzenia drzew sięga starożytności. Podobno już Cyrus Wielki, „król królów”, własnoręcznie sadił drzewa w pałacowym ogrodzie.

Nasze piękne puszce i bory dostarczały uciech i rozrywek związanych z polowaniem, ale choć lasów nie brakło, wielu królów i możnych zwykło upamiętniać ważniejsze wydarzenia sadzeniem drzew. Własnoręcznie sadił drzewa i zachęcał do tego innych, między innymi Jan III Sobieski, Izabela Czartoryska, biskup Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Franciszek Karpiński. Melchior Wańkowicz wspomina: „Drzewa sadił dziad, drzewa sadił ojciec. Każde zdarzenie w rodzinie znaczone było sadzeniem drzewa”.

Szkoda, że ten piękny obyczaj tak dalece podupadł, że sadzeniem drzew zajmują się tylko dzieci szkolne z namowy nauczycieli.

ZAGINAŁ PITAGORAS...

Poeta Stanisław Trembecki był jarożem i abstynentem. Z tego podobno powodu, jak podaje K. Wójcicki w „Historii literatury polskiej”, król Stanisław August nazwał go swoim Pitagorasem. Z przewidywaniem tym wiąże się zabawne wydarzenie, które miało miejsce w roku 1797 w czasie przejazdu kró-

la z Wilna do Petersburga. Król zapytał, gdzie by się podziwiał „nasz Pitagoras”, a gorliwi urzędnicy policyjni „z wielką usilnością po całym mieście szukali pod tym nazwiskiem człowieka do dworu królewskiego należącego”...

DOWCIP BISKUPA-POETY

Biskup Krasicki, „książe poetów” słynął z ogromnego poczucia humoru. W żartach nie oszczędzał nawet przyjaciół, a robił to tak zręcznie, że nie sposób było się gniewać. Oto próbka jego dowcipu, pochodząca jeszcze z czasów, gdy był kanonikiem i proboszczem katedralnym w Przemyślu, i spotykał często swego „kolegę po fachu” popijającego ze „świeckim” przyjaciелеm

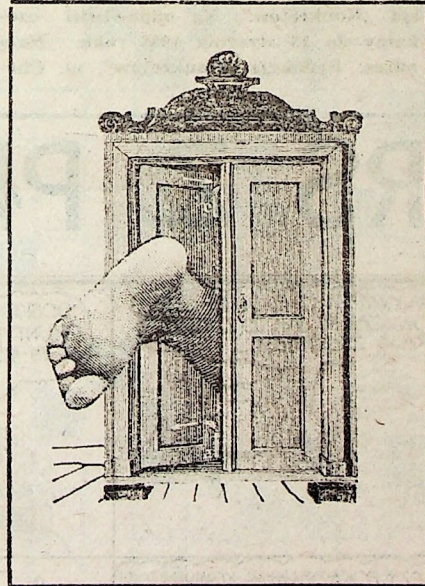
— Stojąc w kacie, słyszałem ich spowiedź — opowiadał Krasicki. — Po wyszczególnieniu innych grzechów, zwierza się spowiadający że się raz upił bez pamięci. Na to mu kanonik budujące daje przestrogi, wspomina o wstrzeźliwości i stara się łagodnymi słowy sprowadzić na drogę poprawy.

— Ale ja to się z księdzem dobrodziejem upilem — zawołał grzesznik

— Ach, pamiętam — rzecze kanonik — Dobry Pan Bóg obydwu nam odpuści. Ego te absolwo.

KRÓLEWSKI ŻART

August III, który po ojcu odziedziczył zamiłowanie do sztuk pięknych i opery, lubił płać drobne figle otoczeniu. Kiedyś, gdy w loży oczekiwał na rozpoczęcie sztuki, jedna ze śpiewaczek odważyła się poczęstować tabaką z królewskiej tabakierki. Król natychmiast postanowił to wykorzystać. Przed następnym przedstawieniem śpiewaczka otrzymała od króla całą tabakierkę, z życzeniami udanego występu. Ale przedtem, o czym primadonna nie wiedziała, August kazał do tabaki dosypać chińskiego proszku powodującego „mocne i nieustanne kichanie”.



Wzruszona łaską królewską śpiewaczka powąchała tabaki i łaskawie pozwoliła powąchać koleżankom i kolegom. A kiedy kurtyna poszła w górę, ze sceny i zza kulisów rozległo się chóralne kichanie...

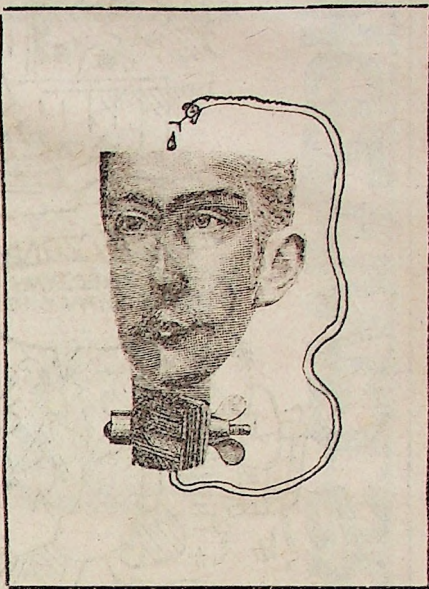
ZA WYSOKIE PROGI

Podobno Ludwik Napoleon, późniejszy cesarz, starał się swego czasu bez powodzenia o rękę księżniczki Czartoryskiej. W konkurach skuteczną zapórą stała się duma księcia Adama Czartoryskiego, który na propozycję matrymonialną dotyczącą córki wykrzyknął z oburzeniem:

— Ależ Napoleonidzi są z parweniżsów!

Minęło trochę czasu i karta się odwróciła. Jak wspomina A. Mickiewicz w pamiętnikach:

„Po zamachu stanu książe Władysław Czartoryski był dobrze widziany na dworze Napoleona III, ale więcej by tam znaczył, gdyby siostra jego, osoba niepospolicie dystygnowana, została była cesarową.”



NA GRAFOMANÓW

Nie wszystko złoto co się świeci, nie każdy, kto chwytą za pióro, ma coś do przekazania potomności. Plaga grafomańska nęka ludzkość od niepamiętnych czasów, co tak skomentował w „Monitorze” z 1772 roku Ignacy Krasicki:

„Jest jedna choroba, o której Hipokrates i Galenus zapomnieli, Juwenalis przecież obwieścił: *cacoethes*, co z greckiego znaczy chęć niepomiarowanego pisania. Choroba ta wzmagała się nieznacznie, teraz tak prawie powszechna jak ospa. Ta tylko jej od ospy różnica, iż ospa raz odbyta nie wraca się, kakaeta jak raz głowę opanuje, trwa nieustannie i coraz bardziej dokucza... Wyperswadować złym pisarzom, żeby nie pisali, rzecz bardzo trudna, trzeba by albowiem pierwej skonwinkować, że źle piszą. A którzy mówią tak wielki w okręgu świata znaleźć się może, który by tego dokonał? Odebrać złym pisarzom pióra, będą pędzlem malować, wziąć papier, będą pisać po ścianach; zamknąć zaś i od społeczeństwa oddalić niepodobna, bo by miasta opustoszały”.

OBŻARTUSZEK

W dawnej Polsce nie tyle jadano, co przejadano się i to nie tylko z okazji uroczystości. Oto dzienny jadospis niejakiego Bohdana dworaka księcia Bazylego Ostrogskiego: „na śniadanie zjadał ćwiartkę skopu, pieczoną gęś, parę kurcząt, pieczeń wołową, ser, dwa chleby, do tego wypijał trzy garnce miodu. Na obiad zjadał dwanaście sztuk mięsa, cielęciny, baraniny, wieprzowiny niemalo, kapłona, gęś, prosię, trzy pieczenie, to jest wołową, baranią i cielęcą. Wina i miodu cztery garnce, oprócz piwa i gorzałki. Jadał smaczno i wieczerze”. Nie zachowała się niestety informacja, czy ów żarłok w ogóle wstawał od stołu...

SILNIEJSZY OD ROCHA KOWALSKIEGO?

Sienkiewiczowski Roch Kowalski, miał, jak się okazuje, współczesny pierwowzór w osobie niejakiego Goślika. Podobno był on tak silny, że „napadnięty przez 18 Szwedów, broniąc się tylko siekierą, siedmiu napastników położył trupem, pięciu ranil, a resztę zgnalił do ucieczki. Karol XII, król szwedzki, dowiedziawszy się o tym, kazał aby go konieczne dostawiono. Goślik stawiał się przed królem i przez tłumacza śmiało odpowiadał na wszelkie pytania. Król chciał, aby Goślik w jego obecności okazał jakiś dowód siły. Goślik natychmiast porwał jednego z ogromnych drabantów szwedzkich stojącego za królem, podniósł go i postawił na dłoni”.

Historia milezy, skąd brali się w dawnych czasach podobni silacze. O Gośliku wiadomo jeszcze, że „Nieprzyjacieli płci białej, umarł też bezżenny, zachorowawszy na zimnicę mając lat 80”.

● BARAN (21 III — 20 IV)

Baran podlega planecie Mars. Kalendarz Putanowicza z XVIII w. mówi ludzom podległym temu znakowi: „Jemu poddają alchimistów, kowali i innych, którzy się ogniem zabawiać zwykli, także wszelkie gwałty i tyranie, które mówią, iż swoim dzieciom wpaja”. Jeśli jesteś Baranem lubisz walkę, ryzyko, jesteś odważny i zdecydowany. Twoje intencje są szczerze, masz wiele entuzjazmu dla nowych przedsięwzięć i pomysłów. Twoją słabą stroną jest niecierpliwość i impulsywność. Byłbyś bardziej lubiany w swoim otoczeniu gdybyś nieco powściągnął egoizm i nie okazywał braku subtelności.

Aby w tym roku doprowadzić swe dzieło do końca musisz walczyć ze swym charakterem, nie ujawniaj swoich planów, staraj się być bardziej skryty i bardziej szarmancki.

Znaki ci zyciowe nie tylko w tym roku to: Strzelec, Lew, Bliźnięta i Wodnik.

Twoim kolorem jest czerwień. Kamieniami, które powinienś nosić zawsze przy sobie są: rubiny, ametysty i granaty.

Dni tygodnia najlepsze do rozpoczęcia przedsięwzięć to: środa, piątek, sobota.

● BYK (21 IV — 21 V)

Bykiem rządzi planeta Venus. Kalendarz Putanowicza (XVIII w.): „Urodzonym pod sobą ma dawać okragie i piękne twarze, długie włosy i inne kształty ciała ludzkiego. Mienia, że panuje nad macicą, piersiami, nerkami, łędziami i powonieniem”. Jeśli urodziłeś się pod znakiem Byka to odznaczasz się cierpliwością i spokojem. Konsekwentnie dążysz do obranego celu. Twoja łagodność zjednuje ci ludzi. Praktycznym i stanowczym czyni twoje życie wygodnym. Musisz jednak walczyć z głupim uporem, który się w tobie budzi. To co zyskasz łagodnością psujesz zaborczością. Staraj się zrewidować swoje poglądy i być bardziej nowoczesnym.

Aby ten rok był dla ciebie szczęśliwy musisz zdusić w sobie skąpstwo, ono nie tylko nie pozwoli szerzej rozwinąć ciekawych planów, ale zrazi do ciebie kogoś bliskiego. Twoja zmysłowość podpowie ci właściwe rozwiązanie.

Znaki przychylne dla ciebie: Rak, Panna, Koziorożec i Ryby.

Najlepiej czujesz się w jasnej zieleni, ona wpływa kojąco na twój temperament. Jeśli chcesz sobie sprawić klejnotek to najlepiej z agatem, jaspisem lub onyksem.

● BLIŹNIĘTA (22 V — 20 VI)

Bliźniętami powoduje planeta Merkury. Kalendarz Putanowicza z XVIII w. tak mówi o wpływie tej planety: „Co do natury, jest zimny, suchy i niestałeczny, bo z dobrymi aspektami jest dobry, ze złymi — zły”. Twoją dominującą cechą jest inteligencja. Pragniesz być wszechstronny, często starasz się zajmować kilkoma sprawami naraz. Uwielbiasz nowości i postęp. Musisz skoncentrować się na jednym zadaniu. Pomoże ci też w życiu większa dokładność i dogłębnierne badanie spraw. Jeśli miewasz zmienne nastroje nie okazuj ich najbliższemu, staraj się nad nimi zapanować.

Ten rok będzie szczęśliwy do podjęcia nowego i ryzykownego przedsięwzięcia. Aby osiągnąć powodzenie musisz się skupić na jednym działaniu i być bardzo dokładnym.

Możesz liczyć na zyciowość i pomoc Barana, Lwa, Wagi i Bliźniąt.

Kolory dla ciebie kojące to srebrzystoszarzy i kolor czerwonego wina. Kamienie, które mogą ci przynieść szczęście w życiu to: beryl, diament, opal i szafir.

● RAK (21 VI — 22 VII)

Urodzeni w znaku Raka podlegają wpływowi Księżyca. Kalendarz Putanowicza mówi o nich: „Jemu przypisują panowanie nad lewym okiem męskim, a prawym białogłowskim, żółdkiem, wątrobą i wszystkim wnętrzościami”. Twoimi czynami kierują łagodność i uczucia. Widzisz życie jako romantyczną przygodę. Wyczuwasz w ludziach na odległość przyjaźń i wrogość. Powinieneś zawsze w ocenie ludzi kierować się intuicją. Jednak nie możesz zbyt łatwo zmieniać swoich poglądów pod wpływem ludzi, którym ulegasz. Nie powinieneś też przystępować z lekkiem do każdego przedsięwzięcia.

Ten rok będzie bardzo korzystny w poznawaniu nowych ludzi, wiele ci pomogą, wiele od nich otrzymasz. Musisz jednak opanować swoją zgrzytliwość i samolubność.

Znaki najprzychylniejsze: Skorpion i Wodnik.

Gwiazdy mówią

Jesteśmy dziećmi wszechświata, nie tylko Ziemi. Wpływ planet na nasze ziemskie

charaktery i tym samym poczynania odkryli już starożytni Babilończycy. Właśnie

od nich pochodzą najstarsze zapisane prognozy astrologiczne z VII w. p.n.e. Jednak

zodiak nie powstał w Mezopotamii lecz w Egipcie i stamtąd przeniknął do Babi-

lonu, Indii i Chin. Nie jest to więc zupełnie nowa moda — horoskop. Dziś do badań

nad astrologią włącza się komputery i one często obliczają ludziom ich dni „dobre

i złe”. Nasz horoskop jest swego rodzaju zabawą, choć opartą na mocnych podsta-

wach pochodzących ze starożytności i podparty różnymi starymi greckimi i hin-

duskimi przepowiedniami.



Kolor żółty jest twoją barwą, a z kamieniami: perły, chryzolyty, szmaragdy i topazy.

● LEW (23 VII — 23 VIII)

Podlegasz wpływowi Słońca. Tak o tej planecie mówi kalendarz Putanowicza: „Co z natury swojej, jest arcydobry i naturze ludzkiej przyjaźny planeta”. Gdy urodziłeś się pod znakiem Lwa, masz osobowość królewską. Lubisz być w centrum zainteresowań, bez tego wędrujesz i giniesz. Wywierasz duży wpływ na innych i potrafisz to dla siebie wykorzystać. Dla przyjaciół masz otwarte serce i kiesę, ale tylko do czasu gdy uznają twoją wyższość. Aby zjednać sobie nowych ludzi musisz być tolerancyjnym i mniej zarozumiałym. W stosunkach zawodowych częściej słuchaj zdania współpracowników.

Znakomity rok, by doprowadzić do końca śmiałe zamierzenia. Będzie cię to jednak kosztowało wiele trudu i wyrzeczeń, musisz ukryć swoją pychę i nie raz ugiąć się przed innymi.

W twoich planach pomogą ci: Baran, Skorpion, Strzelec, Wodnik i Ryby, właśnie wśród nich szukaj sprzymierzeńców.

Shczęśliwy kolor to wszelkie odcienie brązu, a szczęśliwe kamienie: ametysty, granaty, diamenty i rubiny.

● PANNA (24 VIII — 23 IX)

Jeśli jesteś Panną powoduje tobą Merkury. Kalendarz Putanowicza takie cechy przypisuje urodzonym pod tym znakiem: „Mienia, że dzieciom swoim jest przyczyną długich palcy, także — że niestateczni, sposobi do wynajdowania nowych rzeczy. Panuje nad pamięcią, dowcipem, językiem”. Kierujesz się przede wszystkim w swoim życiu poczuciem obowiązku. Przysparza ci to wiele kłopotów i przykrości, ale to właściwa droga. Twoją najmocniejszą cechą jest zrównoważenie, punktualność, systematyczność. Musisz w tym roku pracować nad opanowaniem krytykanectwa. W najbliższym gronie nie możesz marudzić i wybrzydzać. Pedanteria też męczy otoczenie.

W tym roku powinieneś się dać ponieść fantazji. Będzie to szczególnie szczęśliwe dla tych, którzy pracują w handlu. Nie krytykuj innych, raczej bacznie obserwuj ich poczynania.

Najlepiej dla ciebie w przyjaźni i miłości są Strzelec i Koziorożec.

Kolorem dla ciebie najszybszym

jest kolor nieba pogodnej nocy, a kamieniami: szafir, szmaragd, agat i onyks.

● WAGA (24 IX — 23 X)

Twoimi poczynaniami rządzi planeta Venus. Kalendarz Putanowicza tak mówi o twojej planecie: „Planeta Venus jest we wszystkich aspektach dobry, z której też przyczyną zowią go zwyczajnie: Fortuna minor (pomysłność mniejsza)”. Cechuje cię wielką mądrość życiową, dążysz wciąż do utrzymania równowagi między gorącym i zimnem. Masz wielkie poczucie sprawiedliwości i porządku. Twoją mocną cechą jest dyplomacja, takt i wrodzona uprzejmość. Aby osiągnąć powodzenie musisz opanować wrodzone lenistwo. Jeśli się zdecydujesz na obranie jakiejś drogi to dąż nią do skutku.

Ten rok będzie szczęśliwy dla miłości i zawierania przyjaźni. Nie możesz się jednak całkowicie oddać bliźniom, myśl także o sobie.

Najszczęśliwymi twymi partnerami będą Bliźnięta i Wodnik.

Najlepiej dla ciebie kolory to jasno-żółty, czerwony i niebieski. Biżuterię najlepiej nosić z szafirem, berylem lub akwamaryną.

● SKORPION (24 X — 22 XI)

Jeśli urodziłeś się pod Skorpionem podlegasz planecie Pluton. „Sennik persko-egipski” tak mówi o urodzonych pod wpływem Plutona: „Urodzony pod tym znakiem bywa więc trochę kapany w gorącej wodzie a może raczej ostry, czem odstęrcza ludzi”. Lubisz walkę i zmaganie się z trudnościami, potrafisz pracować bez wytchnienia. Wszystko przeżywasz niezwykle silnie: miłość i nienawiść, przyjaźń i niechęć. Musisz zwalczać w sobie mściwość, to niedobre uczucie, nie nie buduje. Idąc do wybranego celu powinieneś czasem rozejrzeć się na boki na swoich współtowarzyszach.

Ten rok będzie korzystny dla budowania wielkiej rzeczy, czy to dla siebie czy dla ogółu. Jednak by szczęśliwie dojść do celu musisz współpracować z innymi i liczyć się z nimi.

Dobieraj sobie na współpracowników i współtowarzyszy: Byka, Raka, Skorpiona, Koziorożca i Ryby.

Najlepiej poczujesz się w kolorze złotym lub w delikatnych odcieniach zieleni. Kamieniami szczęśliwymi to szmaragd, topaz, chryzolit.

● STRZELEC (23 XI — 22 XII)

Przyszedłeś na świat w kregu oddziaływania Jowisza. Kalendarz Putanowicza tak tę planetę charakteryzuje: „Jowisz, widoczny, piękny i jasny, ciepły, miernie mokry i nieco wietrzny, jest naturze ludzkiej przyjaźny i męski planeta”. Odnaczasz się wielką energią i ruchliwością. Na świat patrzysz optymistycznie, jesteś szczerzy i otwarty. Potrafisz być śmiały i dobroduszy zarazem. Ci których obdarzasz przyjaźnią czują się w twojej obecności bezpiecznie. Musisz jednak zwalczać u siebie skłonność do przesady i gadulstwa. Bardzo szkodliwa może być dla ciebie nieostrożność. A brak umiaru może spowodować chorobę.

W tym roku poddaj się uczuciom. Nie bój się być szczerzy i czuły. Unikaj natomiast ryzykownych interesów, a szczególnie podczas podróży.

Na najbliższą ci osobę wybierz sobie Pannę, Lwa lub Skorpiona.

Najlepszym dla ciebie kolorem jest granat, a kamieniami szczęśliwymi: rubin, granat i ametyst.

● KOZIOROŻEC (23 XII — 20 I)

Zostajesz pod wpływem Saturna. Kalendarz Putanowicza tak określa twoją planetę: „Zimnej i mokrej natury, planeta męska, melancholijna. Jemu przypisują, że ma rząd nad starymi, rolnikami, Żydami, koplącymi kruszce i zatopionymi w myślach swoich”. Zawsze można na ciebie liczyć w potrzebie. Ale nie wszyscy o tym wiedzą. Staraj się w tym roku być bardziej otwarty i okaż sympatię tym, których lubisz i cenisz. Twoją mocną stroną jest uparte dążenie do wytyczonego celu. Aby czuć się szczęśliwym musisz się wyżyć nadmiernych ambicji i chęci panowania nad innymi. Słuchaj czasem bliźnich nie tylko siebie.

Ten rok powinieneś poświęcić na zdobycie nowych przyjaciół i zwolenników. Nie będzie to łatwe. Nie możesz im okazywać lekceważenia i pogardy. Ale bez nich nie zrealizujesz swoich ambitnych zamierzeń.

Sprzymierzeńców szukaj wśród Byków, Panieli, Raków i Skorpionów.

Kolorem twoim jest purpura i biel, a kamieniami: agat, jaspis, onyks, bursztyn.

● WODNIK (21 I — 20 II)

Urodziłeś się pod wpływem planety Uran. „Sennik persko-egipski” tak mówi o tym wpływie: „Według astrologów, kto się urodził pod Uranem lubi wypić. Gaduła i żartowniś, nieraz się naraża”. Najważniejsze dla ciebie pozostają sprawy ducha. Ale nie zaskodzilibyś zadbać trochę i o ciało, jego wygląd i estetykę. To, że widzisz dalej i bardziej przenikliwie przyszłość nie powinno cię oduszać od ludzi. Fascynują cię nowości i wynalazki i tu cię czekają wielkie osiągnięcia i sukcesy. Ale musisz mieć opanowanie i siłę. Staraj się realnie oceniać sytuację i swoje możliwości.

Nadechdający rok będzie dla ciebie szczęśliwy w działalności twórczej. Nie możesz jednak całkiem zapomnieć o zwykłych codziennych sprawach. Systematyczność bardzo ci będzie pomocna.

Sprzymierzeńców szukaj dla siebie wśród Bliźniąt, Lwów, Skorpionów i Wagi.

Najszczęśliwszym twoim kolorem są wszelkie odcienie fioleto, a kamienie to beryl, szafir, diament, ametyst.

● RYBY (21 II — 20 III)

Twoim znakiem rządzi planeta Neptun. „Sennik persko-egipski” — „Urodzony pod Neptunem odznacza się żądzą użycia i używania. Religia, nauka i praca mogą to wszystko utemperować”. Odnaczasz się wielką wrażliwością, która jest zarówno twoją najmocniejszą jak i najsłabszą stroną. Lubisz spokój. Potrafisz uwzględnić cudze argumenty, jeśli nie przeszkadzają w realizacji twoich celów. Umiesz się poświęcać, ale nie daj się wykorzystywać i naciagać. Musisz się otaczać ludźmi przyjaźnymi o łagodnym charakterze. Wówczas osiągniesz zadowolenie i równowagę. Wystrzegaj się nalogów, gdyż łatwo wpadniesz w ich szpony. Chodź twardo po ziemi.

Ten rok będzie dla ciebie szczęśliwy w sprawach finansowych. Ale tu nie możesz polegać na swojej intuicji, poradz się przyjaciół. Gdy rozpoczniesz swoje przedsięwzięcie nie ulegaj złym nastrojom, koniec będzie szczęśliwy.

Przychylne ci znaki to Rak, Skorpion, Byk i Koziorożec.

Staraj się mieć kolo siebie jak najwięcej przedmiotów błękitnych, a z kamieniami chryzolit, topaz, jaspis i szmaragd.

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA ROLNICZEGO

w Złotorzy, ul. Legnicka 37

przyjmie do wykonania w roku 1986

w ramach świadczenia usług dla ludności oraz dla jednostek uspołecznionych z terenu województwa legnickiego, niżej wyszczególnione rodzaje robót z materiałów własnych i powierzonych:

- ROBOTY STOLARSKIE:**
 - okna 01/0 do 07/0, P-1, P-2, P-11,
 - naświetla od N-1 do N-16,
 - okna skrzynkowe i krosnowe, wszystkie typy,
 - drzwi DR-1 do DR-7, DZ-1 do DZ-3, WD-2, WD-3, S-1, S-2,
 - listwy ozdobne, opaski, progi itp.
- ROBOTY ŚLUSARSKIE:**
 - okna i drzwi stalowe,
 - ozdobne i proste kraty zabezpieczające okna i drzwi,
 - drobne konstrukcje stalowe.
- ROBOTY DEKARSKIE:**
 - obróbki blacharskie z montażem,
 - naprawa pokryć dachowych z wyjątkiem dachówek.
- ROBOTY PODŁOGOWE:**
 - wykonanie i ułożenie podłóg białych,
 - układanie wykładzin PCW, REKORD, DYWANOWYCH i LENTEX,
 - wykonanie posadzek LASTRYKO lub TERAOKOTA,
- ROBOTY MALARSKIE I ŚCIENNE:**
 - malowanie emulsyjne, kredowe i olejne,
 - roboty tapetarskie,
 - układanie płytek ceramicznych ściennych.

Oferty pisemne prosimy składać na adres przedsiębiorstwa do dnia 31 stycznia 1986 r.
Przedsiębiorstwo zastrzega sobie możliwość doboru ofert. 1600-k

**ZAKŁAD BUDOWNICTWA I PRODUKCJI
MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH WZGS „SCH”**
w Legnicy, ul. Wandy 5

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na niżej wymienione pojazdy.

- Tarpan 233 — LGA 269R, rok produkcji 1978, stopień zużycia 55 procent, cena wywoławcza — 314.100 zł.
- Tarpan 233 — LGD 085A, rok produkcji 1978, stopień zużycia 55 procent, cena wywoławcza — 314.100 zł.
- Żuk A-13, LGA 277H, rok produkcji 1975, stopień zużycia 60 procent, cena wywoławcza — 259.600 zł.

Przetarg odbędzie się w 14 dniu od daty ukazania się ogłoszenia o godzinie 10 w świetlicy zakładu.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się o godzinie 13.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić do kasy zakładu w dniu poprzedzającym przetarg.

Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn. 1601-k

URZĄD MIEJSKI

w Lubinie

WYDZIAŁ OŚWIATY I WYCHOWANIA

INFORMUJE, że

punkt konsultacyjny dla rodziców

czynny jest w każdą środę w godzinach 15.30—19.30
ul. M. Skłodowskiej-Curie 6, Lubin, telefon 44-34-05.

ZAPRASZAMY SZCZEGÓLNIE TYCH RODZICÓW, KTÓRZY CHCIELIBY SKONSULTOWAĆ PROBLEMY ZWIĄZANE Z NAUKĄ I WYCHOWANIEM DZIECI I MŁODZIEŻY. 1599-k



TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ. ADRES REDAKCJI: 59-220 Legnica 2, plac Chopina 2, skrytka pocztowa 145. REDAGUJE ZESPÓŁ: Jacek Broszkiewicz, Janusz Budnicki (fotoreporter), Janusz Dobrzański, Wanda Dybalska, Maria Kuncalis, Zygmunt Łuszcz, Antoni Neczyński (z-ca sekr. red.), Czesław Pańczuk (sekr. red.), Witold Podędorny (red. nac.), Elżbieta Pomorska (red. techn.), Maria Sambońska, Agnieszka Szydiowska. TELEFONY: red. nac. 241-46, sekr. red. 299-25, z-ca sekr. red. 241-49, publicyści 602-26, 292-42, fotoreporter 214-77, biuro ogłoszeń i administracja 279-92, TELEKS: 0782621. Red. rękopisów i zdjęć nie zamówionych nie zwraca. Zastrzega się również prawo skracania nadesłanych tekstów. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Podwale 62, 50-950 Wrocław 2. DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Piotra Skargi 3/5 50-950 Wrocław 2. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń RSW: 50-950 Wrocław 2. Podwale 62, tel. 337-71, wszystkie biura ogłoszeń RSW w kraju oraz redakcja w godzinach 8.30—16.00. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. PRENUMERATA: kwartalna — 195 zł, półroczna — 390 zł, roczna — 780 zł. Wpłaty należy adresować: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki, 50-950 Wrocław 2, ul. Hubska 8/10 nr konta: NBP I Oddział Wrocław 93015-4271-139-11. INFORMACJI O WARUNKACH PRENUMERATY udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW — Centrala Księgarska i Wydawnictw 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 23, konto PKO nr 183 201045-139-11; prenumerata jest droższa od krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy. R-13

UBEZPIECZENIA ODRODCZONEJ RENTY



Prowadzone przez Państwowy Zakład Ubezpieczeń — dobrowolne ubezpieczenia renty odroczonej zapewniają ubezpieczonemu wypłatę comiesięcznych kwot renty, w ustalonej wysokości, płatnej po osiągnięciu przez nich określonego wieku, niezależnie od tego czy ubezpieczony otrzymuje emeryturę z zaopatrzenia społecznego czy też nie.

Ubezpieczający opłaca składkę ubezpieczeniową w okresie czynnej pracy zarobkowej, a renta dożywotnia płatna jest od umówionego przy zawieraniu ubezpieczenia wieku emerytalnego.

Ubezpieczenie renty odroczonej może być zawarte na życie jednej lub na życie dwóch osób (ubezpieczenia dla małżeństw). Ubezpieczenia można zawierać bez względu na stan zdrowia i zawód ubezpieczonego.

Ubezpieczony może zapewnić sobie rentę miesięczną w dowolnej wysokości, płatną u mężczyzny od 60 do 65 lat życia, do końca życia (renta dożywotnia).

Oprócz renty miesięcznej, może być ustalona jednorazowe świadczenie (odprawa) pośmiertna.

Składki za ubezpieczenia renty odroczonej opłaca się w dowolnych terminach i w dowolnej wysokości.

Ubezpieczony ma prawo w każdej chwili zażądać zwrotu części lub całej sumy wpłaconych składek. Renta miesięczna zostaje wówczas odpowiednio obniżona. Przy całkowitym wycofaniu składek ubezpieczenie wygasa. Taryfowe nominalne renty w okresie odroczenia terminu płatności wzrastają corocznie o 11,5 procentu renty nominalnej, a w okresie ich wypłacania wzrastają corocznie o 10,5 procenta.

PZU prowadzi 3 rodzaje ubezpieczeń renty odroczonej, a mianowicie:

1. Ubezpieczenie odroczonej renty dożywotniej dla małżeństw z odprawą pośmiertną. Z tytułu tego ubezpieczenia PZU wypłaca:

— mężowi dożywotnią rentę począwszy od umówionego wieku,

— współubezpieczonej żonie rentę wdowią w wysokości 60 procent renty zmarłego męża,

— uposażonej żonie jednorazowe świadczenie w wysokości opłaconych i nie wycofanych składek w razie przedwczesnej śmierci męża, jeszcze przed terminem płatności renty, a w wysokości jednorocznej renty w przypadku jego zgonu po tym terminie.

Zanim rozpocznie się wypłacanie przez PZU renty, ubezpieczony może wycofać część lub całą sumę wpłaconych składek, przy czym następuje wówczas obniżka należnej renty lub rozwiązanie ubezpieczenia.

Przykład: mężczyzna 30-letni zawiera ubezpieczenie renty małżeńskiej płatnej dla niego po ukończeniu 65 roku życia, wpłacając w różnych terminach w okresie 3 lat po zawarciu ubezpieczenia łączną sumę składek w wysokości 150.000 złotych. Jego miesięczna renta nominalna wyniesie 5.453 zł. Po dożyciu przez ubezpieczonego 65 lat rozpoczyna się wypłata renty, która w okresie 35 lat odroczenia wzrośnie do sumy 26.790 zł miesięcznie. Gdyby ubezpieczony ten zmarł w wieku 75 lat, czyli po 10 latach pobierania renty wynoszącej wówczas 54.920 zł miesięcznie, wdowa po nim otrzymałaby rentę miesięczną w wysokości 32.952 zł i jednorazową odprawę w wysokości 659.040 zł.

2. Ubezpieczenie odroczonej renty oszczędnościowej z zwrotem składek.

Z tytułu tego ubezpieczenia PZU wypłaca:

— ubezpieczonemu miesięczną dożywotnią rentę z osiągnięciem umówionego wieku,

— uposażonemu, wyznaczonemu imieniu członkowi rodziny w razie zgonu ubezpieczonego, pełny zwrot wpłaconych składek, bez względu na to, czy zgon nastąpił przed, czy po terminie płatności renty.

Podobnie jak w poprzednim, ubezpieczeniu renty małżeńskiej, taryfowa nominalna renta wzrasta corocznie o 11,5 procentu w okresie jej odroczenia, a o 10,5 procentu rocznie w okresie jej wypłacania.

Przykład: jeżeli byśmy przyjęli, że podobnie jak poprzednio, ubezpieczenie takie zawarł 30-letni mężczyzna z płatnością renty po osiągnięciu 65 lat życia i w ciągu pierwszych trzech lat wpłacił sumę 150.000 zł, to jego miesięczna renta nominalna wyniosłaby 6.673 zł, a po osiągnięciu 65 roku życia, czyli po 35 latach odroczenia, wzrosłaby do 32.793 zł miesięcznie. Renta ta nadal wzrastałaby o 10,5 procentu rocznie. Natomiast łączna suma wpłaconych składek po 35 latach odroczenia wyniosłaby 736.500 zł i nadal by wzrastała w okresie płatności renty o 11,5 procentu rocznie. Jeśli ubezpieczony zmarłby licząc 80 lat życia, jego renta miesięczna w ostatnim roku wyniosłaby 84.442 zł, a odprawa pośmiertna dla wyznaczonej osoby wyniosłaby 2.006.963 zł.

3. Ubezpieczenie renty odroczonej bez zwrotu składek w razie śmierci ubezpieczonego.

— Z tytułu tego ubezpieczenia PZU wypłaca ubezpieczonemu dożywotnią rentę z chwilą osiągnięcia umówionego wieku emerytalnego.

Renta w tym ubezpieczeniu jest odpowiednio wyższa niż w ubezpieczeniu z zwrotem składek, nie ma tu jednak świadczenia pośmiertnego, nie ma też możliwości wycofania składek.

Przykład: jeżeli nasz 30-letni zawarłby ubezpieczenie renty odroczonej bez zwrotu składek, renta płatna po osiągnięciu 65 lat życia i również w okresie pierwszych 3 lat wpłacił sumę 150.000 złotych, to jego miesięczna renta nominalna wyniesie 8.552 zł. Ponieważ podobnie jak w poprzednich ubezpieczeniach renta nominalna wzrasta tytułem urealnienia w okresie jej odroczenia o 11,5 procentu rocznie, to w okresie całego odroczenia, czyli w ciągu 35 lat wzrosłaby do sumy 42.021 zł miesięcznie, a w okresie jej wypłacania wzrastałaby nadal o 10,5 procentu rocznie.

Wyżej podane znaczne zwiększenie urealnienia corocznego zawartych ubezpieczeń rentowych, PZU mógł zapewnić swym klientom dzięki temu, że ulokowane w bankach pieniężne rezerwy technicznie uzyskały znacznie wyższe oprocentowanie niż poprzednio.

To zwiększone urealnienie PZU stosuje nie tylko do ubezpieczeń rentowych teraz zawieranych, ale również stosuje odpowiednie przeliczenia do wszystkich zawartych dawniej w PZU ubezpieczeń rentowych.

Dokładniejszych informacji nasi czytelnicy mogą zasięgnąć we wszystkich inspektoratach PZU oraz u pośredników ubezpieczeniowych.

Państwowy Zakład Ubezpieczeń Oddział Wojewódzki w Legnicy 1598-k

KONKURS

do wygrania: radio tranzystorowe, zegar ścienny, kasetę cepeliowska i niespodzianki

1-2-3-4-5 MIESZKANIEC, OSIEDLA POWINIEN CZUĆ SIĘ JEGO GOSPODARZEM!

-DOSTALISMY 34-19-20-13-7-12-2-22-23-37. BĘDIEMY DBAĆ, ABY ZAWSZE BYŁO CZYSTE...

-W PRACY POCZUWAM SIĘ DO GOSPODARSKICH OBO- WIĄZKÓW. PO PRACY CZUJĘ SIĘ 24-25-26-27-28-29-30-31-22-33-34 SWEGO OSIEDLA!

-CZYSZCIE 35-36-37-38-39-40-41 ŚWIADCZA O KULTURZE JEGO MIESZKANCOU!

-KAŻDY 6-7-8-9-10-11-12 POWINIEN DBAĆ O SPÓŁDZIELCZĄ MIENIE JAK O SVOJE...

-PRZECIEŻ MAJĄTEK 13-14-15-16-17-18-19-20-21-22-23 TO TAKŻE TWOJ PIENIĄDZ!

WZSM

Numer świąteczno-noworoczny, jak zwykle, wypełniliśmy konkursami z cennymi nagrodami. Co można wygrać w konkursie WZSM można przeczytać na rysunku. Zadanie czytelnika jest proste. Wystarczy tylko odgadnąć zaszyfrowane litery i ułożyć z nich hasło.

Na odpowiedzi czekamy do 15 stycznia 1986 roku. Na kartkach pocztowych prosimy umieścić dopisek: „Konkurs WZSM”. Nasz adres: Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych, ul. Gwiazdowa 8, 59-220 Legnica. Wyniki ogłosimy jeszcze w styczniu przyszłego roku.

Nasty i dzieci

Roman Polański odkrył Nastassię Kinsky gdy miała 15 lat. Uważał że mimo swego wieku jest osobą dojrzałą. Jednak Nastassia uważa, że nie miała celu w życiu dopóki nie urodziła synka Aloszy. „Dopiero dziecko obudziło mnie z głębokiego snu” — powiedziała aktorka. Teraz oczekuje drugiego dziecka, które urodzi się w styczniu. Jej mężem jest Egipcjanin Ibrahim Moussa. „Dopiero teraz jestem interesująca, bo interesuję się innymi ludźmi” — mówi Nastassia o sobie.

4 tys. dolarów za przemyt piskląt sokoła

Mieszkaniec RFN skazany został przez sąd w Reykjavíku w Islandii na 3 miesiące więzienia i 4 tys. dolarów grzywny za kradzież trzech piskląt sokoła i usiłowanie ich wywozu do RFN.

Przed dwoma laty parlament islandzki zatwierdził surowe kary za kradzież jaj, względnie piskląt sokołów, należących do gatunków ptaków znajdujących się tam pod ochroną.

Sprytni, ale nie za bardzo

Dwaj więźniowie, którzy przed odsiadką handlowali zamkami, zbiegli z ciężkiego więzienia w Oklahomie. Otworzyli więzienny zamek plastikową szczoteczką do zębów. Wyczyn był wspała. Niestety w organizowaniu ucieczki okazali się gorsi. Z więzienia przyjechali prosto do swych domów, ale tam niestety na nich już czekała policja.

Utytułowane modelki

Oczywiście modelka musi być piękna, ale bardzo dobrze jest widziane, gdy ma jeszcze arystokratyczny tytuł. Dawniej było to nie do pomyślenia, aby arystokratki prezentowały stroje. Tę tradycję przełamała Ira von Fuerstenberg. Okazało się szybko, że jest nie tylko piękna, ale ma głowę do interesu i po pewnym czasie przejęła całe przedsiębiorstwo, w którym początkowo pracowała jako modelka. Teraz już więcej arystrotek zarabia prezentując modę, m. in. Sophie von Habsburg i Beatrice Bourbon.

Zobaczyć tysiąc pełni księżycowych

W południowoindyjskim stanie Kerala za najważniejsze wydarzenie w życiu uważana jest 74 rocznica urodzin. Wynika to z faktu, że do tego wieku człowiek był świadkiem tysiąca pełni Księżyca. Uroczystości z okazji niezwykłego jubileuszu trwają kilka dni. Jubilat otrzymuje honorowy tytuł człowieka, który widział tysiąc pełni księżycowych. Ludzie tacy cieszą się wśród Keralczyków szczególnym szacunkiem i poważaniem.

Wytrzymuje trzęsienie ziemi

Telewizyjna wieża w Alma-Acie o wysokości 370 m, została tak skonstruowana, że może wytrzymać trzęsienie ziemi o sile od 9 do 12 stopni (w skali 12-stopniowej). Wieża zbudowana została przy wykorzystaniu 15 tys. metrów sześć. betonu.

Paliwo z pomarańczy

Jedna z największych brazylijskich firm produkujących sok pomarańczowy zamierza rozszerzyć asortyment swoich wyrobów. Latem br. uruchomiona zostanie produkcja paliwa silnikowego z pomarańczy. Wydajność specjalnie do tego celu zbudowanej fabryki wyniesie 6875 litrów paliwa dziennie.

Podwójna rola

Diana Ross postanowiła przypomnieć wielką czarną gwiazdę estrady Josephine Baker i zrobić o niej film. Diana jako producentka biograficznego filmu o Josephine došla do wniosku, że najlepiej rolę czarnej gwiazdy zagra ona sama.

Coca-cola w kosmosie

Amerkańska NASA zamierza wkrótce przeprowadzić eksperymenty związane z dostarczeniem na pokłady statków kosmicznych specjalnych pojemników zawierających... coca-cole. Jak do tej pory, astronauta nie mogli konsumować podczas lotu popularnego napoju z powodu braku odpowiednich opakowań do napojów gazowanych.

„Mercedes” Hitlera nie znalazł nabywcy

Wystawiony na aukcję w Auburn w USA opancerzony samochód, używany przez Hitlera, nie wzbudził zainteresowania wśród kupujących mimo że „Mercedes” wzięty przez oddziały francuskie przy końcu II wojny światowej, znajduje się w zupełnie dobrym stanie.

Obrońca księżniczki

Londyńska prasa zaczęła ostatnio druk pamiętników byłego strażnika przybocznego księżniczki Anny. W pamiętnikach ujawnia on, że Anna zakochała się w nim, gdy pełnił przy niej swą służbę w latach 1979-1980. Potem mąż księżniczki

Mark Philips usunął go z brygady ochrony królewskiej.

Piękny strażnik Peter Cross rozwiódł się ze swą żoną. Ona jednak oburzona ujawniła prasie brytyjskiej, że księżniczka narzucała się jej mężowi, a dzieci śmiejąc się wołały: „Tatusiu, księżniczka Anna dzwoni do ciebie!” Piękny strażnik zarobił na swoich pamiętnikach 2,5 mln franków.



Fotka - retro na życzenie:
Gdy nasze babcie były panienkami...